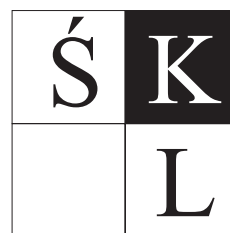


ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2018 NR 1-4 (59-62)

ISSN 1429-849-X

ISBN 978-83-7273-938-4

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO
Literatura – kieleckim sztandarem (Dziot Kunciewicz)



Tamara Maj: OKŁADKA – *Z pamiętnika Majów – Historia śniegiem pisana*, tkanina aut

Sanatorium Uzdrawiskowe "Nida-Zdrój" Sp. z o.o.

28-100 Busko-Zdrój, ul. Rzewuskiego 9
tel. (0-41) 378 24 91..3 tel./fax (0-41) 378 37 72
www.nidazdroj.pl
e-mail: nida@sanatoria.com.pl

ZDROWIE MASZ TYLKO JEDNO
WARTO WIĘC ZAINWESTOWAĆ



„MAŁE JEST PIĘKNE” - OD WIEKÓW JEST AKTUALNE

Sanatorium "Nida-Zdrój" w pełni kojarzy się z tym hasłem. Obiekt o 270 łóżkach z własnym nowoczesnym zakładem przyrodoleczniczym zlokalizowanym w cichej dzielnicy zdrojowej. Duży teren rekreacyjno-wypoczynkowy to raj w okresie nie tylko lata.

**SERDECZNIE ZAPRASZAMY PAŃSTWA
W NASZE GOŚCINNE PROGI
PO ZDROWIE RELAKS I WYPOCZYNEK**

“KTO TU NIE BYŁ NIECH ŻAŁUJE”



**Pierwszy w Polsce
internetowy kanał
z muzyką ludową**

www.folkradio.pl

24 godziny na dobę
muzyka ludowa Gór Świętokrzyskich
przeplatana kujawiakami, mazurami,
oberkami i muzyką etno

ZAPRASZA POLSKIE RADIO KIELCE

ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X
KIELCE 2018 NR 1-4 (59-62)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy
Polskiego Radia Kielce SA, Sanatorium Uzdrawiskowego „Nida-Zdrój”
przy współudziale Oficyny Wydawniczej „STON 2”
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP
STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny
BEATA KĘPIŃSKA – sekretarz,
BENEDYKT KOZIEŁ – wiceprezes, JAN LECHICKI – wiceprezes
KRYSTYNA CEL – skarbnik

Konsultacja: STEFAN JURKOWSKI

Korekta: IRENA NYCZAJ
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów, a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.
Zdjęcia nieopisane pochodzą z archiwum „ŚKL”.

OD REDAKCJI 5

100-lecie niepodległej Polski i 20-lecie województwa świętokrzyskiego w twórczej inwencji świętokrzyskich literatów... 5

Z TRADYCJI 7

F. Rusak: Od Buska do Zdroju 7
B. Gumowski: Nasza przeszłość zaklęta w pamięci..... 10
Niepodległościowa wystawa w Zespole Szkół w Staszowie.. 12

WSPOMNIENIA 14

J. Knap: Artyści nie umierają nigdy 14
W. Szproch: Pożegnanie twórcy kultowej postaci
Genowefy Pigwy 15
K. Konecka: Wędrówki kieleckie Barbary Wachowicz 18
Ciekawa inicjatywa Szczecińskiego Oddziału ZLP 23
Pożegnanie Tadeusza Zubińskiego (1953–2018) 24
S. Nyczaj: *Niezastąpieni* 24
K. Sowirko: Wspomnienie o Józefie Wawroniu 25

ROZMOWY 26

Kielecki teatr lustrem dla widza (A. Piskulak rozmawia
z dyr. kieleckiego teatru Michałem Kotańskim)..... 26
Poeta dłuta i pędzla (Jan Lechicki rozmawia
z prof. Wincentym Kućmą) 29
Skok na szerokie wody (Andrzej Piskulak rozmawia
ze Stanisławem Nyczajem) 30

WYDARZENIA 34

I. Kaczmarczyk: 47. Warszawska Jesień Poezji..... 35
75-lecie Stanisława Nyczaja podczas Gali Świętokrzyskiej
na 47. Warszawskiej Jesieni Poezji..... 37
Nasze plenery: Żeromszczyzna (Ciekoty 21-26.05.2018)...39;
Zbigniew Porębski – malarstwo 40; Staszów (07.2018)...41
Głosy o plenerze w Staszowie: St. Jurkowski...42; E. Tesz...44;
Poniedziałki plener literacko-plastyczny w Busku-Zdroju...45;
E. Jach: Wycieczka do „Ogrodu na Rozstajach” w Młodzawach
Małych...47; A. Błachucka: *Słodka robinia*... 48
Festiwal Poezji Słowiańskiej i Światowy Dzień Poezji UNESCO
w Staszowie..... 49
Międzywodzie (08.2018)..... 51
B. Kępińska: Plener w Międzywodziu..... 51
T. Sznerch: X Plener Artystyczny w Międzywodziu..... 52
Protokół z postanowienia jury konkursu pn. „Moja Niepodległa”,
zorganizowanego przez SAP – Oddział w Kołobrzegu 55

TWÓRCZOŚĆ 56

Z antologii 47. WJP: A. Borowicz; W. Michalski; M. Wawrz-
kiewicz (56); J. Babiaryz-Szot: wiersze (57); R. Bielenda:
wiersze (58); A. Błachucka: *Front rodzinny* (opow., 59); J.A.
Borzęcki: *Mężczyzna który milczy* (fragm. powieści, 62); K.
Cel: wiersze (65); Spotkanie autorskie J. Chruślińskiego w
Koszycach (66); E. Chuchmała: *Każda ziemia ma swoją historię*
(opow., 67); Plenerowa wystawa wierszy „Przepływający Świat
Słowa” – B.T. Dominiczak; R. Czerniawska-Karcz; L. Dembek
(68); A. Dąbrowski: wiersze (69); S. Fornal: *Zapiski człowieka
przejrzatego* (70); I. Grabowiecka: wiersze (71); J.E. Gryz:
wiersze (72); E. Jach: wiersze (73); M. Jedlecki: wiersze
(74); L. Jędrocha-Kubicka: Ze Świętokrzyskiej Satyriady (76);

B. Jurkowska: wiersze (77); St. Jurkowski: wiersze (78);
B. Kępińska: Ze Świętokrzyskiej Satyriady (80); B. Koce-
la: wiersze (81); B. Koziół: wiersze (82); I. Kaczmarczyk:
wiersze (84) K. Kochański i S. Nyczaj: Fechtunek na
aforyzmy (85); K. Konecka: sonety (86); M. Kruk: wier-
sze (87); J. Lechicki: Ze Świętokrzyskiej Satyriady (87);
E. Musiał: wiersz i nota o Nagrodzie im. J. Słowackiego
(89); A.M. Musz: wiersze (90); A. Nawrocki: wiersze (91);
I. Nyczaj: *Dlaczego uderzyła* (opow., 92); S. Nyczaj: fragment
z książki *Taniec z Pamięcią* (95); I. Paździerz: *Rady Salomo-
na* (opow., 95); U. Przyboś: wiersze (97); A. Ochwanowski:
Kapliczki przydrożne (99); G. Rak: *Miłość w Rzeczniowie*
(fragment, 100); W.M. Rak: Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej
(102); K. Ryk: wiersze (103); J. Rzdokiewicz: *Znaki* (opow.,
104); Ł. Seliaszki: wiersz z nowego tomu (108); D. Skalska:
O Grecie z Czermi i Wojtusi organicie (109); S. Stanik:
Eskapada (opow., 111); K. Szczukutowicz: wiersze (115); Z. To-
borek: wiersze (116); Z. Walas: wiersze (116); B. Wiłkomirski:
fragment powieści (117); M. Włodno (119); B. Wrońska (120);
Sz. Wroński: wiersz (121); A. Zakrzewska: *Bluszcz* (opow.,
122); A. Zielińska-Brudek: wiersze (124); I. Żukowska-Rumin:
wiersz (125); Werdykt jury radiowego konkursu poetyckiego
(126); A. Jabłońska: wiersz (126).

ESEJE – SZKICE – RECENZJE 127

A. Błachucka: o tomie *Okna* I. Paździerz 127
K. Czejarek: o *Portrecie lit. J. Chruślińskiego* K. Cel.. ...128
G. Rak: o sezonie teatralnym w Kielcach 130
B. Kępińska: o wierszach Zofii Walas..... 132
S. Nyczaj: o sonetach K. Koneckiej..... 133
I.T. Grabowiecka: o poezji Ł. Seliaszki..... 134
Z. Milewski: o książce *Wśród pisarzy 2* S. Nyczaja..... 136
Dwugłós B. Gajewskiej i J.J. Liczkowskiego o tomie
Wyspy na jeziorach czasu D. Skalskiej 138
D.E. Skalska: o tomie *Między słowami* E. Jach..... 140
T. Stolarski: o twórczości Zbigniewa Leoniaka..... 142
Dwugłós K. Koneckiej i R. Orlewskiego o tomie
Kaprysy Muz... K. Cel 144
A. Grabowska: o poemacie *To jedno* E. Musiał... 147
S. Nyczaj: o tomie aforyzmów *Kreślone kredą*
K. Kochańskiego..... 148
K. Cel i A. Patey-Grabowska o twórczości S. Nyczaja ...149
W. Nowik-Pala: o tomie opow. *Świstun...* A. Błachuckiej...151
K. Cel: o tomie poetyckim *Świetlny gąszcz* A.M. Musz...153
S. Stanik: o poezji S. Nyczaja..... 154

NOTY 157

Promocje nowo wydanych książek: *Olimpio* L. Abraham
Zubińskiej, *Okna* I.J. Paździerz, *Miłość w Rzeczniowie*
G. Raka, *Portrety myśli* L. Jedrochy-Kubickiej 157
R. Honet: postłowie do *Portretów myśli*
L. Jedrochy-Kubickiej..... 158
Prezentacja Tamary Maj..... 159
M. Rumin: *Kartki z kalendarza Tamary Maj*..... 161



100-lecie niepodległej Polski i 20-lecie województwa świętokrzyskiego w twórczej inwencji świętokrzyskich literatów

Rok ten – z uwagi na uwydatnione w nagłówku okoliczności – jest wyjątkowy. Choć spinanie się na „wyjątkowość” było zawsze wpisane w każde działanie naszego Oddziału ZLP. Każde było przygotowywane przy maksimum zaangażowania, na pełnych obrotach twórczej inwencji. Nie mogło być i nadal nie będzie inaczej, gdyż wynika to z jednoczącej nas wszystkich pisarskiej pasji, która nie może spełniać się bez stałego, bliskiego kontaktu z czytelnikami. Dopiero w ich odbiorze sprawdza się jej wartość. W bezpośrednich spotkaniach z nimi staramy się prezentować naszą twórczość atrakcyjnie, by zachęcać do lektury, niejednokrotnie czynimy to z oprawą plastyczną i wokalnoinstrumentalnymi interludiami, ubarwiającymi recytacje poezji i prozy. Nierzadko nasze spotkania literackie mają także walory parateatralne, jak np. w „głośnych czytaniach” dramatów, prozy, poematów dramatycznych.

Naszym rocznicowym polonezem jest *taniec z Pamięcią* (jeśli wolno mi się posłużyć tytułem wydanej niedawno przeze mnie książki o młodzińskich retrospektywnych płaszcach z teatrem Jerzego Grotowskiego). Zapraszam więc do tego tańca – na oczach Czytelników „SKL” – wszystkich moich przyjaciół ze świętokrzyskiego Oddziału ZLP (niezależnie od tego, czy są z Kielecczyny, czy spoza regionu, a w istocie ze skracającej wszelkie odległości woli wyboru właśnie nas).

W kontekście wspomnianych rocznic nasuwa się wiele dokonań wartych uznania za osiągnięcia trwałe. Sądzę, iż w retrospektywnym transie warto przede wszystkim docenić – wspierające twórców w indywidualnym rozwoju ich osobowości – działania zorganizowane.

Sięgając pamięcią do pierwszego okresu tuż po odzyskaniu niepodległości, nie można pominąć tego wpierw symboliczno-moralnego, a potem realnego we wsparciu znaczenia Koła Kielczan utworzonego w Warszawie na przełomie lat 1924/1925 (m.in. z inicjatywy Stefana Żeromskiego), a zwłaszcza roli powstałego w roku 1987 na wzór tego Koła – Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej (staraniem przede wszystkim Stanisława Bartosa – wieloletniego

jego prezesa), z którym Kielecki Oddział ZLP znakomicie współpracuje, głównie przy organizacji, nadmienionych wyżej, zespołowych prezentacji świętokrzyskich pisarzy w bibliotekach i centrach kultury stolicy: Bibliotece Głównej przy ul. Koszykowej (trzykrotnie), MBP w dzielnicach Ursynów, Mokotów i Praga-Południe – wielokrotnie, centrach kultury Ursynowa, Pragi-Południe, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza i Klubie Księgarza na Starym Mieście, jak też, oczywiście, w Domu Literatury (siedzibie Zarządu Głównego i Oddziału Warszawskiego ZLP). Były to promocje książek indywidualnych i antologii, wieczory autorskie z okazji jubileuszy, wręczenia nagród i odznaczeń, a w 2008 r. szczególnie pamiętane okazałe spotkanie literacko-wspomnieniowe – z wystawą malarstwa i grafiki – prezentujące bogate pokłosie kielecko-warszawskiego pleneru literacko-plastycznego w Jałcie.

Bardzo ważną rolę odegrał powstały na przełomie lat 1960/1961 Klub Literacki „Ponidzie”, dający – po mrocznym okresie socrealizmu – ożywczy impuls życiu literackiemu na Kielecczyźnie dzięki zasługom w szczególności Waldemara Babinicza (dyr. Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy k. Jędrzejowa – głównego miejsca spotkań i dyskusji), poetów i prozaików Henryka Jachimowskiego, Ryszarda Miernika, poety i dziennikarza Bogusława Pasternaka.

Jednak aż ponad 20 lat musiało upłynąć, by mógł się w Kielcach zawiązać – umocowany w ogólnopolskiej strukturze Związku Literatów Polskich – Kielecki Oddział, utworzony 2 lutego 1984 r. przez sześcioro pisarzy (Sylwestra Banasia, Agnieszkę Barłóg, Ryszarda Miernika, Bogusława Pasternaka, Stanisława Rogalę, piszącego te słowa), liczący obecnie 53 członków – z czasem o znaczeniu ponadregionalnym, choć przede wszystkim kulturze regionu służący – co dziś sytuuje go na drugim miejscu pośród 20 oddziałów w kraju. Po niełatwych długoletnich staraniach aż trudno uwierzyć, że stało się to możliwe. Aktualnie tworzą go:

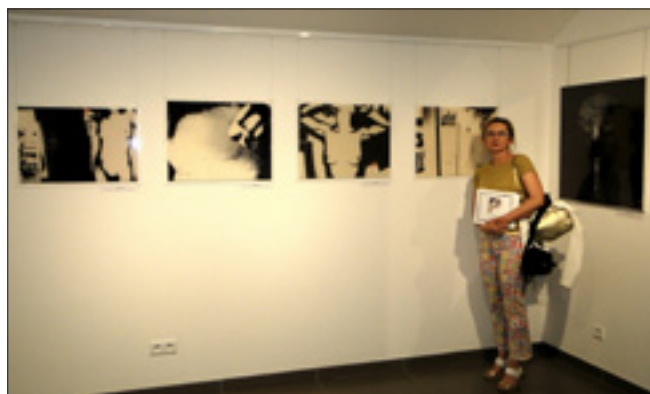
- Liliana Abraham Zubińska z Kielc
- Zdzisław Antolski z Kielc

- Joanna Babiarcz-Szot z Nowego Sącza
- Romuald Bielenda z Kielc
- Pelagia Borowska z Wiosny k. Radoszyc
- Anna Błachucka z Małogoszcza
- Jan Adam Borzęcki z Sandomierza
- Krystyna Cel z Kielc
- Elżbieta Chuchmała z Ostrowca Świętokrzyskiego
- Jan Chruśliński z Warszawy
- Stanisław Fornal z Lublina
- Barbara Gajewska z Piotrkowa Trybunalskiego
- Jarosław Edward Gryz z Ostrowca Świętokrzyskiego
- Bohdan Gumowski z Kielc
- Jacek Kajtoch z Krakowa
- Wojciech Kajtoch z Krakowa
- Henryk Kawiorski z Kielc
- Dariusz Kaźmierczak z Włoszczowy
- Beata Kępińska z Kielc
- Włodzimierz Kłaczyński z Mielca
- Grzegorz Kozera z Kielc
- Benedykt Kozieł z Połańca
- Jolanta Kutuła-Lewandowska z Torunia
- Elżbieta Kwasowska-Jachimowska z Kielc
- Dorota Kwoka z Rzeszowa
- Jan Lechicki z Kielc
- Monika Mazur-Mitrowska z Radomia
- Elżbieta Musiał z Końskich
- Stanisław Nyczaj z Kielc
- Teresa Ewa Opoka z Radomia
- Bogusław Pasternak z Kielc
- Irena Paździerz z Kielc
- Andrzej Piskulak z Zagnańska
- Uta Przyboś-Christiaens z Warszawy
- Wawrzyniec Marek Rak z Győr na Węgrzech
- Paweł Rejdak z Kielc
- Joanna Rzodkiewicz z Krakowa

- Barbara Sierakowska z Kielc
- Małgorzata Spychaj z Ostrowca Świętokrzyskiego
- Irena Stopierzyńska-Siek z Warszawy
- Kazimiera Szczykutowicz z Kielc
- Władysława Szproch z Kielc
- Emilia Tesz z Tomaszowa Mazowieckiego
- Zbigniew Toborek z Kielc
- Zofia Walas z Ostrowca Świętokrzyskiego
- Tadeusz Wiącek z Kielc
- Bogusław Wiłkomirski z Warszawy
- Maria Włodno z Kielc
- Leopold Wojnakowski z Kielc
- Ryszard Zamojski z Sandomierza
- Anna Zielińska-Brudek z Kielc
- Iwona Zielińska-Zamora z Łodzi
- Irena Żukowska-Rumin z Kielc

Wzbogacający się ciekawie jego dorobek twórczy przedstawialiśmy zarówno na stronach literackich miesięcznika „IKAR” (od marca 1997 do kwietnia 2004), jak też jeszcze szerzej na łamach naszego kwartalnika od połowy 1997. Jest on bez wątpienia znaczący; wzbudza nawet rosnące zainteresowanie tłumaczy, dając satysfakcję osobistą pisarzom z poszerzania się kręgu czytelników. Prócz intensywnego angażowania się w plenerowe i promocyjne świętokrzyskie zdarzenia literackie, uczestniczą w ogólnopolskich popularyzujących ich twórczość festiwalach, zwłaszcza w Światowych Dniach Poezji UNESCO, Warszawskiej Jesieni Poezji, Festiwalach Poezji Słowiańskiej. Od szeregu lat na Kielecczyźnie mają też one swoje głośne echa.

Stanisław Nyczaj



Cztery grafiki komputerowe Elżbiety Musiał prezentowane były na tegorocznej pokonkursowej wystawie „Przedwiośnie 41” w BWA w Kielcach. Akty stanowią tematyczną całość, a cykl zatytułowany został „Przestrzeń wewnętrzna”.

Od Buska do Zdroju

„Busko nasze Busko, na góreczce stoi
Kto idzie, kto jadzie, konika napoi”.
(Przyśpiewka ludowa)

Busko leży w krainie zwanej Niecką Nidziańską, która z kolei wchodzi w skład Wyżyny Środkowo-małopolskiej. Nieckowata zakłęśtość, usytuowana pomiędzy Wyżyną Krakowsko-Częstochowską a Kielecko-Sandomierską, biegnie wzdłuż rzeki Nidy, która stanowi oś hydrograficzną tego regionu. Busko otaczały grząskie, podmokłe tereny porośnięte roślinnością trawiastą, wodolubną i halofitową. Spośród rozległych łąk, wilgotnych i często podtopionych, tylko wyspowo wypiętrzały się marglowo-gipsowe pagórki, które pokryte rędzinową glebą, nadawały się pod uprawę.

Na jednym z takich wzniesień, będących kolejną kulminacją równoleżnikowo położonego Garbu Pińczowsko-Wójczańskiego, usadowiło się Busko, będące jedną z najstarszych osad Poniądzia. Niepodobna nie wspomnieć o pewnej osobliwości Buska, które zawdzięcza jej swą nazwę oraz stworzyło podstawy do nadania mu praw miejskich, a w końcu pozwoliło zostać tym, czym jest obecnie. Ową osobliwością było zjawisko samorzutnego wypływu spod ziemi słonej wody. Temu właśnie zjawisku zawdzięcza swą nazwę Bugsk – Bużsk – Buzsk – Busk – Busko.

Utarło się przekonanie, że osada była wsią służebną, dostarczającą koni wierzchowych i mięsa na dwór królewski. Otóż wcale to nie jest takie oczywiste. Przypuszczać należy, iż Busko, będące własnością rycerską, pełniło raczej rolę militarno-gospodarczą dla grodu wiodącego, czyli czoła opolnego. Nie dane było jednak Busku odegrać w przyszłości roli militarnej. Bezdzielnosć rycerza Derśława – historycznego właściciela Buska, spowodowała zgoła odmienne losy osady. Zapisał mianowicie część miejscowości sprowadzonemu z Witowa zakonowi norbertanek, które zdomowały się tu na ponad sześćset lat. Przedsiębiorcze siostrzyczki z miejsca skonstatowały, że nie rolnictwo, a zgoła inne zajęcie przyniesie

klasztorowi i osadzie bardziej dochodowy zysk. Zwróciły mianowicie uwagę na samorzutnie wypływające w okolicy źródła słonej wody, która po odparowaniu dostarczała drogocenną sól.

Bogacząca się szybko osada oraz wzrastający w sławę klasztor, stały się z czasem czynnikami miastotwórczymi. Przetwórstwo soli oraz powstanie centrum handlowego i religijnego sprawiły, że zaistniały warunki, by podnieść osadę do godności miasta. Uczynił to książę krakowski Leszek Czarny w dramatycznym (ostatni najazd Tatarów) roku 1287. Lokacja miasta na prawie średzkim była dla Buska decyzją bardzo korzystną. Miasto posiadające swój samorząd oraz działające organizacje rzemieślnicze i kupieckie, mogło się szybko rozwijać i bogacić. Wkrótce Busko obok produkcji soli zasłynęło z wytwórczości sukna, szkła oraz piwa i garnków.

Zmienił się diametralnie wygląd miasta. Przykościelna wioska, zlokalizowana początkowo w pobliżu kościoła, stopniowo rozrastała się na wschód, a potem, po wyznaczeniu rynku, z którego narożników odchodziły ulice, w pozostałe strony świata. Osada przybrała klasyczny wygląd miejski, jaki dotrwał do dziś. Niestety, nietrwała zabudowa oraz liczne kataklizmy, które nie oszczędzały także Buska, spowodowały, że nie dochowały się do dziś żadne świeckie zabytki, a kościelne uległy poważnym przeobrażeniom. Pierwszy kościół św. Leonarda uległ całkowitemu zniszczeniu, a romańsko-gotycki kościół przyklasztorny poddany został wielokrotnej przebudowie, przybierając wielostylowy kształt z elementami gotyku, renesansu, baroku i klasycyzmu.

Kres dobrej koniunkturze przyniósł nieszczęsny wiek XVII, wiek wyniszczających wojen, upadku stanu mieszczańskiego i agraryzacji miast. Powyższe czynniki dotknęły także Busko, które, z kwitnącego za Jagiellonów miasta, powoli stawało się ubożającą wioszczyną. Warzenie soli już dawno stało się nieopłacalne. Rodzime rzemiosło i handel wskutek antymiejskiej polityki szlachty nie mogło się rozwijać, a przejmująca te zajęcia ludność

żydowska nie mogła się osiedlać w kościelnym mieście. Buszczanom pozostało wieść żywot rolników, dorabiających drobną wytwórczością i handlem produktami rolnymi. O miejskości osady świadczył stary układ urbanistyczny oraz wyraźnie kształtujący się swojski etos miejskiego rolnika, który podkreślał swą wyższość wobec chłopów z pobliskich wiosek. Miejską tradycją były także ustanowione w średniowieczu cośrodowe targi istniejące do dziś.

Skazane na wegetację rolnicze Busko dożywało swych dni bez nadziei, bez perspektyw, bez kapitału.

Nieoczekiwane nowe perspektywy zrodziły się przed Buskiem po pierwszym rozbiore, gdy słononośne złoża wielickie i bocheńskie znalazły się za austriackim kordonem. Pozbawiona żup solnych, okrojona I Rzeczpospolita, zaczęła gorączkowo poszukiwać złóż słononośnych w pomniejszonym o I rozbiór kraju. Idąc tropem starych dokumentów, zaczęto badać buskie saliny z nadzieją, że oprócz solanki mogą się również znajdować złoża soli krystalicznej. Poczyniono w tym względzie szereg przedsięwzięć, zmierzających do produkowania soli na skalę przemysłową. Jednak trudności technologiczne oraz słaba jakość soli sprawiły, że rozmiary jej produkcji były niewielkie. Buska fabryka solna definitywnie została zamknięta przez rząd austriacki w 1796 roku po trzecim rozbiore.

O leczniczych właściwościach buskich solanek przyszło przekonać się dopiero za kilkanaście lat.

Niedocenioną na ogół cezurą czasową w dziejach Buska była decyzja o kasacie zakonu norbertanek, które były właścicielkami dużych obszarów miejskich. Źródłonośne tereny, ongiś wykorzystywane do produkcji soli, pozostawały długi czas beczynne, wywołując zdenerwowanie, odczuwających głód ziemi buszczan.

Kasata norbertanek, których dobra przejął rząd, prawie zbiegła się czasowo z badaniami nad właściwościami chemicznymi i terapeutycznymi buskich wód. Wyniki badań były na tyle obiecujące, że zaczęto je stosować do kuracji. Lata dwudzieste XIX wieku uważa się za powstanie uzdrowiska. Pierwsi kuracjusze, którymi byli najczęściej ludzie bogaci, korzystali z prywatnych kwater miejskich oraz z pobliskich dworów szlacheckich, do których beczkami dowożono leczniczą wodę. Rolnicy miejscy nie dostrzegali w porę rysujących się przed nimi perspektyw.

Za to upatrywał dobry interes imć Feliks Rzewuski, który na własnej skórze odczuł dobroczynny wpływ buskich wód, więc postanowił uruchomić profesjonalny zakład wodolecznicy, na wzór zagranicznych badów. 1 czerwca 1836 uważa się za datę rozpoczęcia instytucjonalnej działalności uzdrowiska. Materialnym tego dowodem jest gmach łaźni projektu Henryka Marconiego.

Klasycystyczna budowla, o monumentalnym frontonie i bogatym wystroju wewnątrz, gościła z roku na rok coraz większą liczbę kuracjuszy. Przed fasadę budynku zajeżdżały co rusz różnorakie koczki, tarantasy i bryczki, dowożąc ówczesną śmietankę towarzyską. Po alejkach romantycznego parku oraz w sali balowej łaźni można było dostrzec wytworne panie w turniurach i dystyngowanych panów w smokingach i cylindrach.

Charakterystyczną cechą buskiego uzdrowiska było to, że nigdy nie było własnością prywatną, co najwyżej wieloletnią dzierżawą (Rzewuski, Łubiński, Dobrzański). Stosunki własnościowe spowodowały, że nawet w okresie międzywojennym podstawowa część uzdrowiska, czyli tzw. Zakład Zdrojowy był przedsiębiorstwem państwowym.

Lata dwudzieste XIX wieku zmieniły również oblicze miasta. Dwukrotny pożar praktycznie obrócił w perzynę drewniane Busko, więc nowe domy zaczęto budować z kamienia. Zachowało się kilka zabytkowych domów z początku XIX wieku z charakterystycznymi facjatkami i półkolumnami u wejścia. Nastąpił też istniejący do dziś wyraźny podział miasta na część stricte miejską i zdrojową. Aleja łącząca park zdrojowy z rynkiem miała pełnić w zamyśle rolę korsa spacerowego, i po niepomyślnym trzydziestolecu powojennym, taką rolę spełnia dziś. Uzdrowiskowy charakter podkreśla specyficzna architektura części zdrojowej, w której pobudowano szereg sanatoriów, pensjonatów i willi zachowując szczególny, eklektyczny styl przełomu wieków. Wielką rolę w wyznaczeniu strategicznego rozwoju uzdrowiska odegrał w międzywojniu dyr. Michał Byszewski. Powstało szereg urządzeń sanatoryjnych, budynków oraz elementów małej architektury w parku.

Interesująco przedstawia się terytorialny rozwój Buska, które od chwili założenia klasztoru, a następnie lokacji miasta przesuwało się sukcesywnie na wschód, trzymając się cały czas grzbietu Garbu Pińczowskiego. Z kolei powstanie uzdrowiska oraz przyłączenie Nadola spowodowało rozwój miasta na osi północ-południe.

Obie osie skrzyżowały się dokładnie w rynku (Plac Zwycięstwa) wytyczywszy tym samym urbanistyczny kościec miasta, które wyznaczając coraz to nowe przecznice, zabudowywało się kolejnymi domami i osiedlami.

Po wojnie nastąpił intensywny rozwój miasta i uzdrowiska. Przybyło kilka nowych obiektów sanatoryjnych, rozbudowano i zmodernizowano szpitale uzdrowiskowe. Wzbogaciła się infrastruktura. Przybyły sklepy i punkty usługowe oraz cała dzielnica mieszkalno-pensjonatowa. Busko osiągnęło pozycję największego miasta Poniądzia. Szkoda tylko, że wraz ze wzrostem ilościowym domów, nie poszła w parze ich jakość. Odgórnie narzucone wzorce architektoniczne oraz beznadziejna ubożyzna w dziedzinie materiałów

budowlanych zaowocowały niezwykłą wprost monotonią i brzydotą osiedli domów wielo- i jednorodzinnych. Na szczęście niegustowne budynki rekompensują urodziwe ogródki przydomowe. Diametralnie poprawiło się najnowsze budownictwo. Powstają ładne wille, pensjonaty i domy o ciekawej, bogatej i niebanalnej architekturze. Wraz z poprawą estetyki zewnętrznej, uległ zasadniczym zmianom wystrój i wyposażenie wnętrz sanatoriów i pensjonatów pod względem elegancji, nowoczesności i wygody.

Busko systematycznie zmierza w kierunku stania się kurortem nie tylko skutecznym, ale także przyjaznym i atrakcyjnym.

Franciszek Rusak



Galeria Zielona, czyli Willa Polonia, to prócz Willi Mała Bagatela przy ul. 1 Maja 15, unikatowo zachowana drewniana willa w centrum miasta. Pochodzi z ok. 1900 roku; jej budowniczym był dr Julian Majkowski. W willi mieści się dziś Galeria Sztuki BWA, która przyjęła potoczną nazwę „Zielona” od koloru budynku. Stanisław Nyczaj z żoną Ireną lubią odwiedzać Galerię
Fot. Paweł Nyczaj

Z prawej obrazy Małgorzaty Bieleckiej z cyklu TRANSLACJE I, II, III, tech. własna
Fot. Irena Nyczaj



Nasza przeszłość zaklęta w pamięci

Pół tysiąca opowieści o dziejach...

Minęło niemal 10 lat od chwili, gdy z anteny Polskiego Radia Kielce po raz pierwszy popłynął w eter sygnał audycji „Moc historii”. Natomiast w październiku odnotowaliśmy pięćsetne wydanie tej audycji.

W tym momencie zacząłem się zastanawiać: cóż takiego jest w „Mocy historii”, że ma ciągle wiernych słuchaczy, ciągle też przybywają nowi, czego liczne dowody pojawiają się zarówno w mailach, telefonach, esemesach czy wreszcie tradycyjnych listach dostarczanych przez pocztę. Odpowiedź, w jakimś sensie, nasunęła się sama podczas ostatniego Dnia Zaduszne-go, kiedy to wspominamy tych, którzy już odeszli. Wizyta na cmentarzu uprzytamnia, że żyją oni potąd, pokąd w nas żyje pamięć o nich. To bowiem właśnie pamięć stanowi o naszej tożsamości; mówi o tym, skąd jesteśmy i dokąd zmierzamy. To nasza przeszłość zaklęta w pamięci.

Ta przeszłość, w dużo szerszym ujęciu, bywa zaklinana w pamięci nie tylko poprzez opracowania historyczne, kroniki, dzienniki czy biografie, ale także w śladach materialnych – grodziskach, zamkach pałacach, odnajdywanych grobach sprzed wieków, romańskich rotundach, gotyckich katedrach, także nowszych stylowych i eklektycznych świątyniach wypełnionych najczęściej barokowym wystrojem pełnym przepychu i złoceń, będących świadectwem sztuki naszych przodków. To również pamięć o wielce zasłużonych dla swej małej ojczyzny, dla Polski, a często i Europy, ludziach. Pozwolę sobie w tym miejscu na gdybanie. Otóż, gdybyśmy

wycięli z naszej pamięci to, o czym powiedziałem i pozwolili, by czas zatarał ślady materialnej obecności, wówczas można by spytać o naszą tożsamość. Zagubieni, bez pamięci, pozostalibyśmy narodem jedynie o tyle, o ile łączy nas język i mowa.

Podczas audycji, której Państwo – Czytelnicy „SKL” – słuchają w niedzielne i świąteczne południa, a którą przygotowuję wspólnie z dr. Cezarym Jastrzębskim, człowiekiem o niezwykle rozległej wiedzy, wybitnym regionalistą i historykiem wykładającym na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego, staramy się podzielić ze słuchaczami wiedzą o zabytkach, miejscach, ludziach, przemianach naszej świadomości czy wydarzeniach. Muszę tu zaznaczyć, że choć Cezary Jastrzębski jest w niedzielnych spotkaniach głównym narratorem, to zabierają w nich także głos znani regionaliści, historycy, archeolodzy oraz inni naukowcy specjalizujący się w zdobywaniu i popularyzacji wiedzy o świętokrzyskiej ziemi.

Można by zadać pytanie, skąd się bierze zainteresowanie historią. Tu możemy poszukać analogii między doświadczeniem osobistym i bardziej ogólnym. Inaczej mówiąc, każdy z nas poszukuje swoich korzeni i chce wiedzieć, kim był jego dziad, pradziad, skąd się wywodzi, gdzie mieszkał, czym się zajmował. Ta dociekliwość przeradza się w szersze, bardziej ogólne zainteresowanie przeszłością. Pojawiają się pytania: o rodowód miejsca, w którym żyjemy, kiedy możemy mówić o jego początkach, jaka była przyczyna lokacji, kto był założycielem, czy powstało na su-

rowym korzeniu, czy też może stanowiło pewną kontynuację osadniczą? Wreszcie – jakie były dalsze koleje losu osady, wsi czy miasta. Czy padało ono ofiarą najazdów, zarazy, pożarów, może powodzi; co wpływało na rozwój czy też regres, degradację miejsca, w którym żyjemy. Mnożących się pytań jest wiele, tak jak wiele możliwości odpowiedzi na nie.

Odnotujmy też, że pojawia się coraz więcej pasjonatów tropiących i odkrywających ślady przeszłości. Ludzi częstokroć niemających wykształcenia historycznego, ale zarażonych chęcią poznawania szerszego kontekstu swojej tożsamości. O nich

również w niedzielnych audycjach „Moc historii” można usłyszeć.

Skoro wcześniej zastanawiali się Państwo, o czym można opowiadać w pięciuset aż audycjach, to teraz, mam nadzieję, wątpliwości zniknęły. Zapewniam też o niewyczerpanych zasobach historycznych regionu świętokrzyskiego, który jest kopalnią interesującej nas tematyki i wszystko wskazuje na to, że wraz z Cezarym Jastrzębskim będziemy mogli długo jeszcze opowiadać o niezwykle ciekawych dziejach krainy Gór Świętokrzyskich.

Bohdan Gumowski



23.10.2018 Radio Kielce. 500. odcinek audycji „Moc Historii” autorstwa Bohdana Gumowskiego i Cezarego Jastrzębskiego nagrywany z udziałem publiczności. Prezes Radia Kielce Janusz Knap oraz autorzy Cezary Jastrzębski i Bohdan Gumowski

Fot. Jarosław Kubalski



Niepodległościowa wystawa w Zespole Szkół w Staszowie

Przypadająca w bieżącym roku 100. rocznica odzyskania niepodległości przez Polskę stała się okazją do zorganizowania w Zespole Szkół im. Stanisława Staszica w Staszowie wystawy pn.



„Odbudowa i odrodzenie państwa polskiego 1918–1939”. Jej autorem jest staszowski artysta – Jan Żukowski. Wystawa dotyczy zarówno losów kraju, jak i naszej Małej Ojczyzny – Staszowa. Pan Jan we współpracy z uczniami „Staszicówki” przez wiele tygodni opracowywał materiały, gromadził eksponaty, przygotowywał kolaże. Już sama praca przy tworzeniu wystawy była ciekawą lekcją historii dla uczniów, gdyż mogli zobaczyć te zakątki naszego miasta, które dziś pozostały tylko we wspomnieniach i na fotografiach.

Wystawa podzielona jest na trzy zasadnicze części. Pierwsza z nich ukazuje zdjęcia kraju z czasów odzyskania niepodległości, dwudziestolecia międzywojennego, rozwój kultury i nauki, wybitnych polityków, osiągnięcia techniki z okresu II Rzeczypospolitej. Druga część wystawy dotyczy Staszowa w latach 1918–1939. Możemy tutaj znaleźć informacje na temat życia kulturalno – społecznego miasta, społeczności żydowskiej, działalności gospodarczej oraz dziejów staszowskiej oświaty. Wystawę zamykają zdjęcia z okresu okupacji niemieckiej Staszowa. Wyeksponowane są także niezwykle cenne dokumenty z okresu stacjonowania w Staszowie II Pułku Piechoty Legionów, który przebywał na obecnym terenie Zespołu Szkół. Integralną częścią wystawy jest ekspozycja reprodukcji plakatów z okresu odzyskania niepodległości.

Trzecią część poświęcono staszowskiej wystawie rolniczo-przemysłowej z 1912 roku. Pre-

zentowane są tu niepublikowane dotąd zdjęcia, m.in.: Komitet organizacyjny Wystawy, otwarcie Wystawy przez księcia Macieja Radziwiłła, pólka doświadczalne, pokazy koni oraz maszyn rolniczych.

Cała ekspozycja robi niezwykle wrażenie. Oglądając ją, przenosimy się do Staszowa sprzed stu lat. Spacerujemy po rynku wśród społeczności polskiej i żydowskiej, odwiedzamy tamtejsze szkoły, odpoczywamy w parku miejskim. Na kolejnych planszach widzimy, jak zmieniało się miasto.

Wystawie zdjęć towarzyszy także wystawa militariów, związanych z pierwszą oraz drugą wojną światową. Ta część ekspozycji budzi duże zainteresowanie, zwłaszcza wśród męskiej części społeczności szkolnej, gdyż można obejrzeć broń, mundur wojskowy, pociski czy też sprzęt łącznościowy. Dodatkem do całości jest wystawa



literatury poświęconej odzyskaniu niepodległości, dostępna na co dzień w bibliotece szkolnej.

Całość robi duże wrażenie. Zarówno uczniowie, rodzice oraz goście odwiedzający szkołę nie przechodzą koło ekspozycji obojętnie. Zatrzymują się, oglądają, rozmawiają. Poza uczniami szkoły wystawę zwiedzili już m.in.: słuchacze Uniwersytetu III Wieku, uczniowie ze szkoły podstawowej nr 1 oraz Szkoły podstawowej nr 2, Stowarzyszenie Historyczne ze Staszowa, członkowie Staszowskiego Towarzystwa Kulturalnego oraz osoby indywidualne.

Warto w tym miejscu wspomnieć o tym, skąd pochodzą zdjęcia i eksponaty. Dużą część zdjęć Jan Żukowski pozyskał z Narodowego Archiwum Cyfrowego, z Archiwum Miasta i Gminy Staszów, ze zbiorów Zespołu Szkół im. Stanisława Staszica

oraz z zasobów Internetu. Swoje zbiory udostęp-
nili także: Włodzimierz Migoń, Paweł Ciepela,
Marcin Franke, rodzina Michała Żala, Lucjan
Zaczkowski, Jan Żukowski. Uczniowie, którzy
współtworzyli wystawę to: Kamil Wójcik, Mate-
usz Samiec, Weronika Szczur, Iwona Gul, Błażej

Boroń. Przygotowana wystawa wpisuje się w cykl
działań Zespołu Szkół poświęconych uczczeniu tej
niezwykle ważnej dla każdego Polaka rocznicy.

*Tekst: Justyna Pasternak,
Zespół Szkół im. Stanisława Staszica w Staszowie*



Janusz Knap

Artyści nie umierają nigdy

Wspomnienie o Bronku Opałko (1952–2018)

Przez dwanaście lat na antenie Polskiego Radia Kielce gościł program, który nie miał i nie będzie miał odpowiednika w żadnej innej stacji na świecie. Śmierć Genowefy Pigwy, czyli Bronisława Opałki, który wcielał się w postać „babki z Napierstkowa”, zakończyła ten projekt, w którym to „prosta” babka zawstydzała swoją ludową mądrością przemądrzałego redaktorka z miasta.

Wspomnieć Bronisława Opałkę w najdłuższym nawet tekście, to i tak nic nie powiedzieć. Może więc osobisty fragment jego biografii, która jakoś tam złączyła się z moją – pokaże jedną z jego wielu twarzy. Twarzy człowieka, artysty, mistrza. Pamięć o Nim przetrwa długo i długo jeszcze korzystać będziemy z Jego kreacji artystycznych.

Wszystko, co można napisać o osobie takiej jak Broniek, wydaje się banalne. Podejmuję próbę napisania tych kilku słów tylko dlatego, bo wydaje mi się, że Broniek obdarzył mnie przyjaźnią. Poznałem Go stosunkowo późno. 12 lat temu zaprzyjaźniliśmy się na dobre. Wtedy zaczęło nadawać Radio Pigwa. Broniek i jego częstochowski przyjaciel, tekściarz, człowiek o ogromnej wiedzy – Andrzej Błaszczuk, który odszedł już wiele lat temu – wparowali do mojego gabinetu. Mieliśmy rozmawiać o nowym formacie, który połączy kabaret z muzyką ludową. Tak – w mojej pamięci – powstało Radio Pigwa. Słuchałem

go z dumą wówczas i przez następne lata, choć zmieniali się autorzy tekstów i osoby występujące w tym niezwykłym Radiu. Niezmiennie sensem tego wszystkiego był Broniek, Genowefa Pigwa. Poznałem na wylot Napierstkowo i wszystkich jego mieszkańców. Zawsze z dumą patrzyłem na wielkie kolejki, jakie ustawiały się do bronkowej limuzyny po koncercie, aby zdobyć autograf słynnej Babki. A jak przestał przyjeżdżać limuzyną, kolejki nie były wcale krótsze...

Czasami mówił, że Pigwa była tylko jego sposobem na życie. Prawdziwa jego miłość to były „Dzieci epoki”, „Zespół adwokacki dyskrecja”, tworzone dla „Trójki” razem z Andrzejem Błaszczukiem i inne jego dokonania, które przyniosły mu sławę. Ale w głębi duszy – widziałem to – kochał też tę swoją Genowefę, bo czy inaczej byłby tak autentyczny i tak prawdziwy? Rano, 18 sierpnia 2018 roku, gdy jego „młodszy randaktor” Sebastian Przybyłowicz zadzwonił do mnie z tragiczną wiadomością o śmierci Bronka pomyślałem, że oto odchodzą dzieci pewnej epoki, za którą Broniek tęsknił, dla której żył i której był wierny jako artysta i jako człowiek. Artyści nie umierają nigdy, żal tylko nas, pozostających na ziemi, że już nigdy nie pogadamy, nie pożartujemy, nie będziemy planować kolejnych zamierzeń.

Broniek Opałko na imprezie Radia Kielce

Fot. archiwum Radia Kielce



Pożegnanie twórcy kultowej postaci Genowefy Pigwy

*„...O czwartej rano. Taktownie
nie budząc tych, którzy
w piątkową noc
brali życie garściami
nie stukając do bram sąsiadów
zastukał do bram nieba...”*

fragm. wiersza Leszka Kumańskiego

18 sierpnia o godzinie 4 nad ranem zmarł w kieleckim szpitalu Bronisław Opałko – słynna Genowefa Pigwa z Napierstkowa.

Przeżył zaledwie 66 lat. Ta wiadomość poraziła rodzinę, przyjaciół i świat kultury świętokrzyskiej, a także polskiej. Odszedł utalentowany artysta, bardzo popularny w kraju, uwielbiany przez Polonię w Europie, USA, Kanadzie i Australii. Był człowiekiem skromnym, delikatnym, nie tylko pod względem fizycznym, ale też mentalnym. Miał wyjątkową, poetycką, nadwrażliwą duszę. Był postrzegany jako człowiek ciepły, serdeczny i szlachetny.

Pochodzący z Kielc Bronisław Opałko urodził się 17 lutego 1952 roku. Był znanym i uznanym artystą kabaretowym, kompozytorem, piosenkarzem, autorem tekstów i aktorem. Ukończył studia na kierunku Wychowanie Muzyczne w kieleckiej WSP. Już w czasie studiów występował w kabarecie „Pod Postacią”, a potem założył „Orkiestrę do użytku wewnętrznego”. Po ukończeniu studiów rozpoczął współpracę z kilkoma teatrami w kraju oraz z łódzką Estradą, gdzie pracował jako konsultant muzyczny. Był członkiem Sekcji B – Autorów Utworów Muzyki Rozrywkowej i Tanecznej Zaiks od 1977 r. W 1986 związał się na kilka lat z kabaretem radiowym „Zespół Adwokacki Dyskrecja”, dla którego w latach 1985-1989 nagrał wiele piosenek oraz występował w skeczach. W roku 1987 Bronisław Opałko założył własny kabaret „Pigwa Show”. O roku 1993 mieszkał w podkieleckim Marzyszu, gdzie prowadził studio nagraniowe. Od roku 2005, aż do śmierci, współtworzył audycję „Radio Pigwa”, emitowaną on-line w Radio Kielce w każdą niedzielę.

Wiele lat przed „epoką” Genowefy Pigwy Bronisław Opałko był kompozytorem, pianistą

i piosenkarzem. Śpiewał piosenki poetyckie przy własnym akompaniamencie; był w pewnym sensie odmianą Leszka Długośza. Teksty piosenek do najbardziej popularnych Jego piosenek pisał Andrzej Błaszczuk – polski dziennikarz, poeta i satyryk, pracownik Polskiego Radia Katowice. Bronisław Opałko korzystał także z tekstów Adama Ochwanowskiego, Marka Tercza, Leszka Kumańskiego, Wisławy Szymborskiej, Juliana Tuwima, R.M. Rilkego i innych.

B. Opałko wybierał utwory z przesłaniem, poważne i nostalgiczne. Sam artysta czuł się przede wszystkim poetą. Cierpiało, że to nie ten rodzaj twórczości rozstawia nazwisko, ale postać Genowefy Pigwy. Dla ambitnego artysty było to dużym dyskomfortem. I chociaż całe życie starał się śpiewać i komponować utwory liryczne, to prawdą jest i to, że na tzw. chleb „zarabiała” Genowefa Pigwa. Bronisław Opałko był twórcą wielonurtowym, szanującym fundamenty muzyczne, przekaz tekstu i liryczny nastrój. Prawdziwą miłością Artysty były „Dzieci epoki” i „Zespół Adwokacki Dyskrecja”. Kochał Pigwę, ale bardziej fortepian, na którym skomponował muzykę do wielu spektakli teatralnych, recitali i programów kabaretowych. Z przyjacielem Adamem Ochwanowskim zrealizował dwa duże projekty: „Drogę krzyżową” (2011) oraz „Od sabatu do ornatu” (2012). Świat muzyki uznawał Bronisława Opałkę za najwybitniejszego twórcę muzyki rozrywkowej regionu świętokrzyskiego w całej jego historii.

Wspomniane już „Dzieci epoki” to widowisko muzyczne, którego premiera odbyła się w 1999 roku w KCK. Całość oparta na utworach Wisławy Szymborskiej, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Juliana Tuwima, Stanisława Kondka, Andrzeja Błaszczuka i Przemysława Koska.

*„Ciągnęło mnie do kabaretu. Chciałem być
takim wiejskim wesółkiem”*

Bronisław Opałko

Genowefę Pigwę kojarzył każdy Polak w kraju i za granicą. Ta sceniczna postać narodziła się w 1975 roku, niejako przez przypadek. Działo się to w Rzeszowie na kabaretadzie, gdzie Bronisław

Opałko po raz pierwszy wystąpił jako „baba świętokrzyska” i tym występem wygrał cały konkurs. Trzeba zaznaczyć, że w jury zasiadali wytrawni znawcy: Agnieszka Osiecka, Maria Czubaszek i Leszek Długosz. W niedługim czasie posypały się znaczące nagrody, więc należało kontynuować twórczość kabaretową. Pierwowzorem Genowefy była wiejska kobieta z Barczy, przywożąca w „spadochronie” do Kielc jajka, masło, mleko... I tak się zaczęła przeszło czterdziestoletnia historia baby z Napierstkowa (nazwa fikcyjna). Gdziekolwiek się pojawiła, zawsze wzbudzała salwy śmiechu. Bawiła publiczność do łez. Promowała folklor świętokrzyski, ludową muzykę i chłopską filozofię codziennego życia. Genowefa Pigwa występowała w stroju ludowym świętokrzyskim: zapaska w czerwono-czarne paski, taka sama spódnica, na głowie kolorowa chustka, na nogach trampki. Wygłaszała dowcipne monologi, prowadziła śmieszne dialogi, w których wyśmiewała polskie przywary oraz komentowała bieżącą rzeczywistość polityczną i gospodarczą. Bronisław Opałko odgrywając rolę Genowefy Pigwy specjalnie modulował głos na kobiecy, charakterystycznie się śmiał, świetnie władał gwarą. Był niskiego wzrostu. Ten fakt i „babski” głos sprawiały, że wiele osób uznawało Go za prawdziwą kobietę. Pigwa szła z duchem czasu; na scenie śpiewała głównie w nurcie ludowym, ale też w nurcie disco polo czy rapu. Była zapraszana we wszystkie zakątki kraju. Występowała w Europie, Ameryce i Australii. Brała udział m.in. w cyklu „Spotkania z balladą”, emitowanym przez TVP. Nagrała kilka kaset i płyt ze skeczami, przyśpiewkami i piosenkami. Od roku 2005 do 2018 Genowefa Pigwa występowała w coniedzielnym audycjach „Radio Pigwa”, emitowanych przez Radio Kielce. 26 sierpnia usłyszeliśmy Ją po raz ostatni. Od 2 września 2018 roku będzie nadawany program „W Napierstkowie”.

*„Raz, choć jeden raz sięgnąć gwiazd
Poszybować, pofrunąć, po blask, złote runo
Na chwilę odbić się od dna”*

Andrzej Błaszczyk – fragm. piosenki

Ile razy śpiewał to Bronisław Opałko? Dzieśiątki? Setki?... To była Jego ulubiona piosenka. Wiedzieli o tym przyjaciele, dlatego na Cmentarzu Nowym w Kielcach podczas pogrzebu zaśpiewali Mu tę piosenkę. Uroczystości pogrzebowe odbyły

się 23 sierpnia 2018 roku. Msza żałobna została odprawiona w kieleckiej Bazylice Katedralnej. W uroczystości wzięli udział bliscy, przyjaciele, władze miasta i województwa, artyści, literaci, samorządowcy, politycy, szefowie i pracownicy instytucji kultury, muzycy, sąsiedzi i mieszkańcy miasta. W kondukcje żałobnym szły tłumy. Towarzyszyła im orkiestra znajomych muzyków Artysty z Filharmonii Świętokrzyskiej oraz z Państwowej Szkoły Muzycznej w Kielcach. W imieniu rodziny głos zabarała ukochana córka Agata i krewna – Bożena Barchan. Przemawiali przyjaciele. Przyjaciół sceniczny i życiowy – muzyk Jan Kozłowski zagrał na flecie *Adaggio*. Na znak szacunku dla świętokrzyskiego twórcy były owacje i wzniesione w górę czerwone róże. Całość uroczystości poprowadził przyjaciel Artysty – Wit Chamera. Gdy żałobnicy wychodzili z cmentarza, z głośników rozlegał się śpiew Bronisława:

*„Co zrobisz, gdy ja umrę Panie?
Jam dzban Twój, kiedy zbije się kawały.
Jam Twe rzemiosło. Twe ubranie.
Beze mnie stracisz sens swój cały”*

Tekst: *Rainer Maria Rilke*

Władysława Szproch

(Kundzia Jojko – pseudonim literacki i sceniczny)





Podczas gali plebiscytu „Echa Dnia” (2014); od lewej: Jan Kozłowski, Jacek Wiatrowski, Broniek Opałko, Stanisław Nyczaj, Jerzy Baranowski, Irena Nyczaj, Paweł Nyczaj
Fot. archiwum „Echa Dnia”

Podczas mojego jubileuszu 50-lecia pracy twórczej (2013) Broniek Opałko wystąpił z krótkim recitalem. Zaśpiewał kilka piosenek skomponowanych do moich wierszy, z których dwie zadedykował mojej żonie. Było to zaskakujące i wzruszające.

Stanisław Nyczaj



Wędrowki kieleckie Barbary Wachowicz

Wspomnienie o Barbarze Wachowicz (1937–2018)

Wśród ponad setki przeróżnych artefaktów (książek z dedykacjami, zdjęć, listów, pocztówek i wycinków prasowych), jakie nagromadziły się podczas naszej blisko czterdziestoletniej przyjaźni, jest czarno-biała fotografia jednego ze spotkań Barbary Wachowicz z czytelnikami. Brak nazwiska autora zdjęcia, być może zrobił je mąż Józef Napiórkowski: pisarka, ciasno otoczona wielbicielami swojej twórczości najwyraźniej składa dedykacje na egzemplarzach książki pt. *Ciebie jedną kocham*, wydanej w 1979 r. Fioletowym (zwyczajowo) flamastrem podpisała żartobliwie fotografię na odwrocie: „Kiermasz 11 maj 1980. Tak było od 13.00 – 15.30! Półżywy zewłok wywłókt ślubny Napiórek pod wierzbę [...]. Było 75% młodzieży!!!”. Zatem to, co zawsze dla Autorki wielu, wielu następujących po sobie książek stało się najważniejsze: żeby jej literackie opowieści o wielkich Polakach – pisarzach, patriotach „używali” młodzi. Tak się stało.

Fotografię otrzymałam wraz z egzemplarzem książki oraz serdeczną, tradycyjnie fioletową dedykacją. To było w warszawskim domu pisarki przy ul. Zamenhofa, kiedy gromadziłam materiały do tekstu – Jej portretu literackiego dla krajowego miesięcznika reportażu „Kontrasty”. Tytuł książki na obwolucie, sugerujący miłosne zwierzenia, stanowił hołd dla ziemi Stefana Żeromskiego, a sama opowieść była splotem historycznego eseju i współczesnego reportażu.

„Za książkę tę – anonsowano na skrzydełku – Barbara Wachowicz otrzymała I nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie Literackim, -<Ziemia Żeromskiego> zorganizowanym w 1975 roku przez władze i prasę Kielc oraz nagrodę miasta Kielc za szczególne osiągnięcia artystyczne w dziedzinie literatury i działalność popularyzatorską związaną z Kielcami i ziemią Stefana Żeromskiego”. Sama Autorka w typowy dla niej, epicki sposób otworzyła pamięć i serce, by uzasadnić swoje twórcze wybory. Dlatego wracam do tamtego eseju zatytułowanego *Częstka duszy twojej* teraz, kiedy właśnie, w dniu 7 czerwca 2018 roku, odeszła...

* * *

...Po beztróskim dzieciństwie pozostało kilka zdjęć. Wieś Krzymosze-Bajki z rodzinnym dworkiem, którego wizerunek wyzwala w Barbarze Wachowicz wzruszającą lawinę refleksji. Oglądamy fotografie z Podlasia [...]. Zamyślenie, skupienie w twarzy dziecka i podobne skupienie w twarzy człowieka już dojrzałego, dorosłego, który właśnie wraca do kraju swego dzieciństwa, próbuje ten świat zrekonstruować, odtworzyć.

Wachowicz: Bo, jak mówi Żeromski, wszystko przeminęło w czasie, grunt tylko ten sam zieleńił się do słońca. Ale czyż nie można odzyskać świata, który się najbardziej kochało, z którego się wyrosło? Bo – że znów przywołam Żeromskiego – można być lekarzem, subiektem w aptece, adwokatem, ale dzieciństwo spędzone na wsi wywiera niezatarty wpływ na osobowość człowieka. I gdziekolwiek przyjdzie nam żyć, zawsze będziemy się czuli tą integralną częstką swoich Krzymosz czy swoich Ciekot, o których Żeromski jeszcze u schyłku swego dnia mawiał: „Ta wieś to częstka mojej duszy do tej chwili”. Dlatego cały mój rodowód wyprowadzałabym z tej małej podlaskiej enklawy, z tego małego dworku obrośniętego winem, gdzie na strychu leżały stopy książek, skazane tam na banicję przez byłą właścicielkę, panią hrabinę Zaleską, której syn podobno zmarnował karierę, poświęcając się... bibliofilstwu.

Straciła ten dom i cały świat dzieciństwa [...] bardzo wcześnie. Była ośmioletnim dzieckiem, kiedy – wyrwana z azylu wspaniale kwitnącej przyrody – została nagle zamknięta jak zwierzątko w czterech ścianach na zasypanej sadzami warszawskiej Ochocie. Samotnie do nocy czekała, aż wróci zapracowana matka. Jedyną obroną, ratunkiem przed dojmującą tęsknotą, przed zmorami, które osaczają każde dziecko, stała się literacka fikcja.

Wachowicz: Tak właśnie odkryłam autora *Wiernej rzeki*. Ponieważ tęsknota za wioską moją i za Podlasiem została jakby zagłuszona. Pewnego dnia otrzymałam książkę i nagle z jej kart spojrzało na mnie moje rodzinne Podlasie: zboża oroszone, jakieś stado cyranek mknące w dal. Książka miała tytuł *Uroda życia*. Na mój pejzaż podlaski patrzył Piotr Rozłucki. Od tego momentu rozpoczęła się wielka fascynacja Żeromskim i jego magią ziemi [...]. Jeszcze w podstawówce zdecydowałam, nieboga, że będę studiować dziennikarstwo. W naiwności młodzieńczej wyobrażałam sobie, że inaczej nie zostanę dziennikarzem. Walczyłam dramatycznie, dwukrotnie nie zostałam przyjęta. Przez rok studiowałam historię. Spłoszył mnie z tych studiów, które jakże by mi się obecnie przydały, temat pracy semestralnej pt. *Chów świń w starożytnej Grecji w świetle „Odysei” Homera*. Wspominam ten nieprawdopodobny epizod w *Ciebie jedną kocham*. Ktoś z wydawnictwa, przygotowując książkę do druku, napisał na marginesie: a cóż to za niesmaczny dowcip?! [...] Brakuje mi umiejętności posługiwania się zespołami archiwalnymi, encyklopediami, bibliografią, słownikami. Na przykład przy pisaniu *Ciebie jedną kocham* bezustannie napotykałam na jakieś rafa [...].

Jej wędrówki reporterskie są, między innymi, poszukiwaniem tego kształtu pejzażu, który wielkie postacie naszej literatury, wielkie motywy tej literatury ukształtował i zdeterminował. Wędruje tymi szlakami, niejednokrotnie z radosnym drgnieniem serca stwierdzając, jak bardzo niewiele się zmieniło, mimo takiego upływu czasu.

Wachowicz: Jakąż radością była dla mnie Dolina Wilkowska w Górach Świętokrzyskich, tak bardzo przypominająca jeszcze Głogi z *Ludzi bezdomnych*, Wygnankę z *Popiołów*, Cieranie z *Urody życia* czy Gawronki z *Szyfowych prac* [...]. Przesyłam moje reportaże z wędrówek szlakiem wielkich Polaków sędziwej Szwedce, rozmówianej w naszej literaturze, Ellen Anckarsvard, zwiedzającej właśnie Florencję. Pisze mi: „Przyszły *Malwy* [*Malwy na lewadach* – przyp. K.K.] z ziemi polskiej do włoskiej. Biegam teraz po Florencji nie śladem Michała Anioła, lecz Słowackiego i Żeromskiego. Powiedz, o czym myślałaś, wybierając swą drogę w literaturze?”.

Odpowiadam słowami Żeromskiego: „Miłości wszystkiego, co polskie – stój zawsze przy mnie”.

W pejzażach swoich i obcych drąży historię i współczesność, penetrując rodzime ślady kulturowe. Ambicje literackie i dziennikarskie w pełnej symbiozie z konkretnym doświadczeniem. Po telewizyjnych *Kobietach ich życia* i książkowych *Mariach jego życia* (poświęconych kobietom Henryka Sienkiewicza – przyp. K.K.) zaszufładowano twórczość Barbary Wachowicz do problematyki miłosnej. Publicznie musiała uzasadniać tytuł swojej przecież autotelicznej, tropicielskiej, głębokiej i ambitnej książki o Żeromskim jego wyznaniem: „Nikogo tak nie kocham, Ciebie jedną kocham, cudowna rodzinna ziemi”.

Wojciech Żukrowski napisał w recenzji: „I nagle widać jak na dłoni, że od czasu Kochanowskiego trapi po dziś dzień pisarza-obywatela ta sama troska o ściany zbiorowego domu, o zasobność i siłę Polski”. Żukrowski uczy odczytywania świętokrzyskich szlaków za autorką: „... uwalić się w bujne trawy i poczuć mocne zjednoczenie z tą ziemią, księgą zamkniętą naszej historii. Może ona do nas przemówić, zapaść mocno w serce i pamięć, doda nam sił na powszednie bojowanie, odsłoni minione, przypomni trud ojców naszych, obudzi poczucie godności. Jeśli kochamy ziemię, i ona nam miłością odpowie, rozkwitnie, sygnie owocami, ukáže skarby skrywane w swoim wnętrzu i przyjmie na ostatni spoczynek. Takie być powinno to wzajemne miłowanie”.

Wachowicz: Wydaje mi się, że mam jedną rzecz bezcenną po babci. Umiejętność kontaktu z ludźmi. Niezależnie od środowiska. Nie zapomnę, jak jedna ze znajomych pań popatrzyła krytycznie na buty z cholewami, fioletową spódnicę. I pani tak jeździ? Po tych wsiach w Górach Świętokrzyskich?! Odpowiedziałam: Tak właśnie jeżdżę.

Kiedy wyruszałam na pięciolecie mojej wędrówki, niektórzy sugerowali mi wielkie fiasko, bo nie piję. I otóż pracowałam z moimi bohaterami, spotykałam się z nimi w polu, lesie, na podwórku. To nie były towarzyskie spotkania w miejscowej gospodzie. Krzysztof Zanussi ubolewał, że w przepadłym serialu „Ziemia Żeromskiego” nie została przez reżysera wykorzystana szansa zderzenia jak gdyby dwóch światów. Tego świata, który ja pozornie reprezentuję, w swojej chociażby

zewnątrznosci, ze światem, który wy-
dawałoby się, jest dla mnie enklawą
zupełnie niedostępną. Mój z tamtymi
ludźmi kontakt, zadzierzgnięty przy pracy
nad *Ciebie jedną kocham* nie wygasł, nie
wygasa i nie wygaśnie. Towarzyszę im
w szkołach, studiach i małżeństwach,
w problemach i radościach, w narodzi-
nach i śmierciach.

„Babcia Jakubkowa” to Katarzyna
Gołuchowa z Wilkowa na Kielecczyźnie.
W wieku dziewięćdziesięciu jeden lat
opowiadała autorce książki o sąsiedzie
Żeromskich, mieszkającym w pobliżu Cie-
kot, Ignacym Karpińskim, który był sędzią
pokoju w Bodzentynie. „Jak jechał na
koniu i spoglądałam na niego, to aż mnie
zaćmiło, choć już żeniata byłam... A z
chłopką się ożenił, Kaśką zwyklusieńką”.

Kiedy Barbara Wachowicz dowie-
działa się, że „babcia Jakubkowa” żyje
w skrajnej nędzy, wykołatała dla niej
rentę. Z wdzięczności staruszka powiesiła
fotografię swojej opiekunki tuż obok...
Matki Boskiej. Zapowiedziała też, że
nie umrze tak długo, aż „Basia jej nie
odwiedzi”. Nie dotrzymała słowa. Au-
torce nieśpieszno było kierować drogi
dziennikarskie na Wilków. Dostawszy od
niej upominek, piękną zapaskę, „babcia
Jakubkowa” wystroiła się i powędrowała
do kościoła na rezurekcję, żeby wszyscy
zobaczyli. A potem wróciła do siebie i w
teżże zapasce – umarła.

* * *

Ach, te Ciekoty... Ciekoty.

Podczas tegorocznego (2018) pleneru
literackiego w Staszowie otrzymałam dar
niezwykły od Stanisława Nyczaja – jego
zbiór rozmów i wspomnień pt. *Wśród
pisarzy*. W wydanej w 2010 roku książce
autor przywołał dwadzieścia wspaniałych
postaci literatury polskiej, których już od
dawna nie ma wśród nas. Ich czarno-bia-
łe wizerunki zdobią okładkę. I nagle – na
wewnętrznych stronach okładki – cztery
barwne fotografie z otwarcia Centrum
Edukacyjnego im. Stefana Żeromskiego

w Ciekotach. I na pierwszej fotografii – Barbara Wachowicz przecinająca biało-czerwoną szarfę!

Tak. W drugim tomie – albumie Jej wspaniałych gawęd, zatytułowanym *Siedziby wielkich Polaków. Od Konopnickiej do Iwaszkiewicza*, wydanym przez „Świat Książki” w 2013 roku, jest i ta: *Ciekoty – „częstka duszy” Stefana Żeromskiego*. Barbara Wachowicz entuzjastycznie przypomina uroczystości, stanowiące zwieńczenie wieloletniego trudu lokalnych władz i mieszkańców, którym towarzyszyła duszą i sercem:

„Zbudowali! Błyskawicznie! W październiku 2009 poświęcono kamień węgielny, a 23 października roku 2010 odbyło się na Żeromszczyźnie w Ciekotach uroczyste otwarcie Dworu Żeromskiego i Centrum Edukacyjnego «Szkłany Dom». Takiej liczby notabli przybyłych z Ministerstwa Kultury i Związku Literatów nie widziałam nigdy na żadnej imprezie. Ale najważniejsi byli «ci ludzie ubodzy, bracia moi» – mieszkańcy wsi, która do końca życia pozostała «częstką duszy» Stefana Żeromskiego”. Do tego – rzetelny kronikarski zestaw fotografii historycznych oraz współczesnych, tych najnowszych. Wszystko na miejscu jest jak na fotografiach.

Tylko Barbary Wachowicz, „Basi z Podlasia”, mojej Basi nie ma.

Jeszcze w maju 2018 roku tradycyjnie odwiedziła „swoje” Ciekoty. Jeszcze wybrała się do Zakopanego, gdzie w swoim azylu „Halama”, jak zwykle pracowała nad kolejną książką. Odeszła 7 czerwca w Warszawie. Pochowana została 15 czerwca na Wojskowych Powązkach obok kwater poległych harcerzy z Szarych Szeregów, których pamięci poświęciła wiele pięknych kart swoich książek...

Krzyszyna Konecka



Autorka z Barbarą Wachowicz



WÓJT GMINY MASŁÓW
TOMASZ LATO
ZAPRASZA NA OPOWIEŚĆ
O STEFANIE ŻEROMSKIM

Ciekoty - „Cząstka duszy mojej”



„Ciebie jedną kocham cudowna,
rodzinną ziemię moją”

Stefan Żeromski

BARBARA WACHOWICZ

autorka wielu prac o Autorze „Urody życia”, wystaw, programów radiowych i telewizyjnych o Wielkich Polakach, Mistrzyni Mowy Polskiej obdarzona tytułami

„Pisarki Iosu polskiego” i „Ministra Patriotyzmu”.

LAUREATKA: ZŁOTEGO MIKROFONU,
ORDERU „POLONIA MATER NOSTRA EST” – „POLSKA NASZĄ MATKĄ”- „za wyjątkowy dar przekazywania młodzieży skarbów narodowego dziedzictwa”, NAGRODY ŚW. BRATA ALBERTA – „za wierność Polsce”,

„POLSKIEGO NOBLA” – TOTUS Episkopatu Polskiego - „za nieustraszone, pełne żarliwości i entuzjazmu propagowanie kultury chrześcijańskiej, patriotyzmu, i pięknej polszczyzny, postaw honoru i prawości zwłaszcza wśród młodego pokolenia Polaków”, ORDERU UŚMIECHU przyznanego przez harcerzy z motywacją:

„To dzięki niej zstępują z piedestału Bohaterowie Narodowi i najwięksi twórcy literatury, by stać się nam bliskimi”

OPOWIE O SWYCH WĘDRÓWKACH TROPAMI STEFANA ŻEROMSKIEGO
W JEGO „NAJŚCIŚLEJSZEJ OJCZYŹNIE”, W SANDOMIERSKIEM,
NA PODLASIU, W SZWAJCARII I WE WŁOSZECH,

PRZYWOŁA POSTACI
MIESZKAŃCÓW GÓR
ŚWIĘTOKRZYSKICH, O KTÓRYCH
AUTOR „SYZYFOWYCH PRAC”
POWIEDZIAŁ-
- „CI LUDZIE UBODZY –
- BRACIA MOI”.

Centrum Edukacyjne „Szkłany Dom”
w Ciekotach
12 czerwca (niedziela) godzina 15.00



Po spotkaniu piękne dedykacje Autorki na jej wspaniałych książkach o życiu i ziemi Stefana Żeromskiego - „Ciebie jedną kocham”, „Siedziły Wielkich Polaków”.

w czerwcu

2016



Stank
Slocunag!

Zapraszam bezdecznie
na Żeromskie posiadzi! -
od zmiary pana cwojta
a zastatam przyznaczone
do Tosk -
w Ciekotach!

Tawojz piykne piorny o
„czystka duszy”

a zacytuje!

Bydy chunom!

Ucatowamnia

a dla Najmniejszej

Loony -

i dla Czebre tez!

Barbara Wachowicz



Boże Narodzenie 2010 r.

Bożego Narodzenia ta noc jest dla nas święta
Niech idą w zapomnienie niewoli gnuśne pęta
Daj nam poczucie siły i Polskę daj nam żywą
By słowa się spełniły nad ziemią tą szczęśliwą

Stanisław Wyspiański – „Wyzwolenie”

„Gdy śliczna Panna syna kołysała,
z wielkim weselem tak Jemu śpiewała...”

Drodzy, Kochani Przyjaciele,
Rodzino mego serca !

Najserdeczniej dziękuję Wam za wszystkie słowa
pamięci i przyjaźni. Przyjmijcie ode mnie cały snop życzeń
najlepszych, najserdeczniejszych, dobrych, szczęśliwych,
pogodnych Świąt Bożego Narodzenia, wśród tych, których
kochacie, bo jak powiedział Ksiądz Janusz Pasierb
„najpiękniejszym darem miłości jest obecność”.

Wasza obecność opróżnia moje sierocę życie.
Wybaczenie mi, jeżeli odzywam się do Was rzadko, czasem
bowiem upadam pod brzemieniem różnorodnych prac ale dziękuję Bogu i mojej Świętej
Patronce – chyba najpracowitszej ze świętych (wytropiłam, że opiekuje się
dwudziestoma zawodami) – że jeszcze w naszej ponurej, kapitalistycznej rzeczywistości
mogę cokolwiek działać!

Cieszę się, że w Roku Chopinowskim wiele placówek ofiarowało mi piękną szansę
gawędy łączącej twórczość naszego geniusza z jego żywotem.

Cieszę się, że mogłam dzięki znakomitej Dyrekcji Muzeum w Radomsku
przygotować spektakl i wystawę Sienkiewiczowską.

Cieszę się, że wspaniali Harcerze ze Świdnicy i Rzeszowa zrealizowali ze mną
wielkie kominki na Stulecie Harcerstwa.

I cieszę się z wygranej naszych Sojuszników: Pani Prezydent Warszawy –
Patronki Konkursu Arsenal Warszawa, Burmistrza Zakopanego i Burmistrza Płońsk.
Dzięki nim mogę jeszcze opowiadać Polakom o Wielkich Rodakach.

Dzielę się z Wami oplatkiem i sercem – i dziękuję, że jesteście ze mną.



Barbara Wachowicz

W dwa miesiące po otwarciu Centrum Edukacji i Kultury „Szklany Dom” (23 października 2010), w której to uroczystości uczestniczyła z entuzjastyczną przemową Barbara Wachowicz, otrzymaliśmy od Niej życzenia bożonarodzeniowe, jakie przypominamy, bo są przecież co roku – więc i w tym – aktualne. REDAKCJA „SKL”

Ciekawa inicjatywa Szczecińskiego Oddziału ZLP



Dziękujemy za upamiętnienie

Wśród różnych sposobów popularyzacji poezji w formie drukowanej – niestereotypowym, ciekawym pomysłem jest eksponowanie jej w oprawie graficznej na wystawach. Leszek Dembek, prezes Szczecińskiego Oddziału ZLP, zaprojektował przedstawienie w takim entourage'u wierszy kilku autorów pod malowniczymi pergolami w parku miejskim – miejscu chętnie odwiedzanym przez spacerowiczów. Dziękujemy, że pamiętał też o szczeciniance Ewie Marii Wojtasik (1947–2017), która przez prawie 10 lat była związana przynależnością (z wyboru) ze świętokrzyskim Oddziałem ZLP, pełniąc w jego Zarządzie funkcję skarbniczki. To bardzo wzruszające i piękne przypomnienie.

S.N.



Pożegnanie Tadeusza Zubińskiego (1953–2018)

Mowa na suchedniowskim cmentarzu

Żegnamy utalentowanego, wybitnego pisarza (wysoko cenionego w skali kraju), przez wiele lat związanego z Kieleckim Oddziałem Związku Literatów Polskich, podobnie jak Jego zmarli suchedniowscy poprzednicy: Ryszard Miernik i Stanisław Pająk. Czuł się z tą swoją „najściślejszą ojczyzną” (wedle określenia Stefana Żeromskiego) bardzo mocno duchowo związany. I dał temu wyraz w swoich książkach, przede wszystkim w nowelach z cyklu „Opowieści wrzosowskie”. Bywał tutaj na wspólnych spotkaniach dyskusyjnych w Centrum Kultury, rozmawialiśmy m.in. o Inflantach, jakimi się też bardzo interesował. Bywał w kieleckim mieszkaniu na Klonowej.

Cieszył się, gdy w warszawskim Domu Literatury gratulowałem Mu nagrody Fundacji Kultury za powieść *Odlot dzikich gęsi*. Sekretarzystałem jury Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego, w którym otrzymał nagrodę za powieść *Góry na niebie*. Następowaty promocje kolejnych książek, wśród nich rozrachunkowej powieści *Rzymska wojna*. Wyszła cała seria jego szkiców i esejów o literaturze krajów nadbałtyckich. I kolejnych związanych z dziejami Hiszpanii. Pracował intensywnie niekiedy nad dwiema pozycjami jednocześnie, jakby nie chciał zaniedbać żadnego z ważnych, fascynujących Go tematów, dociekając źródeł tradycji historycznych. Śpieszył się. W minionym roku wyszła jego najnowsza książka, zapewne nie ostatnia z przygotowywanych do druku. Kłopoty zdrowotne sprawiły, iż zmarł w wieku zaledwie 65 lat. I dlatego tym większy żal do losu.

Obdarzyłeś nas szczerze, Drogi Tadeuszu. Polubili Cię czytelnicy. Wdzięczni za to, co otrzymaliśmy, dziękujemy Ci. Twoja sława trwale będzie opromie-

niać rodzinny Suchedniów i nasze literackie środowisko. Dumni jesteście, że tak owocnie współpracowałeś z nami, wnosząc swój niepowtarzalny w wyrażaniu emocji i refleksji styl.

Żegnaj, wspaniały Przyjacielu, mistrzu artystycznej prozy i przepojonej pasją, dociekliwej publicystyki. W głębokim smutku pozostajemy – bliscy Ci czułym sercem Koleżanki i Koledzy z ZLP.

Stanisław Nyczał

Niezastąpieni

Odchodzą niezastąpieni
i pustka po nich dolega
jak niegojąca się rana.

Patrzymy po sobie niemo,
czemu nas opuszczają,
tak ufnych, bez uprzedzenia.

Los w kącie niczym Sfinks milczy.
Nieprawda, że kpi, że zwodzi,
że czegokolwiek jest pewny.

Czas bieg wskazówek wstrzymuje,
jakby miał cofnąć – bo rana
nie chce się w sercach zbliżnić.

(Pierwodruk w antologii 47. Warszawskiej Jesieni Poezji ...i Wisła świeci jak latarnia... Warszawa 2018, ZLP, s. 119)



7 marca 2003 r. w Suchedniowskim Ośrodku Kultury „Kuźnica” odbyła się literacka biesiada pisarzy wywodzących się z Suchedniowa. Od lewej: Tadeusz Zubiński, Stanisław Pająk (1932–2014), Ryszard Miernik (1929–2013). Artykuł Tadeusza Zubińskiego o tym wydarzeniu pt. *W Suchedniowie, czyli u siebie* wraz z tym zdjęciem opublikowałem w „IKARZE” (2003, nr 4, s. 32) S.N.

Wspomnienie o Józefie Wawroniu (1928–2017)

Kiedym i w jakich okolicznościach spotkał i poznał Józefa Wawronia? Nim odpowiem na to pytanie, muszę rzec słowo o sobie. W roku 1992 niemal zaniewidziałem. Zostałem członkiem Koła PZN w Nowym Dworze Gdańskim, gdzie mieszkał od kilku lat. Począłem wtedy tworzyć ramoty, które przysyłałem do kieleckiego Krajowego Centrum Kultury Niewidomych, organizującego konkursy na „małą formę literacką” – jeden rozstrzygany corocznie w grudniu w czasie Biesiady Literackiej (nagrodzone prace publikowano w almanachach z serii *Jesteśmy i Nasze Wigilie*), a drugi latem na poezję miłosną w konkursie „Eros i Muzy” (z pokłosem w almanachu z cyklu *Erotyki*). Brałem udział w obydwu konkursach. Najpierw zaproszono mnie na imprezę „Eros i Muzy” – bodajże w czerwcu 1994 – do pensjonatu Jodłowy Dwór. Tam go poznałem. Spotykałem się z nim potem nieraz, zwykle na Biesiadach Literackich w Bocheńcu nad Wierną Rzeką i w „Jodłowym Dworze”. Czasem mieszkaliśmy w jednym pokoju we czwórce; ja i on, obaj odyńce, bośmy w pojedynkę przyjeżdżali na imprezy, i śp. Jan Wielgus ze swym przewodnikiem. Były więc okazje do rozmów, o ile Józka i Janka nie garnął pod swoje skrzydła pan Szostak; przygotowywali program artystyczny na wigilię w Kielcach. Ale bywało, że z Józefem wracaliśmy pociągiem z Kielc na północ Polski – ja na Żuławy do Nowego Dworu, on do Świecia nad Wisłą na Kociewie. Rozstawaliśmy się w Warszawie.

Jak się okazało, obaj mieliśmy chłopskie korzenie. On kociewskie, ja łemkowskie. Rozumieliśmy się doskonale. Jego ciekawili łemkowie i łemkowszczyzna z moich rodzimych stron, z Przedgórza Bieszczadzkiego. Opowiadałem zatem o łemkach i góralszczyźnie łemkowskiej. Ponieważ przez kilka lat przed przybyciem na Żuławy mieszkałem na Kociewiu w Starogardzie Gdańskim, poznałem kociewski folklor, nawet historię i mowę pokrewną kaszubskiej. Szukałem cech kociewskiego języka w wypowiedziach Wawronia, w jego utworach.

Zdarzyło się raz, żeśmy się spotkali w Nowym Dworze Gdańskim, gdy współorganizowałem ogólnopolski konkurs literacki dla wszelkiej ma-



ści inwalidów. Z satysfakcją wręczałem nagrodę rzeczową Józefowi Wawroniowi. Spotkałem się z nim jeszcze raz. Było to w Jantarze nad Zatoką Gdańską. Przybył tu wraz z kilku innymi „gryziopórkami” z PZN na tygodniowy turnus rehabilitacyjny, prowadzony przez poetę i krytyka literackiego Stanisława Nyczaja. Ów zaprosił mnie, mieszkającego na „rzut kamieniem” od Jantara, na prelekcję o swojej twórczości literackiej. Owszem, przybyłem. Zamieszkałem w jednym pokoju wraz z Wawroniem i Nyczajem. Był czas na rozmowy, wspomnienia, tu przeszliśmy z Józkiem na „ty”; z Nyczajem od dawna byliśmy po imieniu. Od roku 2006, kiedym się stał również inwalidą ruchu na skutek ropnego zapalenia stawu kolanowego, nie wyjeżdżałem z chaty na dalsze „rajzy”. Doszła mnie wiadomość że Józek „połamał się” i leży w szpitalu. Nie nagabywałem go jednak. Dzwoniłem najczęściej w dniu 19 marca – na Józefa. Ostatnio w 2017 roku z okazji imienin życzyłem pomyślnych wiatrów i długich lat życia. Zdrowia, zdrowia i jeszcze raz – pieniędzy. Tryskał humorem. Jedyne na pogarszający się wzrok narzekał. Wiedziałem, jaskra! Nie było na nią rady.

19 marca 2018 kilkakrotnie wykręcą numer komórkowy Józefa. Stale powtarza się „Nie ma takiego numeru”. Wzywam na pomoc Staszka Nyczaja. Potwierdza najgorsze przypuszczenie: Józek od roku nie żyje. Nie znam nikogo z rodziny, by złożyć kondolencje. Odmówiłem częstą różańca, a nawet kilka za spokój duszy Zmarłego. I tyle! Nic więcej nie pozostaje. Takie jest życie. Na ziemi krótkie, po śmierci wieczyste, ale dla żyjących na ziemi niedostępne. Módl się, Józku, za przyjaciół. Proś Boga, byśmy się z Tobą spotkali w niebiesiech.

Kielecki teatr lustrem dla widza...

(Z Michałem Kotańskim, dyrektorem Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach rozmawia Andrzej Piskulak)

Andrzej Piskulak – Panie dyrektorze, nasza rozmowa dotyczy przyszłości teatru przez Pana kierowanego, który w ciągu dwóch lat z powodzeniem kontynuuje wysoki poziom artystyczny. Osiągnął Pan znaczące sukcesy krajowe i międzynarodowe, podejmując odważne przedsięwzięcia, takie jak m.in. Kielecki Międzynarodowy Festiwal Teatralny czy spektakl „1946”. Z czego to wynika?



Michał Kotański – Zacznę od tego, że w pracy teatru kierowanego przeze mnie istotne jest to, że udaje się zapraszać artystów, którzy są odważni w tym, jak komunikują się z widzem, a także w podejmowanych tematach. Godzą się na pracę u nas, co oznacza, że zespół kielecki jest dla nich partnerem do pracy. Jednocześnie udaje nam się utrzymywać stałą liczbę widzów, co pokazuje, że wyznaczony obecnie kierunek jest przyjmowany dobrze.

A.P. – Podejmuje Pan bardzo ambitne przedsięwzięcia...

M.K. – Te ambitne spektakle mają swoją widownię, co uważam, jest sporym sukcesem. Tym bardziej że nasz teatr jest jedynym w województwie. Bardzo się cieszę z tego, że twórcy z takimi a nie innymi nazwiskami zgodzili się na pracę w Kielcach. Mam tu na myśli między innymi takich reżyserów, jak m.in. Monika Strzępka,

Remigiusz Brzyk, Mikołaj Grabowski. Nie muszę udowadniać, że to jest czołówka polskiego teatru. To jest dla nas oczywiście spory wysiłek. Są to bowiem artyści, którzy mają swoje wymagania, ale jak na razie udaje nam się ten sezon sprawnie i z dobrymi efektami realizować.

A.P. – Ostatnio było głośno o Kieleckim Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym...

M.K. – Udało nam się zaprosić spektakle spoza Kielc i Polski. Dla mnie było to bardzo ważne, żeby skonfrontować naszą widownię z innymi zespołami, z innego rodzaju myśleniem. Zależy mi również, by zespół kielecki miał kontakt z czymś więcej niż tylko nasze zamknięte podwórko. W dzisiejszym zglobalizowanym świecie jest bardzo ważne, by wiedzieć, co się wokół nas dzieje i wychodzić poza przysłowiowy „czubek własnego nosa”. Temu właśnie służył ten festiwal. Mam nadzieję, że w przyszłym roku uda się zrobić jeszcze więcej, a także pozyskamy środki z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

A.P. – Czytałem w mediach ogólnopolskich, że kielecki teatr był zauważany na wielu scenach w kraju...

M.K. – W tym sezonie nasze spektakle są zapraszane na spotkania teatralne m.in. w Krakowie, Warszawie i Olsztynie. Tylko w minionym roku byliśmy na 10. festiwalach. Cieszę się również z tego, że wchodzimy w zupełnie inne przestrzenie. Muszę także podkreślić, że przychodzą do nas młodzi aktorzy, z czego bardzo się cieszę. Jest to również sposób na odświeżanie myślenia i jednocześnie bodziec rozwojowy dla zespołu. Udało nam się przez te 2 lata zdobyć całkiem duże pieniądze z MKiDN zarówno na kwestie inwestycyjne, jak i na działania artystyczne, takie jak wspomniany wyżej festiwal, co jest wsparciem dla rozwoju teatru. W ramach ministerialnego projektu „Teatr Polska” jeździmy do miejscowości, gdzie nie ma teatru. Jest to kolejny nasz krok wychodzenia do widza.

A.P. – Myślę, że może się Pan poszczycić także sukcesami aktorskimi...

M.K. – W tym roku Marta Grąziowska otrzymała za rolę sezonu Nagrodę im. Aleksandra Zelwerowicza przyznawaną przez miesięcznik „Teatr”, która jest jedną z najważniejszych w Polsce. Jej konkurentkami były aktorki m.in. z Teatru Narodowego i Teatru Starego. Warto zauważyć, że Anna Antoniewicz dostała główną nagrodę na festiwalu w Toruniu.

A.P. – Najważniejszym wydarzeniem zarówno w Kielcach, jak i – sądząc po licznych pozytywnych recenzjach – także w Polsce, jest wystawienie w grudniu ub.r. spektaklu pt. „1946”. Przypomnę, że dwa lata temu pojawiła się w Kielcach oddolna społeczna inicjatywa i potrzeba, by stworzyć spektakl, dotyczący krwawego pogromu Żydów w Kielcach. Czy, Pana zdaniem, udało się twórcom – autorowi sztuki, reżyserowi i aktorom wyjść naprzeciw oczekiwaniom?

M.K. – Nie jestem z Kielc. Dopiero premiera spektaklu „1946” uzmysłowiła mi to, jak duże emocje wiążą się z tematem pogromu kieleckiego. Nie ma co ukrywać, że jeżeli mówi się o Kielcach, to mówi się także o tych krwawych wydarzeniach. Reżyser Remigiusz Brzyk lubi budować spektakl wokół tematów lokalnych. Wraz z dramaturgiem Tomaszem Śpiewakiem, z którym współpracuje od lat, mieli okazję dłużej przyglądać się tematowi. Oczywiście, otrzymywałem liczne maile, w których był przedstawiany punkt widzenia ich autorów. Jako dyrektor nie mogłem jednak być cenzorem dla twórców spektaklu. Nie mogłem im nakazać, co mają robić. Tym bardziej że są to doświadczeni twórcy. Myślę, że byłoby uwłaczające, gdybym mówił, jak mają zrobić spektakl.

A.P. – Co, zdaniem Pana, pokazuje „1946” kielczanom?

M.K. – Myślę, że w tym spektaklu udało się pokazać wielość głosów poprzez formę, w jakiej został stworzony. Bardzo ciekawie koresponduje, moim zdaniem, zaprezentowanie spektaklu w kontekście tego, co się dzieje dziś w Polsce i na świecie. Emocje ludzi po spektaklu pokazują, że my opowiadamy nie tylko o wydarzeniu historycznym. Przed premierą i po premierze odbyły się spotkania z widzami. Ludzie przychodzili i chcieli o tym rozmawiać. Były też takie spotkania, których nie byliśmy w stanie zakończyć, ze względu na potrzebę wypowiedziania się widzów na ten temat. I to jest fantastyczne, bo zobaczyłem, że widzowie są gotowi do rozmowy. Potrzebu-

ją partnerskiego traktowania. Nie chcą bitwy ideologicznej i dydaktyzmu. Nie mają jednak przestrzeni publicznej, żeby w sposób swobodny o tym rozmawiać. Ta sztuka i spotkania na temat pogromu kieleckiego, moim zdaniem, dały szansę na to. Jestem z tego bardzo zadowolony.

A.P. – Czy ta sztuka może być, Pana zdaniem, adresowana także do młodego widza?

M.K. – Bardzo bym chciał, żeby ta sztuka trafiła także do młodzieży, ale to wymaga współpracy teatru z dyrekcjami szkół. Myślę, że będzie to wiadome pod koniec stycznia tego roku. Żyjemy w takich czasach, że ludzie są bardzo ostrożni. Ten spektakl staje się trochę lustrem dla środowiska lokalnego. Odślania nasze traumy, lęki i fobie. Mam wrażenie, że ten spektakl robi również dobrą robotę dla teatru, jak i aktorów. Widzę, że przeżyli oni tę sztukę dosyć mocno.

A.P. – Porozmawiajmy teraz o modernizacji i remoncie dotychczasowej siedziby i działalności, która będzie prowadzona w nowych warunkach w WDK. Jak Pan widzi najbliższe sezony teatralne na innych niż do tej pory deskach scenicznych?

M.K. – Przypomnę może, że kielecki teatr jest jednym z najstarszych w Polsce. W nadchodzącym roku będziemy obchodzić 140-lecie jego istnienia. I jest to najwyższy czas na zrobienie remontu. Ponad rok temu udało nam się w końcu uregulować wszystkie sprawy własnościowe, a w lipcu ubiegłego roku rozstrzygnięty został konkurs na koncepcję remontu. Moim zdaniem, został wybrany projekt, który jest najbardziej elegancki i nie ingeruje tak mocno, jak inne projekty, w przestrzeń teatru. Myślę, że w pierwszej połowie tego roku będziemy mieli domknięty finalny projekt. W tym roku będziemy finalizować sprawę funduszy na ten cel. Równolegle w Wojewódzkim Domu Kultury idą przygotowania do remontu budynku, dzięki czemu będziemy mieli siedzibę tymczasową na okres od 2019 do 2022 roku.

A.P. – Wszystko zatem idzie w dobrym kierunku...

M.K. – Przede wszystkim staramy się tak wszystko zaaranżować, by w trakcie remontu móc funkcjonować na dotychczasowym poziomie, grać spektakle obecne w repertuarze i produkować nowe w dotychczasowym tempie.

A.P. – Kolejną sprawę, jaką chciałem poruszyć, czynię jako przedstawiciel Związku Literatów Polskich. Czy widziałby Pan współpracę

z kieleckimi pisarzami. Do tej pory na kieleckich deskach wystawiane były sztuki m.in. Andrzeja Lenartowskiego, Jana Krzysztofczyka, Henryka Jachimowskiego. Czy widziałby Pan kieleckich twórców jako swoich współpracowników? Czy możliwe byłoby wypracowanie współpracy?

M.K. – Jestem otwarty na współpracę. Jeśli uda się skomunikować ze sobą reżysera z pisarzem, to taka współpraca jest możliwa. Każda taka inicjatywa i każde miejsce, które integruje środowiska, jest ważne. W przyszłym sezonie będzie kontynuowana również współpraca z Krakowską Szkołą Teatralną. A z okazji 140-lecia teatru być może będzie wystawiona sztuka w oparciu o *Widnokrąg* Wiesława Myślińskiego – pisarza związanego z regionem świętokrzyskim.

A.P. – Dziękuję za rozmowę.

Michał Kotański (rocznik 1976) pełni funkcję dyrektora Teatru im. Stefana Żeromskiego od 16 listopada 2015 roku. Jest reżyserem teatralnym, absolwentem Wydziału Reżyserii Dramatu w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie, studiował też filozofię na Uniwersytecie Warszawskim.

Był asystentem m.in. Andrzeja Wajdy, Krystiana Lupy, Jerzego Jarockiego, Mikołaja Grabowskiego, Jerzego Golińskiego, Achima Freyera i Dana Jemmetta. Wyreżyserował ponad dwadzieścia spektakli – od sztuk kameralnych po wieloobsadowe inscenizacje na dużych scenach.

Wśród realizacji warto wymienić kilka wybranych:

- *Krzyżacy* Henryka Sienkiewicza, Teatr im. Wilama Horzycy, Toruń (2016);
- *Świętoszek* Moliera, Teatr im. Stefana Jaracza, Olsztyn (2015);
- *Poskromienie złoŃnicy* W. Szekspira, Teatr Bagatela, Kraków (2015);
- *Dzieje grzechu* S. Żeromskiego, Teatr im. S. Żeromskiego, Kielce (2014);
- *Mefisto* Klaus Manna, Teatr „Bagatela”, Kraków (2014);
- *Instant opera. „Adult crying inventory”* Expedithalle in Ankerbrotfabrik w Wiedniu (2014);
- *Don Juan* Moliera, Teatr im. C.K. Norwida, Jelenia Góra (2013);
- *Układ* Elii Kazana, Teatr Bagatela, Kraków (2013);

- *Kariera Nikodema Dyzmy* Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, Teatr im. S. Jaracza, Olsztyn (2013);
- *Być jak Kazimierz Deyna* Radosława Paczochy, Teatr im. J. Szaniawskiego, Płock (2012);
- *Anna Karenina* Lwa Tołstoja, Teatr im. L. Kruczkowskiego, Zielona Góra (2012);
- *Przed odejściem w stan spoczynku* Thomasa Bernharda, Teatr Studio im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Warszawie (2010);
- *Produkt* Marka Ravenhilla, Teatr im. S. Jaracza, Olsztyn (2009);
- *Loretta* George F. Walker, Teatr Wybrzeże, Gdańsk (2008);
- *Spalenie matki* Pawła Sali, Teatr Wybrzeże, Gdańsk (2007);
- *Opowieści o zwyczajnym szaleŃstwie* Petra Zelenki, Teatr im. W. Bogusławskiego, Kalisz (2007);
- *Językami mówić będą* Andrew Bovell, Narodowy Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej, Kraków (2006);
- *Komediant* Thomasa Bernharda, Teatr im. W. Horzycy, Toruń (2005);
- *Tajemna ekstaza* Davida Hare, Teatr Powszechny im. Z. Hübnera, Warszawa (2005);
- *Polaroidy* Marka Ravenhilla, Narodowy Stary Teatr im. H. Modrzejewskiej w Krakowie (2003).



Poeta dłuta i pędzla

Rozmowa z Wincentym Kućmą – profesorem zwyczajnym Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, znanym nie tylko w Polsce rzeźbiarzem i malarzem

Jan Lechicki – Panie profesorze, urodził się Pan w Zbelutce na Kielecczyźnie. Liceum Sztuk Plastycznych ukończył Pan w Kielcach, a więc jak się to u nas mówi, jest Pan z krwi i kości góraliem świętokrzyskim.

Wincenty Kućma – Nie da się ukryć, urodziłem się na Ziemi Świętokrzyskiej, ale góraliem to ja nie jestem, bo moje miejsce urodzenia, wieś Zbelutka, należąca do gminy Łągów, miejscowością górską nie jest. Ale myślę, że w moim charakterze jest coś góralskiego. Mam tu na myśli upór w dążeniu do celu. A o tym, że Świętokrzyska Ziemia jest mi bliska, niech świadczy pomnik mojego autorstwa poświęcony Świętokrzyskim Partyzantom Armii Krajowej, który stoi w parku obok kieleckiej Kurii Biskupiej. Oprócz tego mojego autorstwa w Polsce są też: Pomnik Obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku, pomnik Poległym w Obronie Ojczyzny w 1939–1945 r. w Częstochowie, pomnik Powstania Warszawskiego 1944 r.

J.L. – Ale są jeszcze w Polsce inne miejscowości, w których są Pana wybitne prace. Jakie to miejscowości?

W.K. – Kraków, Iwonicz Zdrój, Dębica, Tarnów, Brzesko, Wola Radziszowska, Pasierbiec, Koszalin, Poczernin koło Szczecina, Warszawa, Strzelce Wielkie, Toruń Rybaki, Toruń Rubinkowo, Przyśietnica, Połaniec, Kielce, Krynica, Krościenko, Miejsce Piastowe, Zawiercie, Pawlikowice, Orkusz, Tarnów Mościce, Katedra w Irkucku – Rosja, Baranowice – Białoruś. Moje prace znajdują się w zbiorach muzeów: Krakowa, Warszawy, Poznania, Wrocławia, Fromborku, a za granicą w Barcelonie, Sofii i Rawennie. Dla uzupełnienia informuję, że prace swoje eksponowałem w 80. wystawach i w 40. wystawach indywidualnych w kraju oraz w 60. wystawach za granicą.

J.L. – Oddzielną twórczością Pana Profesora jest twórczość sakralna, a są to przede wszystkim ołtarze, które jak to mówią, wyszły spod dłuta Pana Profesora. Jest ich niemało, bo ponad sześćdziesiąt m.in. znajdują się one w Krakowie, Dębicy, Krościenku, Woli Radziszewskiej, Olkuszu, Irkucku i na Sachalinie. I na końcu godzi się przypomnieć, że ten olbrzymi dorobek twórczy Pana Profesora został dostrzeżony w kraju i za granicą.

W.K. – Ja z wielu publikacji odnotowałem m.in. następujące odznaczenia: Order Polonia Restituta, Krzyż Komandorski z Gwiazdą, złota odznaka Zasłużony Kulturze Gloria Artis, Złoty Medal Ojca Świętego Jana Pawła II, nagroda I stopnia Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz tytuł profesora honorowego Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

J.L. – Panie Profesorze, nie ma co ukrywać, skończył Pan 80 lat i nadal Pan pracuje. Proszę się pochwalić, co ostatnio wyszło spod pańskiego dłuta?

W.K. – *Golgota podgórska* i ogród rzeźb przy kościele św. Józefa w krakowskim Podgórzu oraz 14 witraży do Kamerunu.

J.L. – Jest Pan wybitnym twórcą. Ja jestem też twórcą, piszę między innymi wiersze. Proszę powiedzieć, co łączy rzeźbiarza i malarza z inną twórczością, jaką jest poezja?

W.K. – Ja myślę, że bardzo wiele. Ale na ten temat, moim zdaniem, dokładnie wypowiedział się pan doktor w wierszu, który pan zadedykował mojej osobie w książce pt. *Reliefy serca*. Wiersz ten przytaczam w całości.



Poeta dłuta

Wincentemu Kućmie

jesteś poetą dłuta
i metafizycznej wyobraźni
twoje reliefy pomniki
ołtarze i rzeźby
zbudowane z materii martwej
ożywione poetycką metaforą
żyć będą przez wieki
we wdzięcznej pamięci
i w ludzkich sercach

I na ten temat nie mam nic więcej do powiedzenia, ponieważ w całości odpowiada on na zadane pytanie.

J.L. – Dziękuję za rozmowę i życzę Panu Profesorowi zdrowia i dalszych wspaniałych dzieł. Wierzę w to, bo wiem z autopsji, że twórcy na emeryturę nie chodzą.

Skok na szerokie wody

Rozmowa ze Stanisławem Nyczajem

Andrzej Piskulak
– Wychowywałeś się i kształtowałeś w Opolu. Dlaczego sprowadziłeś się do Kielc?

Stanisław Nyczaj – Z sentymentem powracam myślą do Opolu, w którym po debiucie książkowym – tomikiem *Przerwany sen* (LSW, 1968) z piękną grafiką Zdzisława Chudego – autentycznie przewodziłem środowisku młodoliterackiemu, będąc wpieryw przewodniczącym Ośrodka KKMP, a potem także Koła Młodych przy Oddziale ZLP.

Dowodem tych moich ciągłych powrotów niech będą: wydany w ubiegłym roku zbiór rozmów i wspomnień *Wśród pisarzy 2* z sylwetkami Kazimierza Kowalskiego, Wiesława Malickiego, Karoliny Turkiewicz-Suchanowskiej i dopiero co ukończone studium wspomnieniowe pt. *Taniec z Pamięcią. Wokół opolskich lat Jerzego Grotowskiego*. Z wymienionymi pisarzami byłem w bliskich kontaktach, jakie ciekawie owocowały artystycznie, a Grotowski? To był mistrz, który zarówno rewelacyjnymi spektaklami w Teatrze Laboratorium „13 Rzędów”, jak i nowatorskim spojrzeniem na teatr i sztukę silnie oddziałał na moją wyobraźnię. Skoro wiele z Opolem mnie kiedyś połączyło, słusznie pytasz: dlaczego wyjechałem? Otóż po dobrym w miarę przygotowaniu się nas młodych do wspólnego startu serią arkuszy poetyckich w Wydawnictwie „Śląsk” i wydaniu na miejscu almanachu *Próg* (1967), w latach 1971-72 władze partyjne zlekceważyły ambitne środowisko w staraniach o coś więcej, stłamsiły w zarodku nowe inicjatywy wydawnicze, a ja po trzech latach redagowania „Kwartalnika Nauczyciela Opolskiego”, chciałem, jak raz, zaangażować się w ruch edytorski, rozwinąć w kierunku literatury dział wydawnictw Instytutu Śląskiego. Odmówiono mi etatu, chcąc przygasić mój zapał i upokorzyć. Nie spodziewano się mojej



aż tak odważnej ucieczki po większe szanse – do Kielc. Zachęcony przez Henryka Jachimowskiego, przyjechałem z początkiem października 1972 nad Silnicę, której nurt rychło się ożywił. Stworzyliśmy podwaliny wydawnictwa na WSI (późniejszej Politechnice Świętokrzyskiej), a następnie Literacką Bibliotekę „Przemian”, załączek oficyny literackiej pod auspicjami Wydawnictwa Łódzkiego, Oddział WŁ we współpracy z Ośrodkiem Kultury Literackiej na Wspólnej 8a, wreszcie – gdy ukazało się sporo nowych tytułów – w sześciorgo stworzyliśmy z początkiem lutego 1984 Kielecki Oddział ZLP (z Sylwestrem Banasiem, Agnieszką Barłóg, Ryszardem Miernikiem, Bogusławem Pasternakiem, Stanisławem Rogalą).

A.P. – Czym dla Ciebie jest uprawianie literatury?

S.N. – Pasją zmagania się ze słowem dla pełniejszego wyrażenia swoich intuicji, refleksji, emocji skrywanych w sercu, także niepokojów, jakich – co dotkliwie odczuwam – przybywa. To moje uprawianie literatury za każdym podejściem jest równocześnie wypracowywaniem własnego stylu. Sam wiesz, bo jesteś też lingwistą, że można niemało osiągnąć nieustępliwym wysiłkiem wyobraźni, przekraczając inwencją słów, metaforą samonarzucające się stereotypy. A co tyczy tematyki, zwłaszcza rozrachunkowej,

z nieuniknionymi nawiązaniem do przeszłości? – otóż właśnie nawet te najlepsze tradycje, do jakich chętnie powracam, raz po raz staram się odnawiać w sobie poprzez ożywiający dopowiedzenia. Uprawiając literaturę, poczuwam się nadto, by zdobytą samoświadomością choćby wrażliwie dotknąć pulsu swoich czasów. W tomie *Arcymiara* z 2014 jest np. wiersz pt. *Nasz łaskawy Pan But Ekonomii*, który był przedmiotem interpretacji recenzentów:

Nasz łaskawy Pan But Ekonomii
złotymi zelówkami
przyciska nam głowy do ziemi
(„złotymi”! – czyż można przyjaźniej?).

To Jego butne kroki
wystukują na bruku donośnie
małe nasze prawa,
wielkie obowiązki
i za/szczytny Nowy Dekalog.

Kiedy zezwala podnieść głowy,
stając... na dziękczynnych kolanach,
wpatrzeni jak w obraz,
obłapiamy czcigodne cholewki.

Krystyna Cel w „Gazecie Kulturalnej” (2014, nr 4) zauważa: „Utwór w obrazowy sposób i z dużą dawką ironii, a nawet sarkazmu, ukazuje, jakie na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat dokonały się zmiany nie tylko w świecie, ale i w naszej mentalności. Jeśli zważymy, że to my przecież tworzymy rzeczywistość, to okaże się, że ten łaskawy Pan But Ekonomii jest naszym dziełem i że jest jak miecz obosieczny, bo w końcu zwraca się przeciwko nam – w jego Nowym Dekalogu możemy być już tylko niewolnikami”. W słowie wstępnym do wyborów wierszy *Żarliwy niepokój* w językach polskim i angielskim oraz polskim i bułgarskim z 2015 Stefan Jurkowski napisał: „Nie ma tu czułości, patosu, dydaktyzmu. Nyczaj nigdy nie jest dosłowny, jednoznaczny, konwencjonalny w poetyckim języku i diagnozach. Posługuje się niedopowiedzeniem, ironią, bywa sarkastyczny”.

A.P. – Tak, pamiętam tę wypowiedź, podkreślającą dalej, iż „Warsztat poetycki Nyczaja jest bardzo precyzyjny, a nieokiełznana wyobraźnia, ciągłe przekraczanie samego siebie, wreszcie wycucie języka, umiejętność zestawiania słów w taki sposób, aby powstawały nowe zakresy

semantyczne, wielość kręgów tematycznych oraz indywidualne, osobne widzenie świata – to wszystko sytuuje twórczość Nyczaja w samej czołówce poetów polskich”.

S.N. – Jeszcze muszę zapracować na tę lokatę. Tymczasem cieszę się z obecności w obydwu tomach Wydawnictwa Pisarze.pl: *Antologii poetów polskich 2016* i *Antologii poetów polskich 2017*, które miały niedawno, pod koniec marca, świętokrzyską promocję w kieleckim Domu Środowisk Twórczych.

A.P. – Jak wynika z wcześniejszej wypowiedzi, redagowanie książek literackich było Twoją równorzędną pasją...

S.N. – Dążyłem, aby stało się również domeną zawodową. Przecież najlepiej jest, gdy robimy to, co lubimy. Choćby przy tekstach literackich w czasopismach, gdzie redakcja jest współgwarancją poziomu. Po „Kwartalniku Nauczyciela Opolskiego” otarłem się o miesięczniki: na krótko „Opole”, mocniej o „Przemiany”, „Ikara”, wreszcie utworzyłem w połowie 1977 na długie lata (do dziś) „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”. Ale zauważyłem, że każda nowo wydana przy moim udziale książka i jej promocja cieszą mnie jeszcze bardziej. Pod moją redakcją ukazało się wiele debiutanckich arkuszy poetyckich i w Kielcach, i przy Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie. Na dobrą sprawę, z ruchem wydawniczym jako redaktor książek związany jestem z nieprzerwaną ciągłością od roku 1983. Zmieniały się tylko miejsca: po Oddziale Wydawnictwa Łódzkiego w Kielcach było kieleckie Wydawnictwo „Dom Książki”, potem nastąpiły dwie oficyny – Oficyna Wydawnicza „STON” Sp. z o.o. w Radomiu, współtworzona z pisarką Teresą Opoką, i od 1994 do teraz działa moja rodzinna Oficyna Wydawnicza „STON 2” w Kielcach, kierowana przez żonę Irenę, mającą znaczący tytułowo dorobek. Konsekwentnie miałem i mam w większości tytułów pieczę nad stroną redakcyjną; korektą i oprawą graficzną zajmuje się żona, a opracowaniem komputerowym – syn Paweł. Niejako po drodze cztery lata benedyktyńskiej wprost pracy poświęciłem dwóm pierwszym tomom edycji *Pism* Stanisława Piętaka, wydanym przez LSW w roku 1986. Opracowałem je z obszernym komentarzem, ocalającym wiele wartościowych rękopiśmiennych i rozproszonych po czasopismach wariantów wierszy i poematów poety z różnych okresów twórczości.

Z najnowszych pomysłów edytorskich za trafiony uważam ten związany z serią pod moją redakcją pn. „Portrety Literackie”; serią promującą twórczość współczesnych pisarzy poprzez rzetelne i ciekawe jej zaprezentowanie w różnej formie, np. omówienia z interpretacją, rozmowy rzeki.

A.P. – Dalesz się poznać z aktywnej działalności w Związku Literatów Polskich. Czym dla ciebie jest przynależność do tej organizacji pisarskiej?

S.N. – Do ZLP należę od roku 1977, przyjęty po opublikowaniu trzech tomików poetyckich. Naprzód byłem w Łódzkim Oddziale. Dopiero w 1984 powstał Kielecki Oddział, o czym już tu wspominałem. Byłem sekretarzem w jego Zarządzie, kierując jednocześnie od 1973 Kielecko-Radomskim Nauczycielskim Klubem Literackim. Od 1996 jestem prezesem naszego Oddziału, w którego rozwój zaangażowałem ogromnie wiele energii. Od przejścia prezesury w okresie organizacyjnego głębokiego kryzysu Oddział powiększył się trzykrotnie – do liczby 53 członków w chwili naszej rozmowy, co wśród 20 oddziałów sytuuje nas na drugim miejscu za Oddziałem Warszawskim. Poświęciłem się tej organizacji pisarskiej znowuż z całą pasją, by stworzyć na Żeromszczyźnie środowisko promieniujące nie tylko na kraj. Opiniowane przeze mnie kandydatury zainteresowanych autorów, z którymi współpracowałem, przechodziły przez surową Komisję Kwalifikacyjną i Prezydium Zarządu Głównego ZLP. Organizacja ta, tak bardzo wzmocniona, stała się dla nas, jak sądzę, trampoliną do skoku na szerokie wody. Nie zaniedbując własnej działalności pisarskiej (wydałem ponad 20 książek lirycznych, satyrycznych, w tym 3 dwujęzyczne w j. polskim i czeskim, polskim i bułgarskim, polskim i angielskim, jak też 3 eseistyczne) i edytorskiej (zredagowałem i opatrzyłem wstępami lub posłowiami kilkaset tomów), zainicjowałem i poprowadziłem liczne sesje literackie, a od 2005 roku plenery z seminariami dyskusyjnymi sprzyjające nowym twórczym inspiracjom na Żeromszczyźnie, w Jałcie (2008), 8-krotnie w Zakopanem (nie licząc 6. Posiadów „U Szymborskiej”), 4-krotnie w Sandomierzu, 9-krotnie w Staszowie, 10-krotnie z cyklu Nadmorskich Spotkań Literackich w Dźwirzynie, Ustroniu Morskim, Kołobrzegu, Międzywodziu, ponidziańskiego literacko-plastycznego w Busku-Zdroju (2017). Byłem inicjatorem i jurorem konkursów: im. M. Reja w Nagłowicach (1998), satyrycznego w Wąchocku (2002), dwu im. St.

Żeromskiego (2003, 2014), przewodniczącym jury dziesięciu edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. F. Raka w Krasocinie, animatorem przeglądów i promocji twórczości m.in. podczas dorocznych Świętokrzyskich Wiosen Literackich, Świętokrzyskich Jesieni Literackich czy Weekendów Literacko-Artystycznych w świętokrzyskich gminach, np. 3-krotnie w twoim Zagnańsku. Prowadziłem wielokrotnie w Warszawie (auli Domu Literatury, salach bibliotek i domów kultury w kilku dzielnicach) gale świętokrzyskich poetów podczas dorocznego festiwalu „Warszawska Jesień Poezji”, jak również podobne gale w czasie epizodów Światowych Dni Poezji UNESCO i Festiwalu Poezji Słowiańskiej w Kielcach, Suchedniowie, Staszowie, Połańcu, Rytwianach.

Autentycznie cieszę się z udziału swojego i przyjaciół z Oddziału w wielu antologiach poetyckich, aforystycznych z uwieńczeniem 11. nazwiskami w *Antologii poetów polskich 2016* i *Antologii poetów polskich 2017* Wydawnictwa Pisarze.pl, z udziału mojego wraz z Benedyktem Kozięciem (wiceprezesem Oddziału) w dwujęzycznej serii „Mosty” warszawskiego Wydawnictwa „lBiS” w językach polskim i angielskim, polskim i greckim, polskim i włoskim, z mojej reprezentacji naszego środowiska w dwujęzycznej antologii poezji słowiańskiej *Iz wieka w wiek / Od wieku do wieku* (Moskwa 2011).

Nie da się wszystkiego, co ciekawie zaistniało i przyniosło nam niemałą popularność w regionie, kraju i niektórych krajach, tu przywołać, a tym trudniej scharakteryzować. Ale ten ogrom zdarzeń pokazuje, iż trwa – w dużym stopniu sprawiona przeze mnie – dobra passa świętokrzyskiej literatury, wciąż nie dość nam sobie uświadamiana, bo przyzwyczailiśmy się do tego, co uważamy za normalne, że sporo się dzieje i że tak ma być stale. I że trzeba tylko mieć chęć aktywnego w tym uczestniczenia. Żeby nie było monotonie, dodam, iż jesteśmy w przededniu Świętokrzyskiej Satyriady według pomysłu mojego i Jacka Wiatrowskiego – wspaniałego animatora kultury, wspierającego nasze imprezy, którego niedawno powołałem na przewodniczącego Klubu Przyjaciół Świętokrzyskich Literatów. Uczestniczy w naszych akcjach dosłownie „z biegu” jako prezes Stowarzyszenia „Biegacz Świętokrzyski”; zwycięża w plebiscytach uznania i popularności „Echa Dnia”. Mnie tylko raz w tym rankingu się powiodło, kiedy to w plebiscycie „Echa Dnia”

z czerwca 2014 na Człowieka 25-lecia zostałem wyróżniony w kategorii KULTURA.

A.P. – Kielczanie zapamiętają cię jako animatora kultury, a przede wszystkim jako propagatora czytelnictwa książek w mieście i całym województwie...

S.N. – Uobecniam się jakoś w działaniach twórczych, animatorskich, to może i w pamięci kielczan zapracuję sobie na tę wdzięczną „nieśmiertelność”. Mogę pomarzyć, skoro obiecujesz, że „zapamiętają”. Moi studenci z Politechniki Świętokrzyskiej, których spotykam, choć minęło wiele lat, mile wspominają prowadzone przeze mnie przez pewien czas na piątym roku wszystkich wydziałów (mechanicznego, elektrotechnicznego i budownictwa lądowego) zajęcia z wybranych zagadnień kultury współczesnej. Był to ważny przedmiot kończący się zaliczeniem z oceną w indeksie. Opracowany przeze mnie program dofinansowany ze środków ministerstwa, jedyny pośród uczelni technicznych w Kielcach, realizowałem przy zaangażowaniu twórców z naszego regionu. Przyjechał raz na dyskusję ze studentami o *Sowizdrzale świętokrzyskim* (książce i filmie) Józef Ozga Michalski z reżyserem Henrykiem Klubą. „Zarażałem” techników (niebawem z cenzurem inżynierskim), ale też ich koleżanki z pobliskiej WSP – krąg słuchaczy z roku na rok się powiększał – filmem, teatrem, muzyką (od poważnej po różne formy lekkiej), sztuką, literaturą, działaniami środków masowego przekazu (nazywanych potem mediami). Studenci, mając bezpośredni kontakt z wieloma pisarzami, chętniej sięgali po ich książki. A w regionie do lektur zachęcaliśmy różne czytelnicze środowiska poprzez częste promocje naszej poezji i prozy podczas spotkań autorskich i dyskusyjnych w bibliotekach, klubach, centrach kultury. Dbam, by nie słabła ich częstotliwość.

A.P. – Opowiedz o swoich zainteresowaniach i pasjach pozaliterackich...

S.N. – Chyba wystarczą te trzy pasje główne: twórcza, edytorska, animatorska. Ale jeśli coś trzeba jeszcze dodać, wspomnę, że w 14. roku życia, ukończywszy opolską 7-letnią klasę fortepianu w Szkole Muzycznej I stopnia, zagrałem z orkiestrą Koncert D-dur Mozarta. Brawurowo, bez tremy. Szkoda, że absolwentów nie nagrywano, choćby dla radia. Od tamtej pory jednak zrezygnowałem z występów w salach koncertowych. Słaby wzrok (noszę szkła 16 dioptrii), pomimo kilku operacji

na wrodzoną kataraktę obu oczu, uniemożliwia mi swobodne czytanie nut z pulpitu, więc gram ze słuchu czasami na domowym pianinie, nie nadużywając cierpliwości sąsiadów bloku na Bocianku przy Kasprowicza 1. Na filmiku nominowanego z początkiem tego roku do X edycji „Świętokrzyskiej Victorii”^{*)} wykonuję własną młodzieńczą kompozycję, po czym, stanąwszy przy oknie, recytuję wiersz.

Rozmawiał Andrzej Piskulak

^{*)} Stanisław Nyczaj, będący też członkiem Sekcji Polskiej Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), jest laureatem **literackich nagród regionalnych**, m.in. miesięcznika „Przemiany” za tom *Najcichsza odwaga* (1977), pn. Świętokrzyska Premiera Literacka za tom *Wierszy wybranych* (1994), Miasta Kielce (2000) za całokształt dorobku twórczego i za całokształt dokonania Marszałka Województwa Świętokrzyskiego i Zarządu Urzędu Marszałkowskiego (2016), jak też **nagród ogólnopolskich**, m.in. w konkursie „Głosu Nauczycielskiego” za poemat *Puls* z muzyką Mirosława Niziurskiego (1988), im. Jarosława Iwaszkiewicza za studium eseistyczne *Metafizyka tworzenia i Poezje wybrane* wydane w serii Biblioteka Poetów LSW (2008), im. Witolda Hulewicza za zbiór rozmów i wspomnień *Wśród pisarzy* i osiągnięcia w popularyzacji Żeromskiej (2010), Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za tom poetycki *Arcymiaro* i osiągnięcia animatorskie (2014), XVI Światowego Dnia Poezji UNESCO (2016) i Złotego Pierścienia z Orłem podczas XVII Światowych Dni Poezji UNESCO za osiągnięcia literacko-animatorskie (2017). Wyróżniony przyjęciem do Słowiańskiej Akademii Literatury i Sztuki w Warnie za przekłady poezji na języki słowiańskie, w tym za wspomniany wcześniej tom dwujęzyczny w j. polskim i bułgarskim pt. *Żarliwy niepokój / Płamienna bieżpokoństwo* (2015). Odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim OOP (1998), Brązowym Medalem *Gloria Artis* (2014). Jego sylwetkę twórczą zaprezentowała Krystyna Cel w książce pt. *Stanisław Nyczaj* z serii Sylwetki Współczesnych Pisarzy AW „Gens” (1999). Całokształt dorobku ujmuje Wikipedia.



W filii mokatowskiej MBP w listopadzie 2017 dyr. Elżbieta Frankiewicz otwiera spotkanie autorskie Stanisława Nyczaja pn. *POJEDYNEK Z LOSEM*, w którym partnerem poety był Jan Rychner. Po ekscytującym „pojedyнку” poeta wygłosił swoje credo, uzasadniając jego bogatą wymowę wybranymi z dorobku utworami. Licznie zgromadzeni warszawscy twórcy byli poruszeni wydarzeniem; Stanisław Stanik pogratulował poecie osiągnięć także w dziedzinie eseistyki w związku z serią rozmów i wspomnień *Wśród pisarzy*.

Fot. Jadwiga Sivińska-Pacak



W lutym br. w warszawskiej MBP na Pradze-Południu dyr. Mirosława Majewska zapowiada wieczór z poezją Krystyny Cel i Stanisława Nyczaja pn. *DIALOG SERC*. Wiersze interpretowali: Lidia Lewandowska-Nayar i sam poeta, a tłumacz jego wierszy na język bułgarski Łyczczar Seliaszki przeczytał wybrane strofy w oryginale z tomu *Żarliwy niepokój*.

Na ekranie wyeksponowany został cykl wierszy Krystyny Cel *Kaprysy Muz* zilustrowany kolażami Ireny Nyczaj. Interludia wokalne, utrzymane w klimacie wieczoru, usłyszeliśmy w wykonaniu Małgorzaty Siemienieć.

Fot. Marzena Płocka



47. Warszawska Jesień Poezji 12-14 października 2018

Wskutek braku środków finansowych grono uczestników Jesieni było nieliczne. Z regionalnych Oddziałów ZLP przybyli pojedynczo poeci z Krakowa, Poznania, Kalisza, Lublina i najliczniej tylko z kieleckiego, gdyż w programie tegorocznego festiwalu przewidziano Świętokrzyską Galę Poezji, zwieńczającą drugi dzień składających się nań imprez literackich.

Zamieszkaliśmy w pięknych hotelowych pokojach Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu, skąd z trzeciego piętra zabytkowej kamienicy przez niewielkie okienka rozpościera się wspaniały widok na Zamek Królewski i Plac Zamkowy z królującą nad nim Kolumną Zygmunta. Dla nas, przyjezdnych, to bardzo istotne i cenne miejsce – mieszkać w samym sercu Stolicy... Poza tym, w klimatycznych wnętrzach kamienicy na pierwszym piętrze znajduje się siedziba Warszawskiego Oddziału, reprezentacyjna, stylowa Sala konferencyjna z fortepianem, w której odbywają się inauguracje, wręczenia nagród, sympozja, sesje, koncerty, promocyjne Środy Literackie, spotkania autorskie Warszawskiej Jesieni Poezji. Smaczkiem szczególnym pobytu w Domu Literatury jest sama winda. Przeszklona historyczna winda, która porusza się z szybkością starego żółwia i, w dodatku, trzeba cały czas trzymać palec na przycisku, bo przestaje działać. To jest winda, za którą się tęskni.

P o c z u ć t o z w o l n i e n i e czasu. Pytać samego siebie: gdzie się tak spieszysz?

Mieszkałam trzy razy w Domu Literatury, w którym czas jakby stanął w miejscu. I to jest urokliwe. Nie mogę też pominąć obiadów literackich, jakie konsumujemy w restauracji na parterze, noszącej adekwatną do miejsca nazwę „Literatka”. Obiady „literackie” po 12 zł. To też dodatnia specyfika restauracji, choć długo się na nie czeka i zawsze jest problem z... literackim deserem. Ale to drobiazg i nie o tym przecież chciałam...

Tegoroczna, już 47. Warszawska Jesień Poezji. Znajome twarze, gustowne akcenty dekoracyjne, wyeksponowane cytaty, plakaty z logo ZLP i otwarta, lśniaca kłapa fortepianu, na którym w tym roku młoda artystka zagrała kilka mazur-

ków Chopina. Przewodnim hasłem tegorocznej Jesieni było Mazowsze, stąd też utwory urodzonego w Żelazowej Woli kompozytora. Muzyce towarzyszyły wiersze autorów związanych z Mazowszem, m.in. K.I. Gałczyńskiego, W. Broniewskiego, K.K. Baczyńskiego, J. Lechonia, W. Słobodnika, J. Przybosia, T. Kubiaka, J. Ficowskiego, Cz. Miłosza, M. Białoszewskiego, które pięknie interpretowała dwójka młodych aktorów: Anna Tomala Jarosik i Michał Tomala Jarosik. Wiersze wymienionych poetów znajdują się w I części antologii 47. WJP, zatytułowanej *...i Wisła świeci jak latarnia...* (cytat z wiersza K.I. Gałczyńskiego *Dzikię wino*) ze wstępem, tradycyjnie, prezesa ZG ZLP Marka Wawrzekiewicza. Po koncercie poetycko-muzycznym zgromadzonych w auli literatów powitali organizatorzy WJP: prezes WO ZLP Aldona Borowicz i wyż. wym. prezes Marek Wawrzekiewicz. Na scenę został poproszony poeta i animator kultury Kazimierz Kochański, któremu wręczono Odznakę Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” za działalność kulturalną i współorganizację imprez WJP na terenie Grójca. Następnie Aldona Borowicz złożyła gorące podziękowania zaproszonemu na festiwal poloniście z XXX LO im. J. Śniadeckiego za kilkuletnią owocną współpracę w zakresie organizowania lekcji poetyckich dla uczniów tejże szkoły, odbywających się w ramach WJP. Lekcje poetyckie w każdym roku (przed uroczystościami głównymi festiwalu) przeprowadzane są na terenie szkół warszawskich oraz okolicznych miejscowości. Po podziękowaniach ze strony organizatorów wiceprezes WO ZLP Zbigniew Milewski ogłosił nazwiska laureatów Nagrody im. J. Słowackiego i J. Iwaszkiewicza. W tym roku Jury postanowiło przyznać dwie równorzędne nagrody: Waldemarowi Michalskiemu z Lublina za całokształt twórczości poetyckiej, krytycznej i przekładowej oraz Elżbiecie Musiał z Kielc za całokształt twórczości poetyckiej, szczególnie za odnowienie formy poematu, za eseistykę i krytykę. Elżbieta Musiał – podkreślił Zbigniew Milewski – jest pierwszą kobietą, która otrzymała nagrodę im. J. Słowackiego. Nagrodę im. J. Iwaszkiewicza otrzymał wybitny znawca najnowszej poezji polskiej prof.

Andrzej Zieniewicz oraz prezes WO ZLP Aldona Borowicz za popularyzację literatury i długoletnią działalność (od 2002 r.) w ZLP. Należy podkreślić, iż Aldona Borowicz swoją nagrodę przekazała na rzecz Oddziału Warszawskiego ZLP.

Po wręczeniu pięknych statuetek i obszernym przedstawieniu dorobku laureatów przez członków Kapituły, nastąpiła prezentacja wybranych utworów przez nagrodzonych twórców. Potem ogłoszono przerwę, podczas której pobiegłam na Plac Zamkowy, aby zaczerpnąć atmosfery obleganej przez turystów Starówki. Przez moment poczułam się jak na krakowskim Rynku... było ciepło, gwarno i jakże europejsko! Akurat na Placu Zamkowym odbywał się znakomity koncert z okazji Odzyskania Nieodległości. Zbliżała się jednak godz. 20.00 i w auli miała nastąpić promocja wspomnianej antologii 47. WJP. Poprowadzili ją sprawnie warszawscy poeci: Ewa Zelenay i Grzegorz Trochimczuk. W antologii pt. *...i Wisła świeci jak latarnia...*, składającej się z trzech części – jak pisze we wstępie Marek Wawrzkiwicz – „zamieszczony jest niewielki wybór wierszy spośród tych, jakie powstały w okresie 100-lecia Niepodległości. Nie ma pośród nich poetów żyjących”. W części II znajdują się wiersze 65. poetów zrzeszonych zarówno w WO ZLP, jak i w innych oddziałach. Część III to biogramy prezentowanych poetów. Publikację zredagowali: Zbigniew Milewski i Andrzej Wołosewicz przy współpracy Aldony Borowicz i Marka Wawrzkiwicza. Autorem projektu okładki oraz zdjęć jest Grzegorz Trochimczuk.

Po promocji antologii trwały jeszcze przyjemne rozmowy kularowe, okraszone wspomnieniami i anegdotami prezesa Marka Wawrzkiwicza. Przysłuchiwał się im z portretu sam długoletni prezes ZLP (1959-1980) Jarosław Iwaszkiewicz.

Kolejny dzień Jesieni obfitował również w bogaty program: przed południem odbyło się wręczenie nagród laureatom Konkursu Poetyckiego, który zorganizowała Unia Polskich Pisarzy Lekarzy. Trzeba przyznać, że była to uczta dla ducha. Wiersze, jakie wywoływały w nas absolutną ciszę, doskonale interpretowała warszawska aktorka Iwona Rulewicz. Spotkanie poprowadziła poetka dr Maria Majka Żywicka-Luckner. W samo południe natomiast odbyła się oczekiwana przez uczestników WJP sesja literacko-krytyczna: „Poezja z psychologicznego punktu widzenia Juliana Ochorowicza w szerszym kontekście teorii”, którą, jak zawsze zresztą, wyśmienicie przygotował i po-

prowadził poeta, eseista, krytyk literacki Andrzej Tchórzewski. Poruszone w wykładzie zagadnienia: translacji poezji (POEZJĄ JEST TO, CO NIEPRZETŁUMACZALNE), braku współczesnej krytyki niezależnej – wywołały pośród słuchających dyskusję, w której ważny głos zabrali: Marek Wawrzkiwicz, Waldemar Michalski, Stanisław Nyczaj i inni liczący się współcześni krytycy literaccy.

O godz. 15.00 odbyła się estrada poetycka: „Poezja mówiona i śpiewana”, poprowadzona przez Aldonę Borowicz, a potem Turniej Jednego Wiersza dla zrzeszonych i niezrzeszonych, w którym jurorami byli: Marek Wawrzkiwicz, Zbigniew Milewski i Andrzej Wołosewicz.

Wieczór festiwalowy opanowali o godz. 18.00 poeci z Kieleckiego Oddziału ZLP i Grupy Literackiej „Wiklina” ze Skarżyska-Kamiennej. Na Gali Świętokrzyskiej zaprezentował poetów prezes Kieleckiego Oddziału Stanisław Nyczaj – obchodzący jubileusz 75-lecia urodzin, stąd były i poetyckie dedykacje dla niego.

Natomiast 14 października, w ostatnim dniu WJP, odbył się Konkurs Jednego Wiersza im. Jarosława Zielińskiego, poprowadzony przez pisarza i autora książek dla dzieci Stanisława Grabowskiego. Zwyczajowo, w godzinach wieczornych, odbył się lubiany przez publiczność koncert poetycko-muzyczny „Poezja i Jazz”.

Muszę podkreślić, iż 47. WJP na pewno pozostanie w mojej pamięci; to były piękne poetyckie dwa dni spędzone w wyjątkowym miejscu. Serdecznie dziękuję organizatorom za zaproszenie i trud, jaki włożyli w przygotowanie Warszawskiego Święta Poezji.

Irena Kaczmarczyk



75-lecie Stanisława Nyczaja podczas Gali Świątokrzeskiej na 47. WJP (14.10.2018)



Aldona Borowicz, Stanisław Nyczaj, Marek Wawrzkiwicz



Andrzej Zaniewski



Lâm Quang Mỹ



Anna Błachucka



Mira Umiastowska, Irena Stópieryńska-Siek



Irena Paździerz

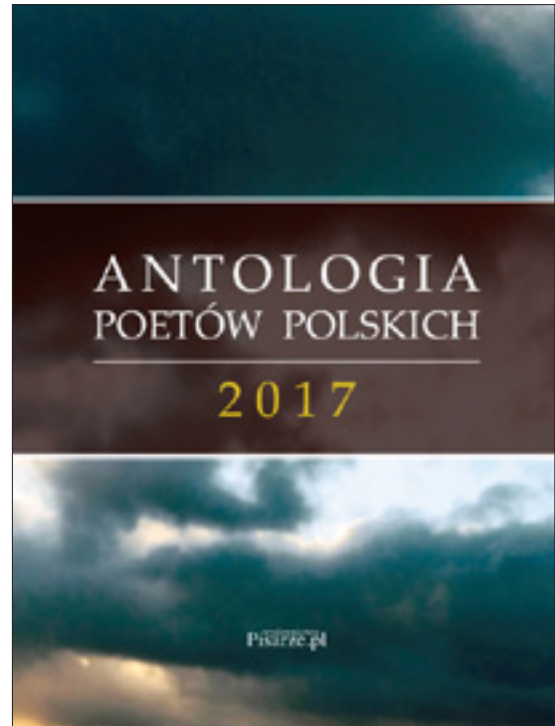
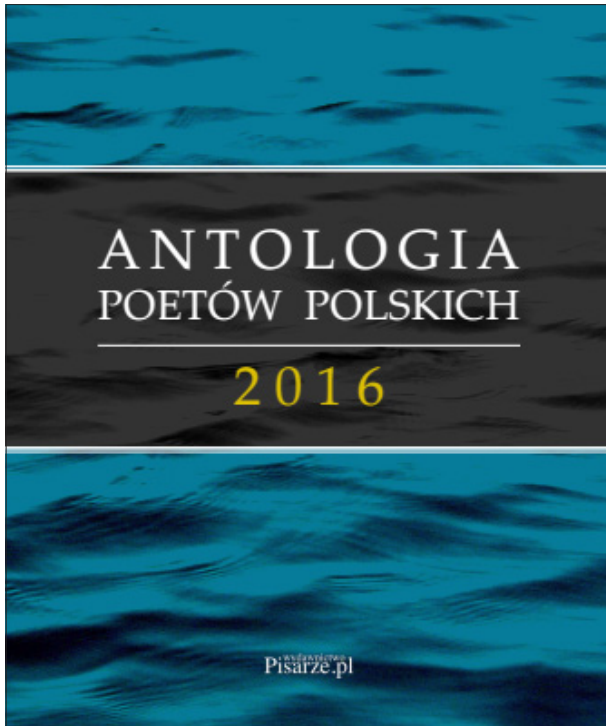


Prof. Karol Czejarek z żoną, Andrzej Piskulak



Jubilat z żoną Ireną

Promocja dwu antologii Wydawnictwa Pisarze.pl



W Domu Środowisk Twórczych (26.03.2018) odbyła się promocja dwu antologii, w których zamieszczone zostały m.in. wiersze świętokrzyskich poetów: Zdzisława Antolskiego, Joanny Babiarz, Krystyny Cel, Benedykta Koziela, Elżbiety Musiał, Stanisława Nyczaja, Adama Ochwanowskiego, Władysławy Szproch, Zbigniewa Toborka, Marii Włodno. Reprezentujący Wydawnictwo Filip Wrocławski (z prawej) omówił zamierzenia antologijnego cyklu. Wiersze czytali Barbara i Szczęsny Wrońscy oraz Stanisław Nyczaj

Oprawę muzyczną promocji zapewnili: wiolonczelista Roch Dobrowolski i pianista Kamil Kondek

Fot. Paweł Nyczaj

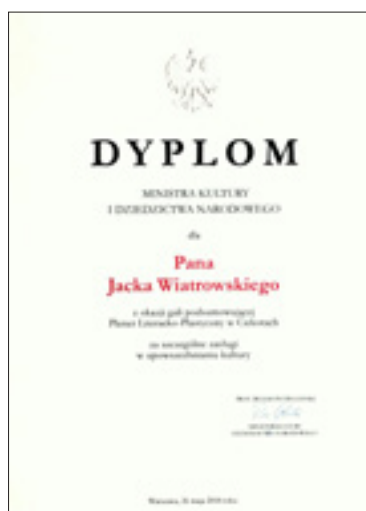


Nasze plenery

Żeromszczyzna (Ciekoty 21-26.05.2018)



Szklany Dom – Gala podsumowująca Plener Literacko-Plastyczny w Ciekotach. Jacek Wiatrowski (w środku) – prezes Stowarzyszenia „Biegacz Świętokrzyski” i przewodniczący Klubu Przyjaciół Świętokrzyskich Literatów – jest ceniony i nagradzany, czego dowodem są: tytuł Człowiek Roku 2017 w powiecie kieleckim oraz DYPLOM Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z okazji tej gali – „za szczególne zasługi w upowszechnianiu kultury”.



*Przjaciełowi Poezie!
Stanisławowi!*



*Ja Ci frazki nie napiszę
Przjaciełu drogi!*

*Bo Ty masz do tego Pióro,
A ja szybkie nogi!*

Biegacz Świętokrzyski



*Autor:
Jacek Wiatrowski*



Podczas tego pleneru z rozmachem kontynuowaliśmy Świętokrzyską Satyriadę przy wsparciu Jacka Wiatrowskiego. Cieszę się, że mój pomysł chwycił i że przybywa utworów do publikacji. S.N.



Gospodarze Imienin Stefana: kustosz Kazimiera Zapałowa, wójt Tomasz Lato, Danuta Jakubowska, dyr. Krystyna Nowakowska



Wizyta w Parku Miniatur w Krajnie zapewnia światowe doznania

Zbigniew Porębski – malarstwo

Obrazy Zbigniewa Porębskiego, który uczestniczył już wcześniej w naszych literacko-artystycznych spotkaniach, były prezentowane na wystawie związanej z zakończeniem tegorocznego pleneru. Inspiracją dla stworzenia tych obrazów stały się motywy świętokrzyskiego pejzażu oraz twórcza atmosfera przyjacielskich rozmów i wędrówek.



Monolit. Olej, płótno, 90 x 73



Nad zalewem. Olej, płótno, 73 x 100

Staszów (lipiec 2018)



Z wizytą u dyrektora Zespołu Szkół im. Stanisława Staszica przy ul. Koszarowej 7 w Staszowie – Izydora Grabowskiego, przyjaciela naszej plenerowej grupy – Krystyna Konecka i Stanisław Nyczaj



Po kolejnym spotkaniu autorskim. Od lewej: Elżbieta Śnieżkowska-Bielak, Benedykt Kozieł, Krystyna Cel, Emilia Tesz, Stanisław Nyczaj, Bożena Gniazdowska, Krystyna Konecka, Jan Lechicki, Stefan Jurkowski



Na kiermaszu książek w Sanatorium „Marconi” znana podróżniczka Elżbieta Dzikowska nabyła książkę Krystyny Koneckiej *Głosy Islandii*



Wizyta w Europejskim Centrum Bajki w Pacanowie wzywała w dorosłych dziecięcą fantazję



W gościnnych progach Staszowskiego Ośrodka Kultury



W Europejskim Centrum Bajki w Pacanowie



Głosy o plenerze w Staszowie

Stefan Jurkowski

Świeżość i grzyb

Droga Pani!

Byłem w Staszowie, gdzie dorocznie Stanisław Nyczaj organizuje plener literacki, na który zjeżdżają się autorzy z całej Polski. Atmosfera jest znakomita, serdeczność i życzliwość Staszka obejmuje wszystkich uczestników i sprawia, że każdy czuje się dostrzegany i potrzebny. Impreza przebiega w sposób naturalny, spontaniczny, daleka od jakiegoś zadęcia i snobizmów.

W tym roku po raz pierwszy przyjechała do Staszowa Krystyna Konecka. Podobnie jak podczas wyprawy do Kąsnej Dolnej, spotkaliśmy się z Krysią w Zawierciu, a potem moją wysłużoną skodą pojedaliśmy przez Jędrzejów, Szydłów do Staszowa. Podróż była dobra i bezstresowa, do miejsca zakwaterowania dojechałem bez problemu. W zeszłym roku zaplątałem się w mieście, ale już w tym w pamięci miałem całą trasę i staszowskie zakamarki. Choć... zgubiłem się dwa razy na szosie, jeszcze długo przed Zawierciem. Gdyby nie Ania, do której zawsze w takiej sytuacji dzwonię, pewnie bym tam

krążył do dziś. Ania otwiera w domu odpowiednie komputerowe strony i nawiguje mnie precyzyjnie. Od Zawiercia wielką pomocą była Krysia, choć drogę doskonale znam. Zmieniają się jednak pewne punkty odniesienia, co z lekka dezorientuje, a jadąc samochodem trudno się wpatrywać we wszystko. Ale bez przeszkód dotarliśmy na czas.

Staszek Nyczaj bardzo dba o uatrakcyjnienie pobytu, nie tylko w sensie turystycznym. Każdego dnia wieczorem wszyscy zbieraliśmy się w świetlicy, aby prezentować swoje najnowsze wiersze, opowiadać o sobie, dyskutować o utworach przeczytanych oraz o poezji w ogóle.

Krysia zrobiła furorę czytając swoje sonety z tomu *Ultima Thule, Głosy Islandii*. Pięknie wydany tom, znakomite utwory, kapitalne zdjęcia. Ponadto tłumaczenie każdego wiersza na język angielski dokonane przez Ewę Sherman, ułatwia obcowanie z wierszami w wielu obszarach językowych. Wszyscy byli zachwyceni, bo tak naprawdę nikt z nas takich precyzyjnych sonetów nie potrafiłby napisać. Wszyscy siedzieli zasłuchani, prowokowali poetkę do dłuższego czytania.

Robiliśmy z Krysią krótką wideoprezentację naszych twórczych dokonań. Krysia demonstrowała swoje poprzednie publikacje; potem zdjęcia z podróży do Anglii oraz do Islandii, która to podróż

zaowocowała wspomnianą wyżej książką. Pisałem kiedyś Pani, że wielką pasją Krystyny Koneckiej jest fotografia. Zawsze też potrafi uchwycić to, co najciekawsze, niebanalne, na wskroś oryginalne.

A ja, mając nadzieję, że może Pani to zza filaru obserwuje, pokazywałem własne „dzieje grzechu” z poezją. Zacząłem od zdjęcia z okładki *Wysokiego lata*, na którym jeszcze nie miałem brody – był to rok 1975. Potem okładek wszystkich dotychczas wydanych tomów, zdjęcia z festiwali, spotkań oraz z wieczorów jubileuszowych. Oczywiście, wszystko to opatrywałem komentarzami. Odniosłem wrażenie, że oba spotkały się z dużym zainteresowaniem.

Te nasze wieczorne dyskusje o poezji, w której uczestniczyli Emilia Tesz, Lidia Jędrocha, Krystyna Cel, Elżbieta Śnieżkowska-Bielak, Zofia Walas, Maria Włodno, Bożena Gniazdowska, Krystyna Konecka, a także Benedykt Kozioł, przemieniały się w swoiste warsztaty literackie. Autorzy dzielili się swoimi doświadczeniami twórczymi, a Staszek Nyczaj i ja zabieraliśmy głos, jak gdyby moderując cały ten panel dyskusyjny. Był wśród nas świetny poeta i gawędziarz, doktor Jan Lechicki, który przed laty współ z doktorem Jerzym Bogdanem Kosem, znakomitym poetą, kładł podwaliny pod Unię Polskich Pisarzy Medyków. Do tomu *Reliefy* Jana Lechickiego miałem przyjemność napisać postowie. Teraz po raz kolejny w Staszowie dzieliłem z nim pokój.

Rozmowy staszowskie nie dotyczyły wyłącznie poezji, ale – jak to na spotkaniu, w dużej mierze towarzyskim, bywa – wielu innych tematów. Oczywiście także i zdrowia. Ktoś, chyba Staszek Nyczaj, stwierdził, że zdrowie należy podobnie jak mieszkanie, konserwować, odnawiać. Nie mogłem powstrzymać się od komentarza: „ściany wprawdzie pomalowane, a pod farbą grzyb...”. Rozweselając wszystkich zapobiegłem rozwinięciu nazbyt poważnego tematu. A potem pojechaliśmy wszyscy do Pacanowa obejrzeć Europejskie Centrum Bajki. Centralną postacią był tutaj, oczywiście, Koziołek Matołek. Przyjechaliśmy jako mocno już zwapniałe i przejrzałe dzieci w dosyć silnej grupie. Rodziców z małaletnią progeniturą było niewiele. Oprowadzała nas przewodniczka, która chciała przede wszystkim zaktywizować małe dwu-, pięcioletnie dzieciaki. Okazało się, że wszyscy dziećmi są! „Powiedzcie, co to za królowna tutaj siedzi” – pytała. Małe myślą, aż im się mózgi gotują, a wapno spontanicznie: „Królowna Śnieżka”. „Dokąd wędrował Koziołek Matołek?”. Zanim dzieci sobie przypomniały, wapno z satysfakcją: „do Pacanowa”! Bardzo mnie to śmieszyło, myślę, że i Pani nie mo-

głaby się powstrzymać od wesołości. W każdym razie Centrum bardzo pomysłowo urządzone, przypominało wszystkim wzruszające klimaty dzieciństwa.

Zwiedzaliśmy także pokamedulski klasztor w Rytwianach. Nieraz myślałem sobie, że to świetna rzecz być kamedułą. Przebywa się w ciszy, nie wolno mleć językiem, ma się swój domek, nic co dzieje się na zewnątrz człowieka nie obchodzi, żadna polityka, przekręty, idiotyzmy. Ale w Rytwianach nie ma już zakonników, za to liczne wycieczki, restauracja, sklepik, gwar. To już nie ten autentyczny, kontemplacyjny klimat, co jeszcze ostał się w czynnych klasztorach kamedulskich na krakowskich Bielanych czy w Bieniszewie.

Pod wrażeniem staszowskich spotkań literackich oraz miejsc, które odwiedzaliśmy, wracaliśmy z Krysią tą samą trasą. Przeszliśmy się jeszcze po Zawierciu. Mieszkałem tam jako dziecko do 1959 roku, stąd mój sentyment do dawnych zakamarków. Może kiedyś pokażę je Pani.

W naszej korespondencji e-mailowej wspominamy z Krysią te wspaniałe literackie klimaty. Niestety w życiu naszym codziennym okazuje się nazbyt często, że agresywnych troglodytów z maczugami mamy nadmiar. Nie należy się jednak tym przejmować. Bo to właśnie jest bezwartościowy nawóz literatury, o którym także niejednokrotnie Pani pisałem. Wspominał o tym również Bohdan Wrocławski na portalu www.pisarze. Ktoś, kto jest choć trochę świadom, czym jest literatura, będzie obserwował i przyjmował uwagi starszych, bardziej doświadczonych. Czy obraża sobie Pani buty zrobione przez głupkowatego dyletanta, a nie znajdującego się na rzeczy mistrza?

A tymczasem w ostatnich dniach ukazał się tom Anny Marii Musz *Świetlny gąszcz*, wydany przez Wydawnictwo Książkowe IBiS w serii poetyckiej Fundacji Arkona „44 wiersze”, jako przypięczętowanie nagrody „Złotej Róży”, którą poetka otrzymała w ubiegłym roku. Wiersze rzeczywiście pełne światła, świeżego odkrywania świata, gęste od znaczeń, świetnie zmetaforyzowane. To jeszcze jeden pozytywny akcent oraz dowód, że poezja się nie kończy na ogólnym wielostowiu i bełkocie; że są młodzi autorzy mający autentyczny talent, a nie tylko pewną siłę przebiecia, która szybko słabnie. Bardzo polecam Pani ten tom, składający się zaledwie z czterdziestu czterech wierszy (taka jest formuła tej serii wydawniczej), ale za to jakich wierszy! Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam!

Przedruk z „Gazety Kulturalnej” nr 9, wrzesień 2018, s. 14

W każdym z nas jest dziecko

Wróciłam z pleneru w Staszowie. Pytają, jak było. – Jak zwykle: miło – odpowiadam. – A musisz jechać tak daleko? – Nie, nie muszę, ale lubię i chcę. Z Tomaszowa Mazowieckiego do Staszowa jedzie się kilka godzin, z przesiadkami, warto jednak ponieść trud, aby znaleźć się w gronie przyjaciół i mieście, które się stało moim nowym miejscem na ziemi. Dwa lata temu napisałam fraszkę, której w całości nie pamiętam, tylko początek: Staszek w Staszowie, serio, bez lipy/ gromadzi na plenerze literackie VIP-y... Stanisław Nyczaj nie tylko „gromadzi”, inspiruje, ma tę umiejętność tworzenia atmosfery, w której uczestnicy pleneru dobrze się czują. Elżbieta Śnieżkowska-Bielak z Jeleniej Góry (pierwszy raz w Staszowie) wielokrotnie powtarzała: – Wy jesteście jak jedna rodzina. Nigdzie się z czymś takim nie spotkałam.

Tym razem było nas mniej – jeden zachorował, inny gościł rodzinę, komuś w tym czasie wypadło sanatorium, na które długo czekał. Zabrakło także tych, którzy odeszli – na zawsze. Czas jest nieubłagany i kiedy Stefan Jurkowski czytał wiersz o chłopcu z fotografii, o sobie sprzed lat, pomyślałam, że każdy z nas z nostalgią wspomina nieodległe, wydawałoby się, dzieciństwo, nie dowierzając datom w kalendarzu. Tak jest też w przypadku Stefana, który wciąż się nie może nadziwić, że zaliczył pięćdziesięciolecie pracy twórczej. Ja też mu się nie dziwię, bo trudno się pogodzić z upływem lat. Moja siostrzenica dwukrotnie obchodziła czterdzieste urodziny i zorientowała się, ile naprawdę ma lat dopiero wtedy, gdy w szufladzie odnalazła przypadkowo rocznicową laudację. Przy okazji jubileuszu Stefana zrobiłam własny remanent: debiut prasowy w 1963 roku, ale od pierwszego wiersza, „publikowanego” w gazetce szkolnej, dzielę mnie sześćdziesiąt trzy lata...

Co nas ciągnie do Staszowa oprócz wspaniałej atmosfery, rozmów z przyjaciółmi, poetyckich spotkań? Wyjątkowa troska gospodarzy, aby goszczący na ich ziemi literaci dobrze się czuli, jak najwięcej zobaczyli. Każdego roku poznajemy nowe miejsca, wracamy z radością tam, gdzie już byliśmy. Dwa lata temu w Rytwianach obchodziliśmy Noc Świętojańską, w ubiegłym roku uroczyste podsumowanie pleneru, a tym razem zwiedziliśmy Pustelnię Żółtego Lasu, XVII-wieczny barokowy klasztor pokamedulski.

Muszę namówić koleżankę, aby udała się do Rytwian na medytację. Piękny, zabytkowy obiekt, wśród lasów i pól, z dala od zgiełku miast i pośpiechu szos, daje szansę na wyciszenie, refleksję, zastanowienie się nad sobą i sensem życia, a wierzącym – na bliski kontakt z Bogiem.

Posiłki w internackiej stołówce są wyśmienite, kto jednak zrezygnowałby z pierogów, i to w niespotykanym wyborze? W Wysokach Średnich można było posmakować pierogów z jagodami, przyrządzonych w najróżniejszy sposób, m.in. z czekoladą, pierogów z czereśniami, wiśniami, grzybami, grzybami i kapustą, z serem, że nie wspomnę o bigosach, zarzucające, kaszance, ciastach i innych delicjach. Napisałam kiedyś, że poeci mają głowę w chmurach, ale żołądek na swoim miejscu. Degustacja pierogów wykazała znaczną pojemność tego prozaicznego składnika naszej osobowości.

W klasztorze coś dla ducha, na festynie w Wysokach Średnich coś dla ciała, a dla wyobraźni? Postanowiliśmy jechać do Pacanowa, gdzie „kozy kują” i dokąd wędrował Koziolatek Matolek mistrza Makuszyńskiego. Zaproszenie Europejskiego Centrum Bajki w Pacanowie zawiera dewizę: Jedno miejsce – tysiąc wrażeń... W krainie baśni i bajek znów poczuliśmy się jak dzieci. Organizatorzy nie przesadzają w liczbie wrażeń, ale jedno z tysiąca jest najsilniejsze i każdy z nas odczuwał je podobnie: „jazdę” pociągiem. Wagonik zamieniał się w łódź podwodną, kosmiczny pojazd, przemierzał różne kraje i kontynenty, wjeżdżał w tunele, pędził, szarpał, kołysał. My, dorośli, wychodziliśmy z krainy bajek uśmiechnięci, szczęśliwi. Cóż dopiero mogą czuć dzieci?

Wróciłam ze Staszowa odmłodzona, odnowiona. Z pasją zabrałam się do pisania i... sprzątnięcia. Czy jest to odpowiedź na pytanie, dlaczego lubię nasze plenery?



Poniedziałki plener literacko-plastyczny w Busku-Zdroju (wrzesień 2018)



„Pojedynek na sonety” w wykonaniu Anny Błachuckiej i Krystyny Koneckiej w buskiej MBP

Jan Chruśliński gratuluje Barbarze i Szczęsnemu Wrońskim oryginalnej autoprezentacji z performance`em, którą zainaugurowali buski plener



Na kiermasz dla kuracjuszy w holu Sanatorium „Marconi” przybyły m.in. Barbara Gajewska, Elżbieta Jach, Krystyna Konecka

Na zakończenie plener uświetnili swoim ciekawym wystąpieniem: przybyła z Rzeszowa członkini naszego Oddziału ZLP Dorota Kwoka (z lewej) i towarzyszący jej także rzeszowianin – mistrz deklamacji Stach Ożóg (w środku)





Nasza grupa na tle buskiego parku zdrojowego

Fot. Krystyna Konecka



22 września br. wzięliśmy udział w Historycznym Pikniku Rodzinnym pn. „Buska droga do Niepodległej” w Kamedułach w gminie Busko-Zdrój, zorganizowanym z okazji 100. rocznicy Państwa Polskiego. Wysłuchaliśmy ciekawej okolicznościowej gawędy regionalisty Franciszka Rusaka, obejrzelśmy przygotowany przez młodzież patriotyczny program artystyczny. W imieniu grupy literatów przemawiali Krystyna Konecka (z Białegostoku) i Stanisław Nyczaj

Wycieczka do „Ogrodu na Rozstajach” w Młodzawach Małych

Tegoroczny buski plener literacki zorganizowany przez prezesa oddziału kieleckiego ZLP Stanisława Nyczaja, był bardzo pracowity, pełen spotkań, prezentacji, wieczorków poetyckich.

Wycieczka do „Ogrodu na Rozstajach” w Młodzawach Małych była prawdziwym relaksem, odpoczynkiem od nawału literackich zajęć.

Pięknie, ciepłe wrześniowe przedpołudnie spędziliśmy w tym uroczym miejscu, które od podstaw stworzyli jego właściciele – Zofia i Tadeusz Kurczynowie w roku 1993.

Jest to jedyny prywatny ogród botaniczno-ornitologiczny w woj. świętokrzyskim udostępniony zwiedzającym.

Ogród ma powierzchnię 1 hektara, położony jest na zboczu lessowego wąwozu, a ogrodzenie ozdabiają drewniane rzeźby słowiańskich wojowników, czarownic, rycerzy itp. W ogrodzie także jest dużo rzeźb, płotków, drewnianych i ceramicznych dekoracji, ponieważ pan Kurczyna jest rzeźbiarzem (ukończył Szkołę Rzemiosł Artystycznych) i wszystkie dzieła tu się znajdujące są jego autorstwa.

W tym wyjątkowym miejscu, na lessowych zboczach rośnie ponad dwa tysiące odmian roślin, głównie rodzimych (ale są też okazy egzotyczne) i żyje kilkanaście gatunków ptaków ozdobnych.

Ogród jest ciekawie zaprojektowany; spacerując trawiastymi alejkami, co krok odkrywamy inne, zaskakujące kompozycje z kwiatów, bylin, krzewów i drzew o różnorodnym pokroju, kolorze liści, kształcie, wielkości.

Ma układ tarasowy, ułożony na trzech poziomach, posiada kilka oczek wodnych, małe i duże kaskady.

W oczkach pływają ozdobne rybki, kwitną przepiękne nenufary o bogatej kolorystyce, a brzegi porastają wielo-

rakie rośliny przybrzeżne: tataraki, pałka wodna, kaczeńce, paprocie, niskie i wysokie trawy ozdobne.

Między oczkami są romantyczne kamienne mostki, z których można obserwować cudownie zaaranżowane rabaty kwiatowe uzupełnione funkiami i roślinami płożącymi.

Miejsc widokowych jest kilkanaście. Można w spokoju przysiąść na ławeczkach, nacieszyć oczy i duszę niepowtarzalnymi obrazami, które tworzy żywa, pięknie utrzymana, zadbana bujna zieleń różnorodnych roślin o ciekawych wzorach, fakturach, kolorach liści i kwiatów.

Spacerując po ogrodzie, można zauważyć ogrom pracy, jaką włożyli ich właściciele w założenie, zaprojektowanie i utrzymywanie w dobrej kondycji tej dużej ilości zgromadzonych roślin. Widać tu ich wspianą pasję i pracowitość. Pan Kurczyna, który nas oprowadzał, z wielką swadą i przejęciem opowiadał o zgromadzonych w ogrodzie roślinach (szczególnie o wymagających wielkiej troski egzotycznych egzemplarzach, których w tym ogrodzie jest wiele) i o ptakach, które po imieniu przywoływał do siebie, a one głosem reagowały.

Odpowiadał wyczerpująco na wszystkie pytania zachwyconych tym oryginalnym miejscem plenerowiczów.

Ja byłam tu już czwarty raz, ale mam nadzieję, że nie ostatni. W moim ogrodzie posiadamy kilka roślin z „Ogrodu na Rozstajach”, które ładnie rosną i ciągle mi go przypominają.

Myślę, że pozostanie on także na długo w pamięci pozostałych uczestników tej bardzo udanej wycieczki, za której zorganizowanie dziękujemy Staszce Nyczajowi.





Anna Błachucka czyta przytoczony obok wiersz z tomu *Świętokrzyskie korzeniaki*

U dołu grupa plenerowiczów w Ogrodzie na Rozstajach, po którym oprowadzał właściciel Tadeusz Kurczyzna
Fot. Krystyna Konecka

Słodka robinia^{*)}

Czy drzewo myśli, czy drzewo coś czuje?
Czy patrzy w przyszłość, a więc – czy planuje?
Jak to się stało, że robinia biała
tak widne miejsce dla siebie wybrała?

Wiemy; uwielbia ciepłoko i światło,
lecz takie „lokum” znaleźć nie jest łatwo.
Jeżeli znajdzie, korzeni się śmiało
niczym palcami chwyta skarpę całą.

Wyczuwa, idąc tylko w takie strony,
gdzie widok piękny, pokarm zapewniony.
Czasem się myli, przeliczy swe siły,
bo moce wody z wiatrem się zmówiły.

I atakują... Drzewo opór stawia,
szanse ocenia, „fundament” poprawia.
I radzi sobie logicznie nadzwyczaj.
Kto to planuje, kto szanse przelicza?

^{*)} Urokliwe i nadzwyczaj „mądre” drzewo w Nadleśnictwie Staszów.



Światowy Dzień Poezji UNESCO i Festiwal Poezji Słowiańskiej w Staszowie



Prezes Kieleckiego Oddziału ZLP Stanisław Nyczał gratuluje kol. Aleksandrowi Nawrockiemu – red. nac. „Poezji dzisiaj” – osiągnięcia wysokiego poziomu tego czasopisma, „które w ciągu 20 lat ukazywania się miało też otwarte łamy dla naszego środowiska, za co serdecznie dziękujemy”



Gratulacje z okazji jubileuszu 20-lecia „Poezji dzisiaj” dla redaktora naczelnego Aleksandra Nawrockiego od grupy poetów Kieleckiego Oddziału ZLP



Lâm Quang Mỹ gościł w Staszowie na Światowym Dniu Poezji UNESCO w Staszowie



Grigoriy Garmasz, poeta z Białorusi na Festiwalu Poezji Słowiańskiej



Adam Lizakowski, poeta od 1981 roku mieszkający w USA



Anatol Apanasiewicz, poeta z Białorusi



Międzywodzie (sierpień 2018)

Beata Kępińska

Plener w Międzywodziu

W drugiej połowie sierpnia w Międzywodziu już po raz ósmy odbywał się plener literacki zorganizowany przez Mariana Jedleckiego – prezesa Kołobrzeskiego Oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich. W gościnnym pensjonacie Wiktoria przy ul. Potocznej 18 zamieszkali ludzie pióra z różnych stron Polski reprezentujący różne organizacje i kluby zrzeszające pisarzy.

Choć pogoda sprzyjała raczej korzystaniu z kąpeli morskich i słonecznych, to komisarz Tadeusz Sznerch (eseista i krytyk literacki z Legnicy) trzymał nas w ryzach i na plaży mogliśmy się pojawiać dopiero po odbyciu porannej dawki ćwiczeń umysłowych w postaci literackich warsztatów, w ramach których słuchaliśmy referatów i dokonywaliśmy analiz tekstów uznanych twórców. Tematem naszych rozważań był, na przykład, robiący niebywałą wręcz karierę we współczesnym pisarstwie, esej. Pochyliliśmy się nad poezją bardzo różniących się od siebie, ale niezwykle ciekawych poetek, jakimi były Zuzanna Ginczanka i Anna Kamieńska. Wiele czasu poświęciliśmy również prezentacjom naszych własnych utworów. Można się było przekonać, jak różnorodne mamy poglądy, zainteresowania, po jak różne sięgamy rodzaje literackie i środki wyrazu artystycznego.

Co ciekawe, te różnice nie odbierały nam przyjemności dyskusji, a raczej czyniły ją bardziej interesującą, tak że z przyjemnością spotykaliśmy się również wieczorami, by kontynuować prezentacje lub oddawać się relaksowi przy dźwiękach muzyki i piosenek śpiewanych przez naszą kielecką sopranistkę Małgorzatę Siemieniec, jej trzynastoletnią wnuczkę Samantę Słoń z Warszawy oraz Eugeniusza Timiennikowa pochodzącego z Ukrainy, lecz od lat osiemdziesiątych zamieszkującego w Polsce. Żenia swoim miłym barytonem przypomniał nam przeboje Mieczysława Fogga, Bułata Okudźawy, a także song Tewje Mleczarza ze *Skrzypka na dachu*. Jego żona natomiast uraczyła nas próbką swojej bardzo ciekawej prozy.

Wprawdzie średnia wieku uczestników pleneru (nawet z wliczeniem nastolatki Samanty) była dość wysoka, to nie stroniliśmy także od zabaw tanecznych. Były więc wyprawy na dancino do „Rzemieślnika” i nasza „domowa” dyskoteka prowadzona tradycyjnie przez mojego męża Michała.

Wyjeżdżaliśmy z Międzywodzia obdarowani przez Urszulę Kwiatkowską-Sznerch naszymi portretami mentalnymi wykonanymi techniką kolażu. Wycinała je pracowicie w wolnym czasie, którego naprawdę było na tym plenerze niewiele. Każdy z nas na pewno chętnie wróci tu za rok, by znów zostać dopieszczonym kulinarnie przez Barbarę Jedlecką i jej córkę Agnieszkę, ubogacić się poprzez wymianę poglądów i doświadczeń oraz cudownie wypocząć.



Podczas spotkań dyskusyjnych: Maria Jolanta Kowalska, Elżbieta Jarosz-Kondraciuk, Beata Kępińska, Tadeusz Sznerch



X Plener Artystyczny w Międzywodziu

Jubileuszowy, o rozszerzonej formule literacko-plastyczno-fotograficznej, plener w Międzywodziu zaistniał, podobnie jak i poprzednie, w wyniku organizacyjnych zabiegów Mariana (Prezesa) i Barbary Jedleckich – aktywistów, członków zarządu Oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich w Kołobrzegu. Inicjatywa ta jest jedną z kilku spotkań artystycznych, jakim patronuje Stowarzyszenie (m.in. w Kołobrzegu i Kazimierzu Dolnym). Ich cel to integracja środowisk twórczych z terenu całej Polski. Kontakt można nawiązać przez Internet. Stwarzają one warunki do prezentacji własnej twórczości, jej krytyczno-artystycznej oceny i doradztwa, uczestniczenie w zajęciach warsztatowych, wykładach, występach wokalnoliterackich w okolicznych ośrodkach wczasowych, domach kultury i bibliotekach. Dodatkowym bonusem Międzywodzia jest jego położenie między Zatoką Kamieńską a bałtycką plażą z jej wyjątkowym piaskiem, pasem nadbrzeżnego sosnowego lasu i bliskością atrakcyjnych miejscowości: Dziwnowa, Kamienia Pomorskiego i Międzywodzia.

W tegorocznym plenerze uczestniczyło 16 osób: 12 literatów, w tym dwoje zainteresowanych też fotografią artystyczną, troje wokalistów i jedna plastyczka specjalizująca się w kolażach. Pogoda wyjątkowo w tym roku nam sprzyjała; było ciepło, morze miało 21 stopni C i zapraszało wraz ze słońcem do kąpiei wodnych i słonecznych. Udało się jednak tak zaplanować zajęcia, aby z plażą nie kolidowały i pogodzić satysfakcje cielesne z intelektualnymi i duchowymi.

Rozpoczęliśmy wieczorem poświęconym różnym formom prozatorskim. Wystąpiły:

– Elżbieta Kondraciuk (Warszawa) uprawiająca m.in. krótkie opowiadania. Przedstawiła trzy utwory oparte na osobistej retrospekcji osadzonej w rustykalnych realiach. Jej proza ujęła słuchaczy swoją poetycko-baśniową aurą, niejednoznacznością, precyzją wystawienia i przemyślaną kompozycją.

– Jolanta Kowalska (Chojnice) przeczytała spore fragmenty nowo wydanej prozy biograficznej, opartej na historii życia jednej z rodzin ze swojego środowiska pt. *W lustrze doznań*. Autorka, przygotowując się do zbeletryzowania jej historii, poświęciła wiele czasu na zapoznanie się z dokumentami, archiwaliami, zdjęciami, przeprowadziła też wielogodzinne rozmowy z członkami rodziny. W dyskusji zwracano

uwagę nie tylko na faktografię, lecz na umiejętne łączenie warsztatu publicystyczno-dokumentalnego z upoetyzowaną narracją literacką.

– Beata Kępińska (Kielce) zgodziła się przedstawić fragmenty swojej kolejnej powieści inspirowanej relacjami we własnej rodzinie, nad którą aktualnie pracuje. Pokazała tajemnice swego warsztatu, nie stroniła też od ujawnienia trudności i wątpliwości, jakie stają przed nią w trakcie realizacji swojego twórczego zamierzenia.

– Joanna Usarek (Warszawa), która zaskoczyła nas formą prozatorską niedającą się sklasyfikować gatunkowo. Jej debiut prozatorski o niezbyt fortunym tytule zmienionym przez wydawcę – *Patr! Jest*, Wyd. R&S-Publika, Warszawa 1999 – ma hybrydową formę; łączy w sobie elementy autentycznych i konfabulowanych listów własnych oraz prawdziwych i fikcyjnych postaci. Wszystko to spojone jest odautorską narracją pełną rozważań filozoficznych, egzystencjalnych ujętych w formie eseistycznych rozpraw o dużym ładunku emocjonalnym i upoezjowanym starannie literackim języku. Autorka, osoba o dużym potencjale nadwrażliwości (którą umie przetworzyć w niebanalną, odkrywczą literaturę), jest mało znana. Oprócz promocji książki w r. 2000 nie miała żadnych spotkań z czytelnikami, czasopisma literackie i krytyka też nie odnotowały dotąd tego interesującego debiutu.

Spotkanie trwało ponad dwie godziny. Uczestnicy reagowali żywiotowo, emocjonalnie i dociekliwie zarówno na świetnie przez autorkę przeczytane fragmenty, jak i jej do nich komentarze oraz osobiste wglądy w swoje skomplikowane ego.

Odbyły się też trzy prezentacje poetyckie, w których wystąpiły: Irena Grabowiecka (Białystok), Halina Surmacz (Szczecin), Krystyna Henczel (Poznań), Jolanta Kowalska (Chojnice), Grażyna Cylik (Białystok), Beata Kępińska (Kielce) i Marian Jedlecki (Kołobrzeg). Przedstawili oni swoje wiersze z ostatnich tomików i te nowo napisane, czekające na publikację. Paleta propozycji była dość bogata tematycznie, ale przeważały teksty o charakterze introspekcyjnym, wynikające z bardziej lub mniej głębokich samoanaliz psychologicznych, zachwyty nad pięknem natury, nostalgicznych tęsknot za minionym czasem itp. Stroniono zaś od podejmowania refleksji poetyckich odnoszących się do problemów o charakterze społecznym, obywatelskim, etycznym, do dzisiejszego „tu i teraz” tak w kraju, jak i w skali globalnej. Trochę to wszystko wybrzmiewało w duchu frazy klasyka: „Sobie śpiewam a Muzom”. Co nie znaczy, że to

tę poezję dyskwalifikuje. Jednak, moim zdaniem, tendencja ta, która charakteryzuje całą polską poezję dziś, mocno ją zubaża. W końcu pisarz, poeta powinien jakoś reagować na pewne anomalie, które istnieją w otaczającym go świecie. Ucieczka w prywatność, emigracja wewnętrzna nie służą naszemu wspólnemu dobru, prawdzie i... szczęściu.

Dużym zainteresowaniem w tym roku cieszyły się nowo wprowadzone formy zajęć – wykład i zajęcia warsztatowe. Irena Grabowiecka, uprawiająca poezję, krytykę literacką i fotografię artystyczną przedstawiła ze swadą temat: „Esej jako forma wypowiedzi literackiej”. Wypowiedź zawierała część teoretyczną, którą w dalszej części wykładu egzemplifikowała różnymi typami esejów (z jakimi słuchacze zapoznali się wcześniej w ramach „pracy domowej”). Mogli więc żywo włączyć się do rozmowy, a nawet polemizować z wykładowniczą.

Piszący te słowa zaproponował (i zrealizował) warsztaty zatytułowane: „Podglądanie Mistrzów słowa poetyckiego”. Na pierwsze zajęcia przygotował wiersze nie podając nazwiska autora. Pomysł był taki, by koncentrować się na tym, co i jak jest napisane, a nie ulegać magii nazwiska. Teksty, na ogół nieznanе odbiorcom, bardzo przypadły im do gustu i spotkały się z żywą reakcją oraz podziwem dla niewątpliwych ich mistrzowskich walorów. Były to wiersze Anny Kamieńskiej z tomu *Rzeczy małe* w wyborze i z postówiem Bogusława Kierca, wydane przez Biuro Literackie, Wrocław 2013.

Temat drugich zajęć zbiegł się szczęśliwie z artykułem Janusza Rudnickiego pt. „Ginczanka forever” w „Gazecie Wyborczej” z 25-26 sierpnia br. Zachętą do udziału w spotkaniu było zacytowanie wcześniej przez prowadzącego szczerego wyznania autora: „Znasz Ginczanę, zapytał ktoś, a ja, że nie, nie piłem. Myślałem, że chodzi o nową wodę mineralną”. Ponieważ ten syndrom odnosił się też do większości plenerowiczów, frekwencja dopisała i dociekliwość analityczno-interpretacyjna również. Zauważono też różnice zarówno w sposobie werbalizacji poetyckiej, jak i w skali i jakości doświadczeń życiowych obu autorek.

Ostatni, pożegnalny wieczór literacki zaplanowaliśmy na wesoło. Można było przedstawić dowolne swoje teksty żartobliwe różnego gatunku: fraszki, limeryki, aforyzmy, utwory satyryczne, monologi, humoreski itp.

Naszym zajęciom często towarzyszył śpiew. Dzięki bowiem inicjatywie organizatorów przebywali z nami na plenerze wokaliści: Małgorzata Siemieniec

(Kielce) ze swoją śpiewającą wnuczką Samantą (absolwentką gimnazjum warszawskiego) oraz znakomity bard – Rosjanin od 30. lat mieszkający w Polsce – Eugeniusz (Żenia) Tiemnikow z Warszawy (fot. poniżej). Wystąpili też oni w ośrodkach wczasowych w Międzyzdrojach i międzywodzkim „Rzemieślniku”. Tu dołączyła do nich ze swoimi humoreskami, świetnie aktorsko wykonanymi, koleżanka literatka – Antonina (Tosia) Marcinkiewicz.

Udana była też nasza plenerowa dyskoteka „W stylu retro”, przygotowana profesjonalnie przez męża Beaty Kępińskiej – Michała, z zawodu lekarza, ale dobrze zhumanizowanego i otwartego na doznania artystyczne.

Na pożegnanie, z wcześniej wyjeżdżającymi Joanną i Żenią oraz na zakończenie pleneru, Urszula Kwiatkowska-Sznerch obdarowała większość uczestników oryginalnie wykonanymi portretami-kolażami (dla wszystkich nie starczyło materiału). W jej pracach nie tyle chodziło o uchwycenie podobieństwa fizycznego twarzy, lecz zasugerowanie znakiem plastycznym „portretu wewnętrznego” danej osoby. Małżonek wyżej wymienionej, piszący te słowa obiecał też uczestnikom przesłanie pocztą, jak co roku od trzech lat, fotograficznego fotoreportażu z pobytu w Międzywodziu.

Pobył nasz był, jak widać, wielce urozmaicony...

Tadeusz Sznerch – komisarz pleneru





Podczas zajęć warsztatowych Irena Grabowiecka wypowiada się o specyfice eseju



Z portretowymi kolażami autorstwa Urszuli Kwiatkowskiej-Sznerch: Barbara i Marian Jedleccy, autorka kolaży, Antonina Marcinkiewicz, Irena Łukszo



Na parkiecie rządzi Michał Kępiński



Tadeusz wreszcie pojmany w sieć



Protokół z postanowienia jury konkursu pn. „Moja Niepodległa”, zorganizowanego przez Stowarzyszenie Autorów Polskich – Oddział w Kołobrzegu

Dnia 18 listopada 2018 r. Jury w składzie:

- Alicja Patey-Grabowska
- Irena Grabowiecka
- Stanisław Nyczaj (przewodniczący)

po zapoznaniu się z nadesłanymi na konkurs utworami 22. autorów z całego kraju postanowiło jednomyślnie – stwierdzając wyrównany poziom artystyczny tych najlepszych – przyznać:

- I nagrodę w kwocie 500 zł autorowi zestawu pod godłem IGREK – Halina Surmacz
- II nagrodę w kwocie 400 zł autorowi zestawu pod godłem ORP – Henryk Liszkiewicz
- III nagrodę w kwocie 300 zł autorowi zestawu pod godłem AGA – Grażyna Cylwik
- Wyróżnienie w kwocie 300 zł autorowi zestawu pod godłem SYBIRAK – Piotr Bednarski

* * *

Nagrody ufundowane przez anonimowego sponsora z Kołobrzegu w formie voucherów na pobyt weekendowy w czasie pleneru w Międzywodziu w sierpniu 2019 dwóm autorom: zestawu pod godłem MYK – Krzysztof Martwicki z Płońska oraz zestawu pod godłem ANNA – Maria Magdalena Człapińska ze Zduńskiej Woli.

Jury ponadto zwróciło uwagę na wartościowe literacko niektóre utwory w zestawach: MACIERZANKA PIASKOWA – Beata Kępińska z Kielc, NIETYKALNY – Jacek Maśnicki z Jankowa, GARDENIA – Barbara Lachowska ze Zduńskiej Woli, WOLNOŚĆ – Krystyna Henczel, BABIE LATO – Irena Łukszo z Warszawy, OMEGA – Tadeusz Dejnecki z Płocka, JUL – Julia Pawlicka-Dekert, KLIF – Marianna Kargul, ŁAZARZ – Teresa Ostrowska z Włoszczowy, WIGA – Jadwiga Miesiąc, POLKA – Krystyna Guranowska-Stolarz, MATA – Małgorzata Dziewięcka z Kołobrzegu.

Z serdecznym podziękowaniem dla Organizatorów – w imieniu Jury

Stanisław Nyczaj

Z antologii 47. Warszawskiej Jesieni Poezji

Aldona Borowicz

Jesienne dylematy

Dawno ukryłam głęboko swój mały świat pod skórą.
Jest zbyt odległy i niezrozumiały. Zamknięty
w skorupie.

Wokół jazgot i wrzawa. Jedni chcą tego i owego.
Jeszcze inni pragną czegoś innego z niepokojem
spoglądając na wybrukowane parasolami ulice.
Tyle zamętu, tyle niepokoju, politycy wieszczą wojnę.

Po co komu zabijanie? Byleby przetrzebić
homo sapiens,
aby inni mogli uwierzyć w długowieczność.
Bez żadnych
barier.

Wiatr ogołocił drzewa z liści. Pod nogami jesienna
zgnilizna.
Wszeghogarniająca brzydota późnej starości.
Bez lustra.
Bez pudru i nawilżających kremów, z setkami
zmarszczek
niczym wyschnięte koryta rzek. Taka przeorana ziemia.

Przede mną zima. Jakże więc doczekam wiosny?
Bez urody
raju.

Waldemar Michalski

Ze świętym Antonim na giełdzie

Znalazłem złoty pieniążek
dwa grosze
komuś na stratę dla mnie na szczęście
fortuna kołem się toczy
więc gram na giełdzie
syn ma rację
niech tato lepiej pisze wiersze
bo w domu bessa nieustanna
cóż na to poradzę

więc świętego Antoniego proszę o radę
a święty jak to święty:
módl się i pracuj
dobrze tak mówić
gdy się jest już w niebie.

Marek Wawrzekiewicz

Milczenie

...to miasto jest snem.
A. Camus

Tak, miasto jest snem. Wyludnione
Przypomina jesienny cmentarz. Przechodnie
Umykają przed spojrzzeniami witryn.
Gdzieś tam dogasa gwar z eleganckich restauracji
I barów udających przaśność.

Miasto jest snem. Wiem, to niestosowne porównanie
Ale ty też jesteś snem. Zakosztowałem uroków miasta
W przeszłości tak zamierzchłej, że aż nieprawdziwej
A teraz nie znam już miasta. I, być może, ciebie.

Powiadam: – przywróć mi słodycz wiosennego
wieczora,
Przywróć wiatr biegnący przez tataraki,
Woń kwitnących sosen, smak poziomek,
Przypomnij to, co zapomniałem i to, w co nie wierzę,
Niech się stanie, co się stać nie może.

Milczysz.

Marzec, 2016



Zabawa

cóż Ci powiedzieć przyjacielu...
że czasem smutek gardło ściska
kiedy obracam się za siebie
słyszę jak zegar cicho tyka

i coś minęło bezpowrotnie
już w mgłę powoli się rozplywa
a chociaż blask pozostał w oczach
to szronem nam się włos pokrywa

gdy patrzę teraz w Twoje oczy
widzę swojego cząstkę zagubienia
a drogi nasze w różne strony wiodą
i lśniące żuki też pozbieram

tak, musisz wierzyć w dni i lata
które przed nami jeszcze będą
w zieleni znów znajdziemy szczęście
i nowe wiersze się wylęgną

niech wiatr rozdmucha wszystkie błędy
jeszcze niejeden nam się zdarzy
zanim wejdziemy w ciszy błękit
niech trwa zabawa w życie nasze

Ta i inne piosenki poetyckie znajdują się na profilu Joanny Babiarz <https://www.facebook.com/joanna.babiarz.92> i Janusza Szota (oboje na zdjęciu) <https://www.facebook.com/janusz.szot.39> na Facebooku. Ostatnio były prezentowane w Nowosądeckim „autobusie pełnym poezji i muzyki”.



Ten wiersz

ten wiersz
dodawanie kolejnych
pomysłów
rzucanie słów
klejenie wątków

te skreślenia
smagnięcie batem
jak je nazwać

czy zrezygnować
z tego tonu
innego wątku nie znajdziemy
trzeba zaufać
tylko komu

kto umiejętnie połączy
punkt z punktem
zainstalowane w pamięci
wyrwane z trzewi

tę pustkę
trzeba wypełnić

snujesz swoje wariacje
z kropek
kilkunastu słów
wyprowadzasz wiersz
na atramentowej smyczy

i tylko łańcuch przykuwa
co drga
lub chce się urwać

ale to uwięzienie
tak cudownie zniewalające
że aż się chce
oddać do końca
do ostatniego tchnienia
do ostatniego zgrzytu stalówki
ostatniej kropli

czarnego atramentu

Brodzić we śnie

Morza nie widziałem
prawie całe pokolenie
nie licząc skaczącego na ekranie
czarnego obrazu

odkrywałem je w książkach
filmując wyobraźnię
podwodne polowania
na rekiny płaszczki
dziwaczne barakudy

odtwarzałem bajkowy świat koralu

podziwiałem błękit
błękitniejszy od nieba
ciągnąłem sieci
pełne marzeń

brodziłem w śnie niezwykłym

Spiskowe tajemnice

Ileż śladów przeszłości
pytań
nie zawsze pojętych
zawłaszczyło morze

jakie młyny
zmeły na puch
rozdrobiony piasek

co mówią
odbierane z głębin
odgłosy

jaki los gotują?

Morze metafor

Niełatwo ubrać słowa
w metaforę
zestroić wszystkie dźwięki
fal uderzenia
oddechy
wyrzucane westchnienia

opadać jak Martin Eden
w szmaragdową toń
świadomością końca

policzyć na dnie
morskie boje brygantyn
niezatapialnych U-Bootów

tęcza konanie

Tropienie Smętka

Goniłem Smętka –
złego ducha Kaszub
Pomorza Warmii i Mazur
po literackich drogach
Żeromskiego Wańkowicza
i szutrowych Krzysztofa Hołowczyca
tropiłem na cmentarzach*
ślady nazwisk polskich
w pisowni niemieckiej
oglądałem czarno-białe negatywy
zaślubin z polskim morzem –
dwukrotne
zaciekle walki
na wałach obronnych
Pomorza

śledziłem agonie okrętów
w okrzyku rozpaczony ruf

* der Friedhof – cmentarz

Czymi rękoma?

Nie wytaczamy dział
w bitwie o Kołobrzeg
pytaniem – czymi rękoma?

dziś walczymy
o klienta z euro
ze szkodą dla ponizanej
złotówki

mowa euro i dobrze
najeżdża
odzyskane
wybrzeże

Front rodzinny

Autobus relacji Kielce–Warszawa ruszył. Pasażerowie lokowali się na swoich miejscach, jak zwykle coś upychali, wieszali, opuszczali... Trafiło mi się siedzieć naprzeciwko dwóch kobiet, taki wariant siedzenia w czworo przy mini-stoliczku.

Rozmowa zaraz się zaczęła, jechały dwie dobre znajome. Uściskały się i nadzwyczaj szybko wymieniły wiadomościami, co u której słysząc, kto zmarł, kto się ożenił...

Chciałam się zdrzemnąć, ale dalsza konwersacja, choć cichutko prowadzona, nie pozwoliła mi wyłączyć się.

– ...a u mojego syna, Waldka, nieszczęście.

– Co się stało – dopytuje się znajoma. – Taki przystojniak z niego był. Najładniejszy kiedyś na całą okolicę. I szkoły przecież skończył...

– I jest przystojny nadal – niesie się opowieść.

– Tylko w oczach się zmienił.

– O rany boskie! Mówże. Nie krępuj się. Ja życie znam. Teraz to słysząc o różnych mafiach, narkomanach...

– Nie, takie tam nie... Synek mu się dwa lata temu urodził.

– To dobrze, że chłopczyk. Ród się podtrzyma.

– Co innego chciałam zaznaczyć. Ale po kolei. Oczekałam trzy miesiące, bo wtedy była u nich matka synowej i pojechałam. Spakowałam co mogłam i pojechałam. Niby w sklepiach jest teraz wszystko, ale jakże tak z gołą ręką jechać. Wsiadłam z autobusu i stoję tak jak ta głupia z tymi tobołkami. Gęś wiozłam i ona chyba się jeszcze do końca nie wykrwawiła, bo na dnie torby zauważyłam różowo-czerwone wycieki. Zła się zrobiłam, bo to brat mój pakował, a on taki niedokładny. Syn miał wyjechać po mnie, ale go nie ma. Jak mi to zacznie wyciekać z torby... Całą paczuszkę chusteczek higienicznych wypaprałam. Wreszcie się Waldek pojawił. I wtedy zauważyłam u niego tę zmianę w oczach. Tak jakbym nie swoje dziecko widziała. Jak to oczy potrafią zmienić człowieka...

– Oj potrafią. Wargi się wykrzywi do uśmiechu, a oczy nie posłuchają. Wargi udają radość albo smutek, a z oczu prawdę zieje. Ale mówże, co się stało?

– Już miałam chęć go wypytać, ale coś mnie tknęło, coś mnie powstrzymało. Jedziemy w zu-

pełnej cichości. On nie pyta o nic i ja nie zaczynam. Już na klatce schodowej usłyszałam płacz wnuka. O, na życie mu się ma – pomyślałam sobie. – Głos jak dzwon. Wchodzimy do mieszkania. A tam jeden wrzask. Synowa chodzi z nim naokoło stołu i trzęsie betem jak parobek snopkiem, a chłopak się drze wniebogłosy.

– Może ma mokro, może głodny? – podpowiadam zwyczajowo.

„Ma sucho i jest najedzony. Lepiej nam coś doradzić albo przypomnieć sobie, czy takiego w rodzinie nie było. Bo w naszej na pewno takiego rozdartego nie było. Ani po stronie mojej mamy, ani po stronie mojego taty” – mówi roztrzęsiona synowa.

– Ano nie było takiego rozdartego i u nas, ale nie mówię nic. Co tu dokładać niepokoju, jak go i bez tego dosyć.

No, synu, aleś sobie wybrał żonę – myślę. – A mówiłam... Ale teraz nic nie powiedziałam, tylko sobie pomyślałam, co z niej za matka, skoro własnego dziecka utulić nie potrafi. Jakże to tak, ledwie się dziecko na ręce wzięło, a ono jakby jaki czujnik w sobie miało; przestawało natychmiast płakać. A synowa mało że chodzi z wnusiem, to jeszcze trynda i nic.

I tak ze dwie godziny było tego. Wreszcie Antoś zasnął. Syn i synowa też natychmiast zasnęli w fotelach jak na komendę, jak jakieś automaty. Coś tu jest nie tak. Może uchynięte – myślę sobie, ale nic nie mówię, bo wiem, że synowa żadnego mojego zdania nie uzna. Może kto urok rzucił...

– E, Mańka. Daj spokój takim tam... – wtrąca się współpasażerka. – Dziś już nie ma dzieci uchyniętych, a o uroku też nie słyszałam. Nie te czasy. Chociaż... Każdemu mojemu wnucęciu wiązałam czerwone wstążeczki u wózka i u łóżeczka. Wiadomo, od uroku. Tak na wszelki wypadek. Mogłaś uwiązać nieznacznie gdzieś coś czerwonego.

– A cóż tu wiązać, jak już widać było, że ktoś urok rzucił albo i jeszcze co gorszego się stało.

Wzięłam się za tę gęś, bo ciepło w domu i szybko może oślizgnąć. Piekę po swojemu, jak umiem, tak przyrządzam. Tłukę się garnkami, a wszyscy śpią jak po jakich makowinach.

Najpierw obudził się syn. Ale nic nie mówię. Ja bliźniaki miałam i sama sobie radziłam. A przecież oprócz nich było jeszcze troje. Wiesz przecież, jaki ten mój był, świeć panie nad jego duszą. Narobić dzieci umiał, ale tylko tyle. A tu jedno dziecko, teściowa pomaga i wszyscy wykończeni.

Wnuk się znowu przebudził. Synowa zerwała się i jak sarna wypłoszona z gęstwiny biegiem koło niego chodzi. Trzęsącymi się rękami odmierza biały proszek, zalewa wodą, trzepie butelką, aż przez smoczek krople wypryskują na sufit i zaczyna karmić. Tyle spokoju było, co to jedzenie, i znowu Antoś się rozbeczał. I to samo, co przedtem. Na zmianę go noszą wokół stołu i coraz szybciej chodzą, i huśtają...

– Coś tu jest z tym dzieckiem nie rychtyg – wyrwało mi się.

– I co? Chyba za ostro powiedziałaś...

– Synowa spojrzała na mnie, potem na syna i wtedy Waldek wystartował do mnie.

„A co tu jest nie tak? Wady będzie mama naszymu dziecku wynajdywać zaraz... Po to mama przyjechała? Pomocy potrzebujemy, żeby na chwilę ktoś zaufany wziął od nas dziecko i pozwolił nam odpocząć”.

Skuliłam się w sobie, nawet łzy przycisnęłam powiekami i poszłam do kuchni. Mały na chwilę uspokoił się. Zebrałam się w sobie i poszłam powiedzieć, że jest obiad. Buraczki wzięłam z domu już gotowe, z chrzanem zrobiłam. Syn zajada, synowa także, nie docinają, że za tłuste, za słodkie, że za dużo, że źle dobrane produkty... Aż miło patrzeć. Zawsze nie tak gotowałam, jak oni, nie tak przyrządzałam. Po obiedzie poszłam z wnusiem na spacer. Ledwie kilka minut było spokoju, a potem wrzask. Ale nic już im nie mówiłam. I tak doczekałam wieczora. Wsiadłam w pociąg z głową jak bania.

– I co, wyjaśniło się, o co chodzi? Co dziecku jest? Bo może za bardzo rozpieścili? Nieraz małe dziecko tak umęczy, że cała rodzina to odczuje. Dajmy na to – kolka. Wyjaśniło się?

– Ano wyjaśniło, ale później. Z czasem wnuk przestał płakać, ale znowu zrobił się taki na odwrót. Ani uśmiechu, ani słów, ani chęci do zabawy. Potrafił patrzeć godzinami na kolorową szmatę albo na rybki w akwarium. Całymi godzinami patrzy... Ale potem jak wpadnie w szaf, to tylko kąpiel go uspokoi. Jakby mu kto tę wodę i te rybki zadał. Woda i rybki...

– To jakaś choroba jest?

– Ano choroba i to gorsza od uchynięcia, gorsza od uroku...

– A jak się nazywa.

– Autyzm.

– Słyszałam, mówili w telewizji i pokazywali zajęcia z nimi. Teraz różne choroby u dzieci odkrywają. Znajomych córka chora na mutyzm. Podobno przestaje mówić. Rozumie, słyszy, a nie mówi

– I ja słyszałam o różnych takich... Ale co innego słyszeć, a co innego mieć takiego wnuczka. Ale musi to być ciężka choroba, bo jakże to tak. Ani psikusy go nie ciągną, ani matka go nie rozweseli, ani zabawka nie kusi... Jeżdżę teraz do nich co tydzień. Oni teraz inni dla mnie. Dostrzegają, że coś ugotuję, że mały przy mnie bezpieczny. Pomagam. Trzeba zanosić im trochę zwyczajności. Waldka uczę lubienia takiego synka, bo każdego chłopca trzeba uczyć polubienia dziecka, a cóż dopiero takiego dziecka. Synową odciążam. Idą sobie gdzieś wieczorem...

– I tak co tydzień?

– Tak. Jednemu trudno wytrwać z takim obowiązkiem. Mojego wnuczka trzeba wszystkiego po stokroć uczyć, a i po stokroć mało... Trzeba mieć cierpliwość za siebie i za niego. Do takiego dziecka musi stanąć rodzina, cała rodzina. Przecież to boskie stworzenie i z naszej krwi. Jeden nie wyradzi, nie wyradzi... Jak na froncie. To i jeżdżę tak jak w zegarku, co tydzień. Jak oni czekają na mój przyjazd! Placek dzisiaj...

Anna Błachucka

Z tomu „Świstun” i inne opowiadania [wyróżnionego w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego]. Kielce 2017, Oficyna Wydawnicza „STON 2”.



Rys. Irena Nyczaj

Ze Świętokrzyskiej Satyriady

Anna Błachucka

Nadzieje mając niezaprzeczalne
i przogromne – w mocy continuum...

Ułamki

Nagrobek

Ułamków w swoim krótkim życiu
nie pojąłem kiedyś na tyle,
że zachłyśnięty procentami
zszedłem tutaj przez promile.

Półśrodki

Te idealne wieczne pojęcia
zagmatwać, skłócić pragną półśłówka,
półboga mając za grosz do wzięcia,
wsparcie w tzw. półgłówkach.

Świat zamierzają w półświatek zmienić,
na dwie półkule chcąc rozbić Ziemię.
Półprawdy z życiem pragną pożenić,
by wyhodować ludzkie półplemię.

Zaśmiał się Stwórca głośno i szczerze
z tych ułamkowych zamierzeń...

Kompleks ułamkowy

Nabawił się kompleksu ułamkowego,
odkąd „półgłówek” rzekli do niego.

Ballada rzeczywista

On

...jak pierwiastek – niewymierny,
antynomiczny z harmonią świata,
niczym przekątna wzięty z kwadratu
chciał naturalnym wciąż figla płatać...

Ona

...i zakochała się w nim wymierna
prosto po ludzku, bez krzty rozumu.

Do dziś tkwią zgodnie, blisko siebie
w pomysłach swych – nieprzeliczalni,
patrzają, jak mierzwią sobie życie
parzyści – lecz nieobliczalni.

System dziesiętkowy

Pomimo różnych czasów i różnych mód
nie wystawia nigdy zer na przód.

Korzystna lokata

W „SPIRYTUSIE” – oszczędzała,
tam największy procent miała!

Rozkład Sztudyngera

Potrafił rozłożyć w pięknym stylu,
bo dowcipnym wierszem,
najbardziej złożoną kobietę
na czynniki pierwsze.

Walentynka matematyka

Ile na osi liczb wymiernych,
tyle chwil w życiu będę Ci wierny.

Ustrój funkcyjny

Nie lekceważ Argumentu, chociaż leży,
według funkcji jemu także się należy.

Mężczyzna który milczy

Wczoraj minęły dwa lata od dnia, kiedy wypowiedziałem ostatnie słowo. Pamiętam że wychodząc rano do pracy powiedziałem żonie do widzenia i nie czekając na odpowiedź zamknąłem drzwi. Wypadło to dość oschle, ale po wieczornej scysji przestaliśmy ze sobą rozmawiać, a noc spędziliśmy osobno. Zresztą nie pierwszą, bo po trzydziestu latach małżeństwa sen w jednym łóżku przestaje być przyjemnością, stając się jedynie rutynowym obowiązkiem. Czasem wręcz przykrym, bo przecież czując tę odwzajemnianą obojętność i wiedząc, że ta bliskość od dawna jest już zwyczajnym pozorem, ma się ochotę wyjść do drugiego pomieszczenia i położyć choćby na podłodze. Po gwałtownych kłótniach, a nawet drobnej sprzeczce, także nocą staramy się zachować dystans, aby uniknąć choćby wzajemnego dotknięcia, a jeśli do niego dojdzie, reagujemy jak na dotyk gorącego czajnika.

Nawet nie pamiętam, czy żona odpowiedziała, bo i tak tego nie oczekiwałem, a może nawet w obawie przed ewentualną słowną prowokacją szybko zamknąłem za sobą drzwi. Chociaż tak naprawdę to nie było jednak ostatnie słowo, bo kilka zamieniłem ze spotkaniem na schodach sąsiadem, ale chyba nie było to nic ważnego, skoro rozmowy tej nie zapamiętałem. Tym bardziej że sąsiad wracał zmęczony z nocnej zmiany w piekarni, więc do domu szedł z niemal zamkniętymi oczami, skutkiem czego plątały mu się nie tylko nogi, ale i język. Fakt tego spotkania zarejestrował raczej mój nos, bo sąsiad pachniał świeżym pieczywem, co zazwyczaj pobudzająco wpływało na mój apetyt. Czasem nawet zazdrościłem mu tego przyjemnego, wyrazistego, sprowadzającego sympatię, podmiotowego zapachu. Większość z nas pachnie nijako, co wobec braku innych szczególnych cech, skutkuje totalną obojętnością bliźnich. Czując ten piekarniany zapach dziwię się, że dotąd nie wypuszczono wody kolońskiej o woni świeżego pieczywa.

Po wyjściu z bloku wsiałem do samochodu, wyjechałem na ulicę i ruszyłem przed siebie. Ostatni zarejestrowany obraz to wyjeżdżająca z boku wielka, coraz większa ciężarówka. Taka, jakich zawsze się bałem i którym zawsze starałem

się zjeżdżać z drogi. Pamiętam też, że była zielona; po obu stronach, jak mięsiste uszy, sterczały duże, wystające lusterka, a szeroki zderzak był na wysokości mojej twarzy...

* * *

Obudziłem się na szpitalnym łóżku, chociaż uświadomienie sobie tego faktu zabrało mi trochę czasu. W rozszyfrowaniu miejsca pomogła scenografia pomieszczenia z dominującą bielą i zastonami dokoła łóżka, obok którego stały stojaki z kroplówkami i jakieś wysięgniki nieznanego przeznaczenia. Zresztą tak naprawdę nie byłem w stanie zobaczyć niczego, co znajdowało się poza ograniczonym polem widzenia. W tym położeniu widziałem jedynie fragment sufitu i to, co rysowało się na tle tego jasnego prostokąta. Właśnie wierzchołki owych stojaków i wysięgników, zwisające rurki oraz kable zapewne kończące się w jakimś gniazdku, które przez skomplikowany system przewodów i linii przesyłowych łączą się z elektrownią, z której płynie niewidoczna energia umożliwiająca wtłaczanie we mnie jakiegoś płynu i odbieranie sygnałów mojego wnętrza. Leżałem nieruchomy, bezwładny i zastanawiałem się, dlaczego jestem taki ciężki. Właściwie nawet nie wiem, dlaczego pomyślałem o swojej wadze, bo przecież tego ciężaru także nie czułem, ale wydawało mi się, że muszę być ciężki, skoro nie mogę poruszyć ręką ani nogą. Był to jednak raczej kolejny domysł, bo przecież nawet nie próbowałem. Pamiętam też, z jakim wysiłkiem usiłowałem zrozumieć, jak się tu znalazłem i co się ze mną stało. Czułem się tak, jakbym leżał na dnie jakiejś głębokiej studni, a nad sobą widział daleki, niebieski krążek nieba, który na skutek wyostrenia wzroku powoli zaczął się przybliżać, dzięki czemu niebieskie kółko stawało się coraz większe, aby w końcu przekształcić się w powszechną biel i jasny prostokąt sufitu. Ale to jedynie efekt wizualny, bowiem świadomość w dalszym ciągu tkwiła na dnie rozpadliny, niezdolna do rozsypnięcia tego gordyjskiego węzła niepamięci. Wciąż pamiętam to bolesne ciśnienie myśli, którymi próbowałem przebić sufit niemożności odtworzenia tego, co

się stało i uzmysłowienia sobie obecnego statusu. Przypominało to próbę przejścia przez tłoczony pod wielkim ciśnieniem strumień powietrza albo drogę pod huraganowy wiatr, który nie pozwala zrobić kroku, a raczej stopuje, cofa, odrzuca. Tyle tylko, że nie mogłem też odwrócić się ani iść z powrotem. Wrażenie to z pewnością pamiętają ci, którzy podnosili się z głębokiego omdlenia, nie mogąc przypomnieć sobie przyczyny tego odbierającego świadomość i wymazującego pamięć gwałtownego odlotu.

Najbardziej jednak dziwiła mnie cisza, taka najgłębsza z możliwych, totalna, szczelna, bezwzględna, wręcz kosmiczna. Wydawało mi się, że nagle znalazłem się w świecie z całkowicie wyłączoną fonią, gdzie głos znika, zanim jeszcze się pojawi, a już sam zamysł odezwania się powoduje przywalenie go ogromną poduchą, spod której nie wydobywa się absolutnie nic. Nagle poczułem się jak zatopiony w kropli bursztynu owad lub odbity na kawałku skały prehistoryczny gad, z tą różnicą, że one były obiektywnie martwe, a ja żyłem, chociaż i tego nie byłem do końca pewien. Miałem wrażenie, że znajduję się w jakimś szczelnym batyskafie osiadłym na dnie Rowu Mariańskiego, a oddzielająca mnie od powierzchni kilkukilometrowa tafla wody zmienia optykę widzenia, poddając w wątpliwość istnienie innego wymiaru. Tyle że tu wszystko wydawało się ostre, oświetlone słońcem i tak bliskie, że na wyciągnięcie ręki, której jednak nie mogłem unieść.

Z czasem świat zaczął odzyskiwać kształty i barwy, ale wciąż jeszcze pozostawał przeraźliwie niemy i niezrozumiały. Najdziwniejsze wydawało się, że stojące obok łóżka urządzenia, które przecież musiały wydawać jakieś dźwięki, teraz pozostawały jakby w jakimś przezroczystym, wzrokowo ostrym, ale głuchym wymiarze, który na kształt żelowej ściany oblepił je i wygłuszył. Nad oddzielającą mnie od reszty pomieszczenia zasłoną widziałem też górną część otwierających się drzwi, które przecież musiały choćby lekko skrzypieć lub zgrzytać, a teraz bezgłośnie zataczały łuk, otwierały się i zamykały tak jakby nie były materią, ale animacją. I chociaż nigdy nie byłem admiratorem fonicznych nadmiarów, teraz ta głęboka cisza wydawała mi się dolegliwie nienaturalna i niepokojąca. To było jakieś niemożliwe do zlokalizowania, uwierające obce ciało, jakaś sterylnie wygłuszająca, niewyczuwalna energia

pozbawiająca łączności z materialną rzeczywistością.

Na początku oglądana rzeczywistość przypominała niemy film, dając wrażenie umowności, ale z czasem ten całkowity bezgłos stawał się czymś jawnie nienaturalnym, przeraźliwie wrogim i psychicznie dołującym. O ile bowiem w przypadku niemego filmu brak głosu przyjmuje się jako coś świadomie akceptowanego, o tyle świat pozbawiony tego założenia staje się rzeczywistością przerażającą kadłubową, a nawet wręcz dyskwalifikującą wrażenia przekazywane przez pozostałe zmysły. Dla kogoś przyzwyczajonego do obecności dźwięku taka nienaturalna cisza staje się wręcz przedsiönkiem obcego świata, a ta bezwzględna foniczna pustynia wywołuje popłoch i paniczną potrzebę szukania miejsca, gdzie nasze ucho mogłoby wychwycić bodaj szelest. Chciałoby się znaleźć nawet tam, skąd kiedyś z nadmiaru dźwięku pragnęło się uciec. Nagle odkrywa się niezrozumiała wcześniej prawda, że obecność dźwięku jest jedynym z podstawowych wymiarów ludzkiej przestrzeni, formą wzajemnego porozumienia nawet wtedy, kiedy zawodzi wzrok. Bo dla niewidomego dźwięk jest morską latarnią, pewnością istnienia świata, który mimo braku kształtu i koloru, przecież ma jakąś foniczną formę, dzięki której da się rozpoznać i uporządkować. Tym bardziej dla słyszących, dla których nawet to, co nazywamy ciszą, zazwyczaj ma przecież w sobie pierwiastek jakiegoś dźwięku. Bez dźwięku obywa się chyba tylko sen, chociaż czasem nawet we śnie zdarzało mi się słyszeć głosy, a bywało, że zapamiętywałem nawet jakiś muzyczny motyw, śpiew ptaka, głos kogoś bliskiego, szum wiatru w koronach drzew i szelest deszczu na liściach łopianu. Bo ludzkie pojęcie ciszy w gruncie rzeczy nie jest ciszą bezwzględną. Wiele razy zastanawiałem się, skąd biorą się głosy w tym nieokreślonym, sennym wymiarze i z zaskoczeniem odkrywałem, że zazwyczaj wracają właśnie z zamierzchłej przeszłości, czasem na tyle oddalonej, że w rzeczywistości biograficznej jawią się wręcz jak archeologiczne wykopaliska. Biorąc pod uwagę ostrość i konkretność tych odległych dźwiękowych ech, dochodzę do wniosku, że wbrew opinii o enigmatyczności sennych przesłań, ten miraż jest rodzajem zalegającego w głębokiej podświadomości subiektywnym archiwum przechowującego najbardziej intymną dokumentację. Nagle skonstatowałem, że ten

trwający w moich sennych omamach deszczowy rytm wszedł we mnie pewnej sierpniowej nocy, kiedy obudził mnie gęsty, spokojny deszcz wybijający jednostajny takt na liściach oplatającego dom winogrodu. Pamiętam, że wychyliłem się z okna, a krople deszczu nie tylko moczyły moją głowę, ale wchodziły we mnie całego mocnym, równym rytmem programując drganie nerwów i uderzenia serca. I chociaż z racjonalnego punktu widzenia to oczywisty nonsens, podświadomie wierzę, że właśnie wtedy zaczęła się we mnie dorosłość. Zupełnie jakby tamten deszcz przemył mi oczy, nawodnił mózgowo zwoje, rozmył dziecięce aksjomaty i skłonił do głębszego myślenia. Miałem wtedy niespełna 15 lat i pamiętam, że tak jakoś z dnia na dzień straciłem wspólny język z kolegami, zasmakowałem w samotności i obudziło się we mnie zainteresowanie sprawami, które jeszcze wczoraj uznawałem za nieistotne. Nagle obudziła się wrażliwość estetyczna, namysł i powaga, a przede wszystkim świadomość totalnej niewiedzy. Co prawda nie od razu, ale z wolna zaczęły docierać do mnie enigmatyczne sygnały, że coś budzi się we mnie, kiełkuje i rośnie, domagając się dopuszczenia do głosu. Emocje i myśli przestały być proste i oczywiste, a ja sam przestałem się rozumieć. I tak skończył się czas nieskomplikowanego, uporządkowanego i bezkolizyjnego pojmowania świata.

Który nigdy nie wrócił.

* * *

A potem przyszedł znajomy lekarz z pielęgniarką i coś do siebie mówili, ale chociaż rozmawiali pochylając się nade mną, zupełnie ich nie słyszałem. Nawet wtedy, kiedy z ich zachowania wynikało, że zwracali się do mnie. Chciałem odpowiedzieć, ale chyba pozostawałem niemy, czego raczej domyśliłem się po ich reakcji, bo skoro nie słyszałem ich głosów, mogłem też nie słyszeć sam siebie. Chciałem powiedzieć im, że nic nie słyszę, ale słowa nie chciały wyjść na zewnątrz. Zaczynałem więc od początku, coraz szerzej otwierając usta, coraz bardziej gorączkowo i rozpaczliwie, lecz jedynym efektem był konwulsyjny kaszel. Pewnie wyglądałem na przerażonego, bo doktor napisał na kartce, że miałem wypadek drogowy, przywiozła mnie karetka i że co prawda stłuczenie mózgu pozbawiło mnie mowy oraz słuchu, ale nie ma się czym przejmować,

bo to efekt czasowy i za tydzień, najdalej dwa będę mówił i słyszał. Poza tym nie ma żadnych poważniejszych urazów, bo nieskomplikowane złamanie nogi i kilku żeber trudno zakwalifikować jako obrażenia zagrażające życiu. Radził, abym pobyt w szpitalu potraktował w kategoriach zasłużonego odpoczynku, co prawda zesłanego przez los w nieco dziwny sposób, ale dobro nie zawsze przychodzi w oczywiście pozytywnej i pożądanej postaci. A ponieważ jako ateista pewnie nie będę napastował Boga, pozostaje mi wiara w medycynę i lekarskie umiejętności. I jeszcze, że mogę czytać, bo póki co inne rozrywki nie wchodzi w rachubę.

Potem przy łóżku zebrało się konsylium, oglądali mnie i wyniki badań, dyskutowali, potem znowu mnie oglądali. Z gorączkowości rozmowy i gestykulacji zrozumiałem, że różnią się w opiniach. W końcu widocznie doszli do porozumienia, bo ordynator uściśnawszy mi rękę podniósł kciuk, dając do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze, co przyjąłem ze sceptycyzmem, bo taka kurtuzja należała wszak do jego obowiązków. Znałem to z autopsji, bo w moim adwokackim fachu też trzeba było osiąść umiejętność przygotowania klienta na najgorsze. Najczęściej za pomocą pokazania skutku znacznie bardziej dolegliwego od przewidywanego wyroku. Bo jeśli ktoś oczekiwał trzęsienia ziemi, znacznie mniej tragicznie postrzeżał pożar i gradobicie.

Stosując do siebie taki tok rozumowania, trochę na zasadzie krakowskiego targu wyszło mi, że jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, powinienem odzyskać słuch albo mowę.

Problem w tym, że nie bardzo wiedziałem, co wybrać.

Jan Adam Borzęck

(fragmenty przygotowanej do druku powieści)

Poeta

*Pamięci Jana Gajzlera
piewcy Gór Świętokrzyskich*

To patrzy w Gołoborza srebrny błękit
to w magiczny pejzaż dookolny
co aż zatracił się w zieleni

i już w myślach
przeistacza te cuda natury
w misterny sonet

by jak drogocenny dywan
rzucić do stóp
świętokrzyskiej ziemi urocznej

czy w swoim zadziwieniu
poda mu rękę by razem pójść
w ten wezbrany zachwytem dzień

zanurzyć się w poranny świt
aż po zenit południa kuszący
i dotrwać do słońca zachodu

Nieustanna dociekliwość

*Na kanwie książki Jostaina Gaardena Świat Zofii.
Cudowna podróż w głąb historii filozofii*

Od kilku dni przebywam w świecie Zofii
wędruję wraz z nią po ogrodzie
rozważam tajemnice przyrody wszechświata
istnienia i zadaję sobie to trudne pytanie
co znaczy być istotą ludzka
poprzez rozum szczególnie wyróżnioną
i jeśli Horacy powiedział
miej odwagę być mądrym

Święto Kielc 2018. Podczas uroczystości wręczenia Nagród Prezydenta Miasta w Muzeum Historii Kielc (22 czerwca) Krystyna Cel wyraża podziękowanie w imieniu laureatów

Fot. Łukasz Zarzycki

to zaraz nasuwa się i taka refleksja
że tę mądrość niejednym życiem przyplacił
skoro tak to pewnie jest jak drogocenna perła
szczęśliwy kto w sobie ją odnajdzie

nasze poznanie jak ocean bezmierne
czy otworzy swoje tajemne przejścia
do istoty rzeczy niełatwo dotrzeć
można zagubić się i pobłądzić
jak w mitycznym labiryncie
ale nieustanna dociekliwość
ta przemożna wartość dodana
na żadne przestrogi nie zważa
i w nieznanym uparcie drąży

Fizyka miłości

Skąd w tobie ta siła przyciągania
że moje serce aż przyspiesza
energia potencjalna zamienia się w kinetyczną
by doścignąć drogocenne sekundy
n i e w a ż k o ś c i

cóż za euforia

czy nie obawiasz się
że ten grawitacyjny impet
wyzwoli nagle
drugą prędkość kosmiczną
i wyrzuci mnie w tajemniczy wszechświat
byłby to wspaniały odlot

czy to ważne że bez powrotu

Z przygotowanego do druku tomu *Liryczny monodram*



Spotkanie autorskie Jana Chruślińskiego w Koszycach

20 września w Muzeum Ziemi Koszyckiej im. Stanisława Boducha w Koszycach odbyło się spotkanie autorskie powieściopisarza Jana Chruślińskiego przy udziale poety i krytyka literackiego Stanisława Nyczaja z czytelnikami. Zaprosił na nie świętokrzyskich literatów wójt koszyckiej gminy Stanisław Rybak, który dowiódł – co było szczególnie miłe – że bliska jest mu ich twórczość i chce z nią zapoznać licznie zebranych młodych i dorosłych mieszkańców. Głównym bohaterem spotkania w słoneczne popołudnie był Jan Chruśliński, którego sylwetkę twórczą nakreślił prezes naszego Oddziału, podkreślając, że swoją artystyczną prozą podejmującą rodzimą tematykę historyczną kontynuuje najlepsze tradycje wybitnych pisarzy regionu.

Za taką wzbogacającą je książkę, wpisującą się nadto w niepodległościową rocznicę, można z satysfakcją uznać powieść *Miłość i wojna*, uhonorowaną nagrodą im. Stefana Żeromskiego (2014). Przekonała o tym zebranych na spotkaniu ciekawa ze strony autora prezentacja okoliczności powstania i treści utworu, uatrakcyjniona przedstawieniem na ekranie reportażu telewizyjnego o losach pary głównych bohaterów. O sukcesie książki pisaliśmy już na łamach „SKŁ”. Czym innym wszakże jest żywy, bezpośredni przekaz, będący rzadką umiejętnością.

Utwory, jakie autor napisał to osobista, sentymentalna podróż w przeszłość. To autentyczność wydarzeń opartych na faktach. Szlachetne wzo-

ry i postawy bohaterów, wartości wyznawane: Honor i Ojczyzna. Autor w swoich utworach przywołuje nie tylko pamięć o grozie wojny, okupacji, ale też przywołuje ludowe tradycje Ziemi Kieleckiej, które można by uznać za najbardziej polskie w czasach, gdy życie toczyło się jeszcze przy świecach i lampach naftowych. Jego książki opowiadają o radościach i smutkach, ciągłej walce z przeciwnościami losu.

Autor zaciekał słuchaczy wielowątkową historią opowiadając płynnie, żywo i obrazowo, jednocześnie z dużą kulturą literacką. Opowiadał o swojej pisarskiej drodze.

Była też mowa o innej jeszcze powieści uhonorowanej główną nagrodą na Pierwszym Polskim Festiwalu Sztuki „Orzeł 2016” pt. *Starość zaczęła się wczoraj*, którą wójt Stanisław Rybak – jak przyznał – przeczytał jednym tchem. Rozmawialiśmy m.in. o niej w przeddzień koszyckiego spotkania podczas II Poniżdziańskiego Pleneru Literacko-Plastycznego w Busku-Zdroju. Zdaniem obecnej na nim Alicji Patey-Grabowskiej: „Źródłem swoistego *carpe diem* jest w wymowie tej powieści przezwyciężenie ciężkiej choroby [raka], dzięki czemu bohater-autor nabiera dystansu do nieistotnych w obliczu zagrożeń problemów”.

Jan Chruśliński aktualnie pisze kolejną powieść.

– Czekamy na nią z niecierpliwością – powiedział wójt.

Redakcja

Wójt gminy Koszyce Stanisław Rybak otwiera spotkanie autorskie z Janem Chruślińskim z udziałem Stanisława Nyczaja



Każda ziemia ma swoją historię

Rok 1926

Maciej zasiedział się z kolegami. Trzeba było wracać. Przez wąż. Nie było innej drogi. Przez las jakoś przeszedł, rzekę przeskoczył. W głębokiej drodze zauważył światło, uciekać, nie było odwrotu. Może za nim już ktoś... Koszula na plecach pęczniała. Poprawił czapkę...

– Za ładny będziesz... – dobiegł skrzypliwym głosem. Po prawej stronie, w ziemnej ścianie, paliła się świeczka. Maciej uczynił znak krzyża. Dreszcz podcinał mu nogi, jakby chciał wmurować go w miejsce. Powietrze zamykało w lekkości. Maciej już nie szedł, płynął.

Nie pukał do drzwi. Przeczekał na ławce. Rano... Zauważył, że nie ma czapki, oberwane guziki i był w jednym bucie.

Rok 1943

Żelazne koła wozów roznosiły odgłosy.

Maciej spojrział w niebo, grzmiało. Pospieszył do domu.

– Zbieraj się – siano trzeba – powiedział do żony.

Przykazała starszej córce pilnować braci, przytknęła drzwi.

Wóz zjechał w dolinę, głęboką drogą wężowozu, zamoczył koła przecinając rzekę, przycichł na drodze pod lasem.

Ten zakątek oszczędziła wojna. Ominął przebiegający obok front.

Silne ręce zbierały kopki na widły, układały na wozie. Rozsypywały się suche trawy, zwisały na boki, osiadały na gałęziach krzaków w wąskiej drodze. Pod górę marszczył się kasztanowy grzbiet konia. – Wio! – już prosto do domu.

Wytrzymało, burza przeszła obok.

Maciej odetchnął, siano napełniło stodołę. Jakby skryło się w nim całe lato. Maryna przysiadła. Ukołysała ją to siano.

...była na jarmarku, wśród kramów, dzwonek, dymu palonego cukru...

Na niebo wchodziły gwiazdy, odzywały się świerszcze.

Trzeba do krowy – pomyślała.

Już był Maciej... dzieci spać położył...

– Oddajcie sierp! Oddać!

Córka usłyszała krzyki. Zobaczyła leżącego na ziemi ojca, podbiegła. Wzywała pomocy. Napastnik popchnął ją, trzymał za włosy. Marianny nie było. Poszła do miasta. Gburowaty sąsiad musiał ją widzieć. Przyszedł, zrobił robotę. Wieczorem żona zaczęła przeproszać. Rano poszła na skargę na milicję.

Lata 60.

Maciej wszedł do domu. Wewnątrz panowała cisza.

– Ola, Jasia!

Stłukły lampę. Bawiły się, spadło szkło. Ze strachu weszły pod pierzynkę.

Maciej przyniósł z komory drugie. Dmuchał, chuchał, gazetą wyczyścił.

Prężył się grzbiet konia pod ciężarem kłosów, gdy prawie na kolanach ciągnął wóz pod górę, dowoził wartość ziemi i ludzkiej pracy.

Marta podwinęła rękawy, pospieszyła pomagać ojcu przy młóceniu zboża.

Dziecka pilnowały dziewczyny z sąsiedztwa. Przychodziły do małej, zabawiały.

Marta powierzyła wózek. Podawała snopki, odbierała słomę. Miała ręce pełne roboty. Młoda, zwinna, gdy urodziła, cała wieś przychodziła oglądać córkę. Matka nie nastarczyła wystawiać krzesel.

Martę tknęło złe przecucie. W hurgocie młocarni słyszała ciszę, odrzuciła widły.

Przewrócony wózek... Dziewczyn nie było. Ojciec czekał... Zaprzeczyła.

– Nie chcę stracić dziecka – powiedziała.

– Weź, wejdź, podsadź cię, to mi urwiesz śliwkę – powiedziała Marianna do córki kuzynki, która zjawiała się ot, tak.

– Dobrze, babciu.

Wyszła, najadła się i poszła do domu.

Marianna zrobiła ciasto. Gdzie ta dziewczucha!?...

Podeszła pod drzewo. Na ziemi leżało przewrócone wiadro.

Rok 1970

Marcin przysiadł w ogrodzie. Patrzył na swoje drzewa. Minęły czasy, kiedy nosił wodę na plecach, by je podlewać.

Dorośle dzieci miały swoje dzieci.

Dopełniało się życie.

Z tomu *Opowiadania*, opublikowanego w 2017 r. przez Wydawnictwo GENS.



Barbara Teresa Dominiczak

Poezja morza

Za mgłą
za siódmym snem
i brzegiem jawy
nieuchwytna poezja

Oczy chłopca
błądzą rozmarzone
śladami Almayera
zagładają
jak za tajemny parawan
za Conradowską smugę cienia
w rozterkach lorda Jima
smakują marzenia i klęski
oczarowania
rozczarowania
A dni powszednie
jak ziarnka piasku
na plaży
odpływają
z przybojem fal

Portret z czasem i przestrzenią w tle...

*

wtulona w Czas
Czas mocno wtulony we mnie
przemijamy
w przeszłość
w rytmie na trzy pas
może przez kilkadziesiąt lat
ja
On – nieskończenie

*

weszłam w Czas
któregoś dnia
nawet się zadomowiłam
niepostrzeżenie
wyjdę
któregoś dnia
czy zapamięta
że z Nim byłam

*

Przestrzeń na swoim miejscu
a przecież przemija
jak ja
jestem tutaj
czy już tam
kto kogo
w lustrze Czasu
tak naprawdę odbija

Leszek Dembek

Dekalog XXI

collage

nie zabijamy – neutralizujemy cel
nie ma wojen – są konflikty zbrojne
nie ma mordów – są konflikty etniczne

nie ma kłamstwa – mijamy się z prawdą
nie ma wycisku – jest outsourcing

Lekcja

Opuszcza strefę mądrości
do krainy beztroski zabiera miłość bliźniego
w ciemności szuka ścieżki
z Nowogródka do Paryża
za szklaną ścianą
kreatorzy stałych zmian
pchają system oświaty na nowe tory
potyka się o wartość dodaną
i gubi własne posłannictwo
podszyta Pimką
słyszy krzyczących uczniów:
matura, matura!

Wręcza im świadectwa
z prawem wstępu
do wyższego poczucia wartości

Altruści

Wywodzą się od praprzodka
o imieniu Judym
przypadek opisany w literaturze
genetycznie odrębny
o wrażliwości nieracjonalnej
czuł wstręt do Fenicjan
wyznawca archaicznej zasady
miłości bliźniego
na osobnika o cechach tak pierwotnych
współcześnie nie natrafiono
ewoluował
dostosowując otoczenie do siebie
zanik wrażliwości zastąpił
uwielbieniem siebie samego
rozwinął chęć posiadania
oraz matematyczną zdolność
dodawania nominałów
Badacze gatunku nazwali go
Judymem nowej generacji

Polonistka naucza o Panu Cogito

Usiądą
i wpatrują się niemo
w jej twarz
jaśniejącą

chłoną jej słowa o Panu Cogito
już starym ale wyprostowanym
wśród młodych
wielbiących boskość nagiej „Madonny”
ich odwaga pędzi na motocyklu
„w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy”
ich pogarda
grzebie w koszu na śmieci
nie przebaczą
w lustrze oglądają... kurtkę firmy Levis
Powiada ona:
zaiste uwierzcie
poezja to sztuka słowa
to nasze życie
sumienie i miłość
nie
wiersz nie jest opisem
życia poety

Złote szaty

Kiedy głupiec założy złote szaty
unosi się coraz wyżej i wyżej
nad głowami ludzi
oni zaś są mali, szarzy, niemi i nieobecni
wobec siebie nawzajem
a przed Bogiem
modlą się sekretnie
by mu wybaczył
Kiedy głupiec założy złote szaty
jego myśli
stają się złote
jego słowa
stwarzają nowy świat
jest Sędzią z Kaplicy Sykstyńskiej,
jego wyroki są
ostateczne
Mówi językiem miłości bliźniego:
nikczemnik, zdrajca – przedtem, teraz i na zawsze
oni są przeciwko wam, Bogu i ojczyźnie
nie zasługują na wybaczenie
znak pokoju przekażcie
sobie
Kiedy mędrzec założy złote szaty
przeprasza
że nie miał innych

Z tomu *Wiersze dla polonistki*. Słowo wstępne Adama
Ochwanowskiego. Kielce 2018

Z cyklu *Zapiski człowieka przejrzałego*

Pomnikofobia

Żal mi tych,
którym za życia
– ku ucieście gołębi –
stawiają pomniki.

Cieszę się,
że mnie to nie grozi
nawet po śmierci.

Wyznanie

Nie wierzę
w życie pozagrobowe.

Ale modłę się
o to,
żeby koniec
był początkiem.

Pytajniki i wykrzykniki

Nie byłem wilkiem,
byłem kotem.

Chodziłem swoimi drogami,
błądziłem po manowcach –
mea culpa!

Co teraz?
Dokąd wy mnie, czarni panowie,
w tej podłużnej skrzyni
niesiecie?

Czy znacie adres?!

Świece

Nigdy nie próbowałem
zdmuchnąć wszystkich świec
na urodzinowym torcie.

Co rok płoną ich miliony,
może miliardy,
na całym świecie.

Komu – czemu
zawdzięczam tę rozpustę?
Przypadkowi:
urodziłem się pierwszego listopada
roku tysiąc dziewięćset któregoś.

Umieram przeżywszy dwa wieki,
choć trochę mniej niż sto lat.

Zejscia

Zejdźcie ze schodów,
zejście z posterunku,
zejście z oczu...

Wiele, wiele zejść –
aż po to ostatnie:
na wieki wieko...
Amen.

I lament?
Żyjmy i umierajmy
bez lamentu.

Z tomiku *Bez lamentu. Zapiski człowieka przejrzałego*.
Lublin 2017, Wydawnictwo Domowe „AD HOC”

Z sentencji na 4. str. okładki:

- Im więcej świec w urodzinowym torcie,
tym mniej tchu do ich zdmuchiwania.
- Życie jest długie jak epigramat
i wesołe jak epitafium.
- Wiemy, że nasze dni są policzone,
na szczęście nie wiemy, do ilu.
- Zanim *nie wszystek umrę*,
próbuję jeszcze częściowo pożyć.

* * *

Czym jest słowo?
Miłością, prawdą, poznaniem?
A może krwią treści,
metaforą tylko?
Może...

Czym jest Słowo?

Wiem i nie wiem
Panie

* * *

jak uparty Demostenes
dotykam szkliva mowy
rozłupuję na części sens
od wieków wiadomy
sens rozbitych związków
skrzyżowanych fraz

jak Demostenes
metaforyzuję świat
by uczynić go bezsensownie
sensownym
nazywanym na nowo
moim

potykam się o kretowiska
nie o góry

z mozołem szukam Słowa

* * *

W pęknięciach czasu
błękitne zakola rzeki
i wyimaginowana walka z wilkami

W pęknięciach losu
śmiech klaunów
szepty przyjaciół
i donkiszotowe galopady
w horyzont z wiatrakami

* * *

w drodze na szczyt
mgły i deszcz
cienie kosodrzewu
spadają w potok
osrebrzone szarotki
tulą się do skał

w drodze na szczyt
Krzyż
odmierza godziny
wiek cały
w drodze na szczyt

Z tomiku *Przez mgłę i świt*

* * *

Sosno, masz tyle igieł,
tyle mocy w korzeniach,
by udźwignąć wichry i burze.

Dlaczego płaczesz?
Dlaczego ronisz
zapach żywicy?

Spójrz, mewy i rybitwy
są z tobą, przyjaciółko.
Trwaj...
Burzom i wichrom
okaż swą nieugiętość.

Międzywodzie, sierpień 2017

* * *

Fale Bałtyku
komponują legendy.
Łowią echa dni.

Słyszę sonaty nocy
i tajemne szmery wód.

* * *

...patrzę na morze
jak ono się garnie
jak ciągle jest odpychane przez ląd

im jestem starszy
tym bardziej boję się miłości
boję się przytulić ocean...

Spadochron rąk/ pokaz zimnych ogni/

...wysoko
wyciągają ręce petardy
po metamorfozę
migocącego ognia

wysoko
ośmiornicą purpury wystrzelić
i opadać czaszą i na chwilę zawisnąć
i zniknąć

nocne palmy
szmaragdowe baldachimy
pajęczyny jednej chwili

różowe dmuchawce fleszem rozłożyste
koktajlami słoneczne
fontanny rozłożyste wstępujące w meduzy
w iglaste kaktusy
w przekarmione czerwienią trawy
w płonące pająki
w jednosekundowe kwiaty

wysoko
pod samym sercem nieba
ciągły pokaz zimnych ogni
i nieopadające
wyciągnięte wysoko ręce
od dźwigania samotności

* * *

...wyludniony dworzec opustoszałej ulicy
i niebo wiecznego czekania na ptaki
wielkie marzenia porzuconych wraków

skulone reumatyzmem zgniłe sieci
głębokie jeziora ograbione z ryb
rdzewiejące auta
nie zalane atramentem pióra
jakże głodne
...zastygłe z otwartymi ustami nożyczki
zdruzgotane łóżka z kikutami sprężyn
wybebeszone konserwy z padliny
nie dla okupu porwany łańcuch
spopielający las
wafel serca dziobany przez kruka
spróchniała pleśnią szuflada
zardzewiałych śrubek
...i to wszystko
wewnątrz mnie
emigranta
niewolnika europy...

Poczekalnie świata

...ściśnięte szczęście w walizce
w kłębku niewygody śpiąca postać
dumne i opuszczone głowy
niewyglaskane jak pacierz
podeptane obczyzną

w bełkocie gđaczących języków
próbuję odnaleźć sens milczenia

w wielkiej poczekalni świata
siedzi na walizce polskość
tuż obok Londyn...

* * *

...jak w oczu twoim szkle
zamknąć krajobrazy
na przełęczu szyi dłonie złożyć
tak jak anioł składa skrzydła
aby sen przytulić

jak usta rozmienić
na tysiące purpury
płatkami warg obdzielić
płonące tęsknotą różę

skoro nieobecność twa trwa
nieobliczalnie długo...

Hobby

Chwytam czas
za płaszcz
tuż przed północą
siadam w szóstym pokoju
za dziesiątymi drzwiami
mojego M3
jestem sobie Panią

Zmieniam dzieciństwo
w bańkę mydła
chwile w przedchwile
jutro w dzisiaj

To nic
że świt
przyłapuje mnie
z wierszem w dłoni

ukryję go
jak złodziej
plon mijającej nocy

Ars poetica

Ulotna jak poranna mgła
w lipcowy, ciepły poranek,
umyka gdzieś w zaświaty
myśl – niezastąpiona słowami.

Może to dobrze, może nie,
naprawdę sama nie wiem...
Może oszustwem byłby ten wiersz,
może zadrwieniem z siebie...

Lecz biorę pióro i chwytam ją,
zamykam kluczem słów.
Zostaniesz ze mną już na zawsze
i będziesz tylko mój.

Poeta

Uskrzydla codzienność
odkrywając piękno
w rzeczy niewydarzonej
w najprostszym słowie
w twarzach ulicy
i

szczęściarz...?

List do Leopolda Staffa

I nie ze spiżu pomnik Twój,
i nie trzydzieści nad nim gwiazd,
ale tysiące (w listopadzie)
rozbłyśnie w Twym ostatnim z miast.

Jest cicha sława, pusty pokój
i człowiek jest (przez małe c),
i prawie nic się nie zmieniło,
tenże sam szum wysokich drzew.

Złe przykazania mam za własne,
siebie zdobywam wciąż codziennie,
w płótno żywota grzbiet okrywam,
kocham i tracę naprzemiennie.

Dom budowałam na Twój sposób,
już wydobywa dym z komina,
a teraz proszę – stań na progu,
podam Ci żywy puchar wina.

Na to spotkanie zaprosiłam
Muzę Poezji – cudną panią.
Spóźnione złożę Ci ukłony.
Tak, ona pierwsza, choć jest damą.

Porozmawiamy sobie trochę,
uczczymy Twoje narodziny.
Ars poetica dom wypełni...
Przeczytasz może coś z Wikliny?

Ostatni byłeś z pokolenia,
co układało, rymowało,
dlatego żal, że Cię tu nie ma,
więc wpadnij choć na chwilę małą.

PS

Jeśli nie będziesz mógł tu przybyć,
bo jesteś może zbyt daleko,
przyjmij ode mnie tę plecionkę
złożoną z naszych słów, POETO.

Z tomu *Między słowami*, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON 2”

Burza

Na morzu fale
do ust księżycy
tysiącem się wznoszą
kły szczerzą spienione
warcząc wiatrem
rozwścieczonym
jak życie burzliwym
złem nieskończonym
przerażeni – nie pytajcie
dlaczego marynarzowi
kapok potrzebny!

Chwała Morza

Tak chwalone będziesz Morze
chwała bez skazy
ugoszczę cie Morze jak gościa
którego zastugę przemilczeć wypada
i nawet słowo nie o tobie będzie
ale o królowaniu w sercach marynarzy
w ukłon który przed tobą złożę
bez uniżenia
włożę całe uszanowanie i równowagę stopy
ślad radości zawieszony na czole żaliwca
a z rozkoszy poczęty będzie wdzięk uśmiechu
by pamięć moja żyła
jak wesele serca – niezależny operator
uwielbieniem
domniemaniem

Chwile

Wpatruj każdego wieczora
w słońce zachodnie
bo nic tak nie powiększa
oczu i zdumienia duszy i chwili
co trwa potężnie i niemo
każdy dzień w piersi morza
gasi pragnienie

zamglony gdzieś w nadbrzeżnych skałach
w ostrych muszlach archetypu
wieczorem szłocha każdą niedosięgniętą falą
poeto – labiryntie myśli

ukryj w ciszy fale pełne słonych łez
i mojego za nimi smutku
ukryj też chłód morskiej muszli
w soczewce obiektywu gdzieś na krańcach
światlistego szlaku gdzie panuje chroniczna
przypadłość

pisania po piasku
i to zapamiętaj

Cóż więcej

Kiedy zachłysnąłem się nadbiegającą falą
przytuliła się do ramienia
uspokoila
a księżyc ciekawski stał w pełni
światło drgało na fali
jasna fuga włosów
w mokrych rysach piękna
była jak deszcz podziwu

morze –
miłości już mi nie przyniesiesz
ale smutku to mi ujmiesz

Czekam ciebie

Przyjmuję w sobie
zielonozimny spokój
obłudnie głaszczę samotność
nawet strachliwe mewy nie wierzą
stopom z dotykiem pamięci

tracę równowagę
kiedy szukam ciebie
za horyzontem rozstań
a przecież urok ten sam
więc co –
przemijanie to nasze najwierniejsze
które częściej niż do roku przychodzi?

Dzień niekolejny

Kolejny dzień
z licznych identycznych
tylko wyobraźnia
zawsze dyżurna
otwiera dalekie widnokreśli
więc morzu ślubuję otwartość

gdzie nietrudno
zobaczyć projekcję siebie

choć prawda –
potrzebna tu woda morska
obraz obmyć z obcesu
a dzień niekolejny
zatem –
niezbędna solidna podstawa
niżby bieg samotny

gdzieś pomiędzy
falą plażą i mewą
jest miejsce –
tam się spotkamy

Filozofia żywiołu

Z twoich objęć zwrotnie
wyniosłem przemiany powracająca falo
kto uległ?
kto odszedł
kto został przerażony
czyja pokora mogła serce zmiękczyć?
która muszla kraba zagubione imię powtarza?

Ja wiem co za odpływ zawrócił mnie zdradą
z mojej drogi przedwczesnej i ostatecznej
i znowu w ubezwłasnowolnienie
pełen oddech grzebie
stałem się więc ptakiem śpiewającym w sobie
i tylko fale przypominają o wspólnym istnieniu
dotknięte filozofią zamaskowanych żywiołów

Głos fal

Chciałbym aby fale o mnie przemówiły
dawno nie słyszałem ich głosu
jak do starożytnych marynarzy
najpierw postać nadziei
wysoko wnoszące wrzawę pewności

zagubione pióro mewy
wnosi się na śladzie rufy
a w nocy niespodziewanie ogień
rozbłysnął w ciemności
jak słońce
zapomniane strachy załogi
burze potwory i Nieznane
boso tańczyła po pokładzie jak pijana

tylko on czuwał stojąc na pokładzie –
nieruchoma figura dziobowa
wypatrując oblubienicy zielonej ziemi
którą fale przyciągały w jego stronę
jak do starożytnych marynarzy
chciałbym by do mnie przemówiły fale

Jesienny sztorm

Śpij i śnij
o trawach zielonych
czerwieni maków zbożnych
kolorze chabrów niebieskich
które każdą kobietę
do nieba poniosą
a tam miłość jest orłem
szybującym w przestworzach
nad Troją którą Homer
uświęcił poetycką mową

śnij i śpij
a ja pójdę na plażę
tam spór sokratejski z mewami
krzykliwymi powiodę
by bronić istoty słowa poezji
bo ona najważniejszą mową

śnij
a ja Paganiniego skrzypcami
pierwszy jesienny sztorm
muzyką duszy powitam

Meduza

Mała meduzo
przez morze zdradliwie
na brzeg wyrzucona mdlejesz w słońcu
dla ciebie zbyt ciepłym
czekasz na falę
w niepokoju wielkim
przezroczyście ramiona
wyciągasz bezsilnie
jak ja swoje
za błękitną dałą
stęsknione

Z przygotowanego do druku tomu poetyckiego *Morskie opowieści*

Ze Świętokrzyskiej Satyriady

Lidia Jędrocha-Kubicka

Nowa odsłona kieleckich „Scyzoryków”

Doszukać się chwili, kiedy mieszkańcy Kielc stali się „Scyzorykami” będzie trudno. Jest początek, historia i trochę legendy. Tak czy inaczej, dzięki faktom, zdarzeniom, a nawet intrygom wciąż powstają nowe opowiadania. Czasem ocieramy się o fantazję, fikcję, czasem o empirię. Wszelkie nowinki, wiadomości przetrwają wieki albo zginą unicestwione przez życie. Wzbudzają niepokój wśród ludzi, to znów dają im prestiż. Bywa różnie. Jedni przeżywają groteskowe koszmary, inni rozsypują wszelkie mity. Dodają tu i ówdzie coś, aby ubarwić, zaciekawić, podkolorować monotonię. Milion szczegółów i niepowtarzalnych detali potrafi uwieść, przeniknąć na wskroś.

Pierwsze, pisemne wzmianki o „Scyzorykach” pochodzą z 1911 roku. Mieszkańcy ościennych miejscowości twierdzili, że kielczanie, szczególnie młodzi, nosili przy sobie noże. Przydawały się one szczególnie kawalerom z innej dzielnicy odprowadzających panny do domu. Do chwili wkupienia się u męskiej społeczności broniącej honoru dziewczyny narażeni byli na powrót do domu w spodniach skróconych o nogawki.

Przed wojną w Hucie „Ludwików” produkowano szable zwane „Ludwikówkami”. W latach 50. słynny seryjny morderca posługujący się nożem – Kuba Rozpruwacz – ponoć pochodził z Kielc. W fabryce Polmo SHL produkowano szable dla wojska. W Kielcach bez problemu można było kupić scyzoryk, a w innych miastach towar ten należał do deficytowych. „Scyzorykiem” nazywał siebie Piotr Krzysztof Liroy-Marzec – polski producent muzyczny. W 2008 roku rozdano nagrody – „Scyzoryki”. Tyle znanych wersji. Teraz kolej na moją – własną *Odsłonę kieleckich „Scyzoryków”*.

Antek wyjechał na studia do Krakowa. Tam poznał Anię – rodowitą krakowiankę. Początkowo nie zwracali na siebie specjalnej uwagi. Potem, przypadkowo, spojrzeli sobie prosto w oczy i... zaiskrzyło. Pod koniec pierwszego roku zaczęli się spotykać. Chodzili do kina, kawiarni i na spacer. Pewnego razu Antek zaprosił wreszcie Anię do siebie na kolację. Usiedli na kanapie. W między-

czasie musiał wysłać esemesa do mamy. Ania odruchowo położyła rękę na jego udzie. Wyczuwając coś twardego, zdziwiona zaczęła delikatnie ją przesuwać w górę i w dół, w górę i w dół...

– I jak? – zapytała po chwili.

– Normalnie, a jak ma być? – odparł Antek, dalej pisząc.

Dziewczyna podjęła kolejną próbę. Moment, w którym błędziła dłońią coraz bardziej ją rozpałał, pobudzał wyobraźnię. Pływała w krainie marzeń. Czuła jak nabrzmiewał jej biust. Pragnęła, by Antek jak najszybciej objął jej ciało i ściągnął z niego wszystko.

– I co? I co? – spytała jakimś nieswoim głosem.

– A czego ty się tak uczepliłaś tego scyzoryka?! – zapytał Antek, po czym włożył rękę do kieszeni i wyjął błyszczący nożyk.

– Widzisz, jaki ładny. To prezent od mamy – z uśmiechem dodał. Nie spodziewał się, że właśnie w tej chwili prysnął czar rozbudzonej namiętności.

– To wszyscy chłopcy z Kielc, jeśli mają coś twardego w spodniach – to „Scyzoryki”! – krzyknęła wściekła Ania. Po czym wstała z kanapy i wyszła szybkim krokiem. Antek znieruchomiał. Uświadomił sobie, że zniszczył erotyzm, który mógł być przecież bajkowy.

– Nie, nie tylko „Scyzoryki” – wyszeptał. Nieestety, już sam do siebie. Wtedy poczuł, że czerwienią mu się uszy, policzki i chyba wszystko. Drapiąc się scyzorykiem po głowie, miał wrażenie, że spłonie ze wstydu.

Aby tylko to zdarzenie nie wyszło poza mury pokoju – myślał patrząc teraz na puste miejsce, tam gdzie mogła zatrzymać się i rozkwitnąć wielka miłość. Miał ze sto min, albo tyle, ile może unieść ludzka twarz. Nie czuł nic – tylko zapach swojego potu i dziwną obcość wokół.

– W byciu „Scyzorykiem” nie ma przecież nic wstydliwego – usprawiedliwił się sam przed sobą zakrywając twarz wilgotnymi dłońmi.

Z cyklu *Świąteczny czas*

Dzisiejsza choinka

Choinka na święta
wzięta z okładki codzienności
wystrojona w bombki
piękne i puste jak celebryci
w anioły nieobarzone
ciężarem stróżowania
opieczona łańcuchami
co nie przywiążą
szczęścia na zawsze
rozpalona zimnymi ognikami...

Radość dla radości
minie i opadnie
jak świerkowe igły
tylko gwiazda nadziei
pozostanie z nami
od tego
do następnego
święta.

* * *

Mała gwiazdka wypatrzona –
radość zapalona w oknie
jodły zapach
lampek kolorowy blask
opłatek bielutki
i na stół postawiona ryba
do podzielenia.

Bombki lśnią i rejestrują
fragmenty naszego ruchu
przy oknie
przy stole
przy obecnych
i
zapamiętanych w pamięci
odbić migotliwych.

Dłonie podane, splecione,
w geście przypadkowym
zawieszane.
Usta pocałunków

pełne
od życzeń do życzeń.

Nie stawiamy pytania
czy się spełnią?

Co zrobisz?

Wieczór pachnący igliwem
wyczekany
rodzina w komplecie
stół zastawiony –
dwanaście potraw
i dodatkowy talerz...

Co zrobisz, gdy przyjdzie gość
obdarty brudny nieproszony?
Posadzisz go przy sobie?
Będziesz zadowolony?

Bo tak naprawdę
na nikogo się nie czeka
a wielu z nas najbardziej boi się...
drugiego człowieka.

* * *

Mój krzyż
jak skrzyżowanie dróg
radości i cierpienia
dobra i zła
oczekiwania i spełnienia.
Ty Boże
patrzysz.
Ja wybieram drogi –
z wolnej woli bicz skręcony
uderzenie boli.
Na kolana
padam
i wstaję silniejsza.
Wierzę w sens
cierpienia
co uczy pokory.
Modłę się
dziękując za okruchy szczęścia
rozrzucone w moim życiu –
Twoje dary
Boże.

Stefan Jurkowski

– ciemności
– zawał
– tępienie

Do czasu

istniejemy – póki
jesteśmy potrzebni

– do ścięcia drzewa
zabicia zwierzęcia

– do sadzenia drzewa
karmienia zwierzęcia

– do czyjegoś bólu
albo znieczulenia

może dla kogoś mamy być przeszkodą
oddalającym się niebem
przybliżającym piekłem

ciężkim oddechem lub zawałem serca
pod górę drogą spiralną
która prowadzi w mylnych kierunkach

ścieżką donikąd
lub znikąd aż tutaj gdzie
życie nas jeszcze żyje

i wciąż nie wie
po co

Osamotnienie

noc rozpaczy
 noc metafizycznej próżni
absolutny brak istnienia
obecności
mitów prawd słońca
które oświetla ciemne chłody
obojętność
wielkowiejskiej ulicy
przerażenie pustego
szpitalnego korytarza
– wózek z trupami jedzie i zgrzyta –
i znowu absolutny brak
czegokolwiek

teresa z avila szuka boga –
zstępuje w głąb nas

Niezniszczalność

to jest
to ciągle się zbliża
to żyje
ludzie zwierzęta miejsca
krew łzy płacz
pośród wracających drzew
wśród powracających słów
te same
okręgi światła
głosy śmiechy krzyki
tylko się wsłuchiwać
tylko się wpatrywać we wszystkie oddalenia
tylko się wpatrywać w lustra
aż do ich dna

nic nie znika
wszystko trwa co raz trwać zaczęło

i wciąż powraca

powraca
po
nas

Mieszkania

przyzwyczajamy się do mieszkań bardziej niż do ludzi:

wchodzą w nas
kontynenty zacieków
półwyspy złuszczających się tynków
przeszłe podróże powracają z oddali

szyby od lat szare
odrapane meble
rozpalają czułość i wyobraźnię

dymi światło a w nim uduszone słowa
wraz z naszą obecnością
kiedyś tam rzeczywistość – kochamy
wszystkie nasze mieszkania puste i wysprzątane z głosów

także te które tylko nam opowiadano
– są niczym załączki najstarszej o nas legendy –

nosimy ją w sobie
i – co gorsza – wciąż w nią wierzymy

Równania

nie wiesz
jakie dane podstawić
jak – z lewa na prawo –
zmieniają się znaki dzieciństwa
starości
po której stronie
obrazy
– nie dają się przenieść
widzimy wszędzie siebie –
a to tylko wiatr pasuje się ze światłem
spadają
chmury wszystko jest
złudną geometrią

obliczamy wyliczamy
opieramy się niesymetrycznie na sobie

równania – wyrównania

ciągle przewracające się niewiadome

Przeciwnie

odbite w szybie światło boga
światło kobiety
zderzenie czołowe oto dwa
światy zdruzgotane wzajemnie
leżą któryś z nich
przeżyje lub oba
znikną wykluczą się
nie będą domem ani świątynią
poznaniem wstrząsem
olśnieniem
nawet legendą
o przeciwnych
a miłujących się żywiołach

* * *

wszystko co już nie istnieje
żyje w nas rusza się uwiera
boli czasami cieszy: twarze usta które mówią to
czego nie powiedziały a może powiedziały

zapamiętane łąki wierzby trawy szosy linie
przesyłowe kominy fabryk syreny
miasta które nacierają niczym buldożery

otwierają ziemię do płonącego wnętrza
usypują pagórki ryją
linie okopów między nami a nami

wychodzimy – ziemia z ziemi
mieszm ją ze śliną uporczywie lepimy
figury – chcemy je
przywrócić urodzić wypłuć z siebie –

w naszych lustrach ustawicznie
co znika – co było – co istnieje

miesza się

Było – nie było

kolorowe złomowiska blaszane samochodziki
zardzewiałe rowerki zegarki zwykłe puszki
napełnione symbolami dzieciństwa

śląd niewyraźny – było albo nie było – ginie
w zamieci białej niczym oko ślepego

losu wielka niewiadoma
płoną litery w książkach białe

kartki do zawijania śledzi (ale co to śledź)

kipią cmentarzyska rzeczy zwierząt ludzi
białe kartki tworzą wokół nas parawan
nie wiemy już co rośnie poza nim

w kwadracie między ściankami

nasz popiół

z nas popiół

Ze Świętokrzyskiej Satyriady

Beata Kępińska

Ale przez ciebie się nie da,
rozpanoszyłaś się wszędzie,
szturmujesz z ziemi i nieba,
wpływasz na mózgu potencję:

Ograniczona tolerancja

Wyschła woda, wyschła
w baszowickiej studni
za unijne euro
wodociąg przeciagli.

ćwierkaniem gardeł nabrzmiałych,
trzepotem skrzydeł ruchliwych,
świstaniem głośnym nad ranem,
gruchaniem wręcz obrzydliwym,

Woda jakaś leci
z tych ich rur zatruta,
po niej pies się z kotem
cały marzec kocha.

tym słońcem, co wgląd ma wszędzie,
jak z Sanepidu inspekcja,
i wiatrem ciepłym, porywczym,
dokazującym jak dzieciak.

Żeby było śmieszniej,
to obie dziewczyny,
już się ta zaraza
chwyciła zwierzyny.

Łąka mnie woła natrętnie,
żeby obejrzeć jej dywan,
a tam bzykanie namiętne
i motyl chętnie zapyla.

Po moim podwórku
biega też baranek.
Gardzi on owieczką,
wolałby z buhajem.

W Puszczy harmider jest straszny,
mech chręści pod orgią żuków:
ten kopuluje, nie patrzy,
inni o żony się tłuką.

Cóż ja biedna pocnę,
że dziś taka moda.
Nie będę mieć małych,
do rzeźni ich oddam.

Słońce mi przygrzało głowę,
mam teraz myśli nieczyste,
pocziwi bohaterowie,
nurzają się w erotyce.

Mam ja tolerancję,
ale nie do końca.
Niech mi się zwierzyna
po bożemu trąca.

Coś muszę zrobić, poprawić,
lecz sama grzęznę po uszy.
Ucierpi na tym moralność?
Sukces się Greya powtórzy?

Wiosna

Nie umawiałam się z tobą,
nieznośna, bezczelna wiosno!
Jesteś non grata personą
ze swą wrzaskliwą hałastrą.

Ja, w przeciwieństwie do ciebie,
serio traktuję życie.
Powinnam w pokoju siedzieć,
myśleć poważnie i pisać.



Kamienny sen

Wiekowy zamek chęciński
płacze nad swoją ruiną
puste baszty patrzą w niebo
czas zakpił z wysokich progów

a kiedyś w polonezie
snuł się po komnatach
mieszkał w złożonych karetach
szumie jedwabnych krynolin
i wytwornych kontuszy
dziś ukrył to
kamienny sen zapomnienia

królewskie duchy przeszłości
zasiedliły ceglane baszty
biała dama nadal pilnuje skarbów
wiatr niesie szeptę szarych skał
i legendę przeszłości

Nida

Dziewczyna z legendy
o niewiernym Olbromie
Czarna i Biała u źródła
połączona w Brzegach
zabrała ze sobą
nawet Wierną Rzekę

opasana zielonymi
ramionami łąk
rozkapryszona meandrami
w lustrze oczu
zatrzymuje niebo
i przybrzeżne drzewa

zachwyca impresją
jak u Moneta

Chronos i Ananke

Wszystko ma swoją cenę
zdradzone srebrniki
monety wrzucone
do tamtej fontanny

wyczekiwane chwile
lakierowane deszczem
i magiczną ciszą
szczęście
znalezione przypadkiem

rozpacz gasnących gwiazd
nie wzruszy Ananke
a Chronos nie odwróci
obrotów zegara
bo nie da się oszukać
wiecznej wiosny

Przebaczenie

Potężny sędziwy dąb
obdarowany pamięcią
tamtego zdarzenia
przyjął na swoje barki
drewnianą kapliczkę
ze świętą Madonną

w jego konarach
zamieszkał duch i sumienie
jasnowłosego młodzieńca
o błękitnym spojrzeniu
co przybył nieproszony

matka jak matka
wciąż czeka na niego
a on zasnął w życzliwym
łysakowskim lesie
oddzielony białą ławeczką
i białym płotkiem od życia

wśród zapalonych zniczy
kolorowych wstążek i kwiatów
przysiadł szacunek
dla człowieczeństwa

W Staszowie

Oglądam fotografie
moich dróg
sprzed lat

jestem
w Staszowie

wydeptuję
cyferblaty rynku
kręcę się
w tarczach zegarów ratusza
mechanizmach czasu

zapisuję
kolejne słońca

na rogu ulic
Kościelnej i Konstytucji 3 maja
(wtedy Armii Czerwonej)
dotykam chłodu
metalowej poręczy

po drugiej stronie
czytam
napisy na kościelnym murze
stawiane znaki zapytania
patrzę
na godzące się z czasem
obnażone jesienne drzewa

spod ciemnych plam sklepienia
byłej drukarni
przed pójściem do liceum
w perspektywę szkoły
idę
do świętego Bartłomieja Apostoła
na poranne szepty z Bogiem

w otwierany dzień
wyprowadza mnie
krzyż na kopule kaplicy Tęczyńskich
po latach
malowany
jak na szkolnych lekcjach plastyki
każdym kolorem życia

Na początku dnia
patrzę w okna

czytam zawieszono
w wyklejankach Jerzego Świątkowskiego
sonety Anny Błachuckiej

regularność formy
która chce być
konieczna i trudna
jak codzienność
upodabnia się
do kanonu
statystycznego rytmu słońca
dyktatu obrotu spraw

kawałki życia
sklejane kolorami kształtów
upadają pod krzyżem
przynoszą drugą rzeczywistość słowa

w uchylonych zasłonach
wirującej przestrzeni
szukam błękitu

Tulipany

Bożenie Piaście

Ktoś
opowiadał mi ciebie

wychodziłaś
namalowanym obrazem
zdarzeniem
zapisanym słowem

więcej dowiadywałem się
niż doświadczałem

w uśmiechach zaproszeniach
szukałem przyzwolenia
na pokonywanie odległości

zostawałem
w oczekiwaniu akceptacji

nie wiedziałem
o twoim
szczególnym brataniu się
z miarą życia
z rzuconym ci wyzwaniem
zgadywania kresu

ostatnio
spotkaliśmy się
w Warszawie

nie zdecydowałeś się
mówić o moim jubileuszu
adorowania poezji

podarowałaś mi
swój obraz

jego tytuł
poznałem
po twojej śmierci
„białe tulipany przekwitły”

Oddział

(na literacki jubileusz)

Uzbrojony w wyobrażenia
spojrzeniami
mierzy szeregi twórczej gotowości

liczebnością piór
kolejnej armii związku
chce nieść uspokojenie przekonania
o potencjalnej sile

uaktywniony na przyczółkach książek
ustawia kolumny rozpoznanych obrazów życia
wytacza działa niesionych sztandarów
odkrywa strategie słów
zostawia ślady przemarszu myśli

w gniazdach publikacji
granatami znaczeń
szuka nieprzyjaciela
otwiera obozy percepcji

spotkany wróg
nie formując tyraliery racji
osacza brakiem zainteresowania

bez okopów i fortyfikacji
oczekiwanego bezpieczeństwa
projektowane horyzonty budowanych wież
nie znajdują spodziewanej perspektywy

w zmienionych legendach map
sztaby szukają znanych szlaków
tracą orientację
dowodzą dezercją

w rozłożonych skrzydłach pragnień
wspomnienie Ikara
topienie wosku
nadzieje ucieczki

Słowa prawdy

M. W.

No i spotkaliśmy się
mam twoją książkę
czytam
twoje wiersze

słowo po słowie
otwieram
twoje drzwi
prawdy

w zaistniałych obrazach
zastanych myślach
szukam
stawianych znaków
otwieranego świata

nawet wtedy
gdy nas dzielą

nawet wtedy
gdy chcesz
abym był
twoim wrogiem

Benedykt Koziół

Kilim

Mamie

W kilimy tkane wieczorami
Lampy płomykiem przetykane
Wplatałaś zatroskane serce
Matczyną dobroć niekłamaną.

Księżyc za szybą czas odmierzał
Wędrując prostym wiejskim niebem
Wysrebrzał skórę na Twych rękach
Pachnących ziemią Inem i chlebem.

Widzę Twą postać nad krosnami
Cień nad osnową pochylony
Zielone oczy pelargonii
W labirynt przędzy zapatrzone.

Dziś stary kilim w mym pokoju
Sędziwym frędzlem ścianę zdoła
Wspomina Twoją zgrzebną pracę
Gdy księżyc po podłodze chodzi.

Słoneczne zegary

*Koleżankom z Liceum Pedagogicznego
w Jędrzejowie*

uliczkami miasta
gdzie słońce przesuwa
wskazówkę czasu
idę

uciekło mi południe
z obłoków schodzę
w cień klasztornych alejek

cystersi pamiętają
pochylony łęk
przed egzaminem dojrzałości

posiwiata tarcza szkolna
dźwiga niemodne chwile
wzruszeń

idę do przystanku
z którego mogłabym jeszcze
tam powrócić

* * *

czuję jak jesień
wchodzi mi
na plecy

próbuję się odgiąć
ale zasypują mnie

liście

* * *

w pokoju
gdzie Falski
uczył mnie
pierwszych liter

cichnie alfabet

Bezradność

wejść na pokład
podwórka

zanurzyć ręce
w niebie

uwierzyć że
śmierć to tylko horyzont
który ogranicza
nasze oczy

Ramięczka

lubię gdy twoje słowa
jak biedronki
wędrują po niebieskich
żyłkach moich dłoni

gdy zatrzymują się
w zagięciu łokcia

płoną moje ramięczka

Kazimierz Kochański i Stanisław Nyczaj

Fechtunek na aforyzmy pomiędzy Kazimierzem Kochańskim (z tomu *Kreślone kredą*) a Stanisławem Nyczajem (z tomu *Aforyzmy i fraszki*)

K.K. Bogaci wegetują drożej.

S.N. Bogatemu wiatr w oczy złotym piaskiem sypie.

K.K. Dobro niespełnione jest wprost proporcjonalne do czasu upływającego, nie do czasu straconego.

S.N. Czy z tej mąki, na jaką zmielą nas żarna czasu, uda się upiec chleb dla przyszłych pokoleń?

K.K. Droga na skróty też nie jest najkrótszą; może lepiej popytać lub zaniechać.

S.N. Że chadzało się nie tymi drogami, dają znać odciski na sumieniu.

K.K. Głupoty nie szukaj, sama cię znajdzie.

S.N. Musi mieć coś w sobie głupota, skoro ma aż tylu gorliwych, bezgranicznie oddanych wyznawców.

K.K. Jeśli zło szuka dobrych wzorów, co z dobrem?

S.N. Dobro smakuje najbardziej od swej gorszej strony.

K.K. Kłamca wie, co mówi; wie też dlaczego.

S.N. Piękne kłamstwo przegnało z królestwa mądrości już niejedną prawdę.

K.K. Kocha się spontanicznie, nienawiść wymaga argumentów.

S.N. Kto nigdy nie kochał, nie potrafi szczerze nienawidzić.

K.K. Kwiaty cieszą wszystkie zmysły.

S.N. Tylko kaczeńce uwodzą bezinteresownie.

K.K. Jest literatura kobieca: młoda lepiej się sprzedaje, do starej wracamy z sentymentem.

S.N. Literatura piękna dziś może zalecać się już tylko urodą pisarek.

K.K. Małość nie zawstydza w obecności karłów.

S.N. Małość ludzka bywa przeogromna.

K.K. Miłość jest czymś nie do opisania, ale nie wolno zaniechać prób.

S.N. Wielka miłość straszliwie uzależnia.

K.K. Mówienie do siebie samego to jednak więcej niż monolog czy dialog.

S.N. Przemawiający do siebie samych też zdzierają gardło na darmo.

K.K. Można wyjść bez wychodzenia – „na dudka”.

S.N. Jak on śmiał wyjść po angielsku, nie znając tego języka?!

K.K. Nicowanie niczego do niczego nie prowadzi.

S.N. To, czego nigdy nie było, ma się całkiem dobrze, a nawet próbuje nami rządzić.



lat czterysta pięćdziesiąt wciąż młody. Uwiercie.
W dziełach ponadczasowych. I my – równie młodzi.

Zułów

Kładka nad rwącą Merą waha się – czy runąć.
Wchodzimy w głąb historii zatem w piruetach.
Chłop popluwa wstrzymując żółwi klus chabety
i tak nas wita gniazdo genialnego Ziuka.

Szlachecki. Staroświecki. Nieobecny Zułów.
Kąt prosty to obora, stóg siana i chlewy.
Pośród nich jak wykrzyknik czarny konar dębu
w miejscu, gdzie nad kołyską biały orzeł czuwał.

Niechby prosty obelisk, gdzie było się pasie,
jakaś trwała ruina z wymownym kamieniem.
Lub od czasu do czasu zamyślony człowiek.

Na błotnistym klepisku patos nie na czasie.
Chłop – litewski czy polski – odjeżdża w milczeniu.
W niedobrym miejscu przyszło przyjść na świat Dziadkowi.

Triada

Anioł biały – bo zwykle ratunku szukamy
w zwodzącej zaufanie barwie niewinności –
staje w odrzwiach szpitalnych. Zamkniętych na oścież.
A my z gardłem ściśniętym, w którym więźnie lament,

zaplątani w receptach na życie. Pytamy
o szanse naszej wiary. Nadziei. Miłości.
Anioł z wykrochmalonej mgły szepce: najprościej
zapomnieć o tej triadzie. Więc zapominamy.

Nieskuteczne kroplówki. Transfuzje. Remedia
przecież niegdyś sprawdzalne. Nie ma nic z niczego.
Mdli słodycz suplementów – tylko łaża wciąż słona.

Na afiszach nie-boska czy boska komedia?
Bo coraz bliżej brama z sentencją Dantego,
gdy płacząc w niebo gasnę. W samotność wtulona.

Sen dnia letniego. 2014

Być czy nie? W jubileusz okrągły urodzin
twórcy Snu nocy letniej. Wszak bywałam wcześniej
w tłumie wielojęzycznym jak we śnie... Jak we śnie
więc być. Zaledwie kilka wzruszających godzin.

Nad głowami faluje z obłokami w zgodzie
czerwonoskrzydły baner. I słowa jak z pieśni:

Komercyjny – ach, nic to, wszakże magia działa –
duch barda biały niczym na falach Avonu
łabędź lub jasne elfy Ardeńskiego lasu,

śniący w geście wstrzymanym i bezruchu ciała,
którego uruchamia moneta rzucona
pod stopy... Jego dotyk... Zawrócenie czasu...

Kołysanka dla nas

Jest zwykle jakieś niebo pogodę wróżące.
Jest najzieleńsze drzewo. Jego szepc nad domem
z miłości jak jaskółcze gniazdo ulepionym.
Radosny czas dzieciństwa pod bezpiecznym
słońcem.

I jest szyderstwo losu. I modlitw daremność.
Tracisz niebo. I drzewo. I dom. I nadzieję.
Historia – ironistka przewrotna szaleje
nigdy nienasycona człowieczym nieszczęściem.

Gniew. Lęk. I nic co ludzkie... I spalone mosty.
Umieranie z rozpacz, tęsknoty i żalu.
Więc nim ludzkość się znowu w obłędzie pograży –

przez horyzonty śmierci i krwi drogą prostą
wracaj do siebie. Trafisz szukając wytrwale.
Zdążysz przypomnieć swoje niebo. Może zdążysz.

Jabłko

Należymy do siebie z przypadku.
Dwie połówki jabłka różnych odmian.
Jedna z piętnem podskórnego ognia,
druga cierpka, szlachetna i rzadka.

Rajskie drzewo naszego azylu
chroni kruchą gałązkę czułości.
Więc my sami, co zmiersch, z ostrożnością
zapraszamy w krąg ciepła motyle.

Jest też świerszcza domowego scherzo.
Czarna kotka do pisania wierszy
i jaskółcze gniazda przy framugach

symbol szczęścia. I noc bywa długa,
a w jej wnętrzu dwie połówki senne
jednym jabłkiem. I gniazdem nasiennym.

Poezja to ja

Poezja to ja
 zagubiona wśród litościwych cieni
 ludzkich dusz
 Jestem chwilą ulotną rzewną
 rozplakaną na szybie
 milczenia
 Poezja to ja
 z rozszarpaną
 sukienką pełną kwiatów
 podarowanych przez ciebie
 Poezja to ja
 z zabójczym uśmiechem nieśmiertelności
 z radością gorących dni
 Poezja to ja
 rozczochrana Madonna
 rozmięta na drobne korale
 jesieni

Marzenia

Rozwijam skrzydła
 które mi podcięto
 po jednym piórku
 wypadły lotki
 kikuty ramion
 wznoszę do góry
 i krzyczę głośno
 leć skrzydłopióry
 pokonaj szczyty
 wnieś się w przestworza

Dźwigam więc głowę
 wyciągam szyję
 i w beznadziei spinam się
 wiję
 spadły marzenia na kark garbaty
 jestem kamieniem
 od mchu kosmatym
 morze młodości
 stało się kałużą
 zwijam więc skrzydła
 loty mnie... nużą

Fraszki kieleckie**Droga do „Raju”**

Dziś wiedzą za granicą i w kraju,
 Że przez Kielce wiedzie droga do „Raju”.

Wątpliwa sława

Od Polski aż do Ameryki
 Znane są kieleckie szczyryki.

Kadzielnia

Cud natury
 Ciut kultury.

Reklama Kielc

Prezydent Bogdan Wenta
 To Kielc sportowa przynęta.

„Dobra” szkoła

W Polsce wysoko się liczy
 Szkoła złodziei znad Silnicy.

Limeryki świętokrzyskie

Ludzie pracujący w kulturze
 spotkali się na Łysej Górze,
 by obejrzeć sabat czarownic.
 Lecz nie zobaczyli nic a nic,
 bo nadeszły pioruny i burze.

*

Jeden obywatel ze Słupi
wcale nie był aż taki głupi.
Organizował dymarki
oraz przeróżne jarmarki
i porządnie turystów łupił.

*

Znany w Polsce sołtys z Wąchocka
dostał obywatelstwo Płocka
I nie był to żaden cud,
lecz sprawa prosta jak drut –
twierdzą obywatele Kocka.

*

Listonosz z miasta Kielce
niepokoił się wielce,
że jego kochana żona
wciąż robiła go w balona,
więc zadźgał ją widelcem.

*

Pewien obywatel z miejscowości Kije
znalazł sposób, jak zawracać Wisłę kijem.
Niestety uczeni w całym kraju
tajemnicy tej jeszcze nie znają,
a wynalazca od dawna już nie żyje.

*

Znany obywatel ze Staszowa,
który w piasek głowy swej nie chowa,
razu pewnego szczerze powiedział,
że polityk iks będzie wkrótce siedział.
Lecz długo tego biedak żałował.

*

Pewien poeta z Chmielnika.
ten, co rozgłosu unikał,
od lat martwił się wielce,
że nie ma rymu do „Kielce”,
aż z rozterki dostał bzik.

*

Młody nauczyciel ze Skarżyska
zaglądał dość często do kieliszka.
W szkole narobiono krzyku
i znalazł się na odwyku,
no bo sprawa była bardzo sliska.

*

Trzymaj język za zębami – mówi przysłowie.
A mnie tymczasem rodzi się taka myśl w głowie:
Jak język za zębami trzymać da się,
kiedy zębów już niestety nie ma się?
Może ktoś bardzo mądry na to mi odpowie?

*

Pewien narkoman w czasie głodu
ogłosił wieści nowe dla Narodu,
że jego nałogowe ćpanie
jest pozytywne niestychanie.
Wnet odszedł nogami do przodu.

*

Sędziwy doktor z Dobrzeszyna
udanego splotził syna.
Jedni go podziwiali,
Drudzy z niego się śmiali,
Bo inna była przyczyna.

*

Znany humanista i satyryk
nie pisał powieści ani liryk.
Ale gdy humoreskę lub fraszkę stworzył,
wtedy niejednemu poządnie dołożył.
Bo wzbudziło to złość i śmiechu ryk.

*

Stomatolog z miejscowości Dęby
zamiast leczyć, to wrywał zęby.
Ludzie protestowali w okolicy,
ale on się z tym w ogóle nie liczył
i stawiał stomatologii zręby.

Jan Lechicki

Gry do-słowne, czyli nawet jeśli

Nie pytaj, czy nasz czas przyszedł. Może on troszeczkę dalej od już. Popatrz, sikorka prosto z nieba zesła, rdza olszyny i znój wody. Widoczek jak z wiersza. Nurt płynie raczej przed siebie, nie zważa na życie. W oku wody i sikorki, w niewidzeniu powietrza przejrzało się. Pewnie wzajemność spłynęła za kres. Rozsiały się dni spopielenia.

Nawet jeśli mnie nie ma, to jestem, uniesie mnie religia powietrza. W swoim kodzie powtórzy woda. A ty dotykem po skórze, na odległość ręki chcesz mieć. Przedkładasz wiązania chemiczne, helisy prawoskrętne ścigające się z Bogiem. Tymczasem u mnie bez apoteozy. A przecież prawa noga wyrosła z ewolucji. Lewa na obraz i podobieństwo. Długą drogę zostawiły za sobą. Zatem droga, ona na rozstajach i tam też się nie kończy, i zaostatnim trawersem nie. Czemu dawałam wiarę oczom? Jak to jest, że utopić potrafią w beczasie czas. Wciąż nie wiem, czy one bliskie, czy od bliskości dalekie.

Nawet jeśli mnie nie ma, nawet jeśli...

Nagrody im. J. Słowackiego przyznawane przez Związek Literatów Polskich za wybitną i długoletnią twórczość poetycką w 2018 roku przypadły dwóm osobom: **Elżbiecie Musiał** i **Waldemarowi Michalskiemu** (nagrody równorzędne). Ogłoszenie werdyktu jury i wręczenie statuetek nastąpiło 12 października 2018 roku na scenie Domu Literatury w Warszawie podczas inauguracji 47. Warszawskiej Jesieni Poezji.

Elżbieta Musiał uhonorowana została **Nagrodą im. J. Słowackiego** za całokształt twórczości poetyckiej, szczególnie za odnowienie formy poematu, za eseistykę i krytykę. Warto podkreślić, że jest pierwszą kobietą w historii tej nagrody. O tyle jest to znamienne, że od lat w swoich poematach przywraca pamięć o wielkich artystkach, które – pozostając w związkach z pomnikowymi artystami – zawsze stały w cieniu ich sławy.

Waldemar Michalski z Lublina otrzymał **Nagrodę im. J. Słowackiego** za całokształt twórczości poetyckiej, krytycznej i przekładowej.

Elżbiecie Musiał i Waldemarowi Michalskiemu gratulujemy tego największego literackiego lauru.

Red.



Noc

nie patrz tam nie patrz miły
tam się świat odmienia
choć to nadal nasza stara ziemia
nad którą noc nadciąga
– kochany, żadna z naszych nocy –
więc nie patrz
by się nam od ciemności nie zajęły oczy

ten mrok jeszcze głębiej wytrawia
niż ogień – nie nas
inną nocą wypalanych w sobie –
ale tych którzy w niego uwierzą
– tym wchodzi pod powieki
i w dotąd żywych zasiewa śmiertelność jak
sporysz
– byle mi obcą ciemnością ciebie nie zamroczył
nie patrz tam miły. patrzmy sobie w oczy

* * *

a gdy oswoisz chybotliwe serce
będziesz mieć z wielu rzeczy
– najcenniejszą
czułość
okupioną drogą

a gdy pokochasz chybotliwe serce
będziesz mieć z wielu rzeczy
– najdziwniejszą
miłość tak szorstką
że wszystko łagodzi

i zawsze – zawsze
będziesz nosić z sobą
przez ciemne doliny i jaskrawe wzgórza
na żal na radość –

nabrzmiały balon
wymieszanych łez

Węzły

było jasno i wcześniej
patrzyłeś już na mnie
gdy otworzyłam oczy

gorliwi jak neofici
brnęliśmy
jawnie
w biały dzień
po kostki po kolana

pokotem
przez zmięte światło w pościeli
ku nieodwracalnemu

zacieśnialiśmy węzły
nie do rozplątania

Testament

oczom twoim zapisuję elektryczną ciemność
– wysyłaj spojrzenia
na zwiady na zwiady

stopom twoim przeznaczam kłazurowy klasztor
– święte cztery ściany naszego pokoju –
reguła każe codziennie składać się w ofierze

zapisuję
dłoniom twoim – wielką mapę skóry
plecy jak rozległe równiny strome ściany
szyi
powiekom twoim – bardzo miękki sen

*

codziennie piszę ci
siebie

potem się w tobie spalę
potem mnie składasz przy sobie
czekamy zmartwychwstania

W drogę

Wychodzę. Zorza – w rozterce paw –
Stoi już przy mnie,
A za górami wiotki strach
Ssie swoją łapę.

To pewnie ty: zachwyty i wstyd,
Odchodzisz, wracasz...
...malwa i wilk,
Noc, lwa ktoś śni...
To banał płacze.

Agnieszka, Olga, może Anna,
Jak piasek w zębach,
Imiona skrzą się, przesypują,
A za mną gnie się Boża wina –
Karzeł w zwierciadłach.

Przecieram oczy. Jesień drzy –
Z papieru serce.
To tylko nikt, więc chyba ty –
Sen na widelcu.

* * *

Wotywa róż, zamknięte dróg szczeliny,
W regałach czasu broda siwa;
To wszystko nasze. Niemy stróż
Za horyzontem ręką kiwa.

Zdradzone mury czyichś spraw
I nieustannych dni udręka...
Człowieczy los – to Boga strach,
Że już niczego się nie lęka...

Na wsi

Na wsi marzenia mają dłuższe skrzydła,
Drewniana stodoła jest bajką o wróblach,
Co tajemnice kryją pod strzechami,
Młode kobiety nie duszą ciał w blokach,
Za księcia biorą każdego z przyjezdnych.

Na wsi olszyny na koncerty proszą
Czajek, bekasów i żab w ciepły wieczór,

Konie rzą jakby już wesele czuły,
A nocą gwiazdy aż na próg zachodzą.

Tu wszystko swoje: samotność i radość,
Miedza chwastami obejmuje czule,
Łąki książkami są dla bocianów,
Rzeka mistycznie w tatarakach brodzi.

Tak było niegdyś, a dzisiaj? Produkcja,
Traktor, nawozy i sprzedaż bezduszna,
Internet wyparł szum drzew i woń róży,
Wieści ze świata kamieniami wałą
W drewno spękanych drzwi.

Siedząc obok siebie
Już nie do siebie mówimy,
Już czułość
Jak ta Goplana odfrunęła w klechdy,
za stołem teraz Kostrzyn z Balladyną
radzą jakby tu zaszlachtować Grabca,
a potem noże wyciągnąć ku sobie.

Bo stodoła nie ma i drewnianych chałup,
Żuraw nie patrzy pod sukienkę studni,
Zamiast bżów tuje, wierzby z wiatrem poszły,
Naftowe lampy zagasły na dobre.
I tylko te same co zawsze,
Pod deszczu, w błocie,
a po słońcu, w kurzu...
Plecie polityk, aktor kogoś trzaśnie,
W chałupie za nas gada telewizor.
I to Polska właśnie...

Urywki

W demokratycznej Polsce dorobiliśmy się
przekrętów, bezprawnych sędziów,
bezkarnej policji...

Żonie

Jestem dodatkiem do Twojej urody
i... cierpliwości.

Na Lema powieści

Na bajki – za nudne,
Na prawdę – za nieprawdziwe.

Dlaczego uderzyła

Uświadomiła to sobie zaraz potem, jak uniosła parasolkę i trzepnęła nią niezbyt mocno po plecach przejeżdżającego chodnikiem na motorynce chłopca. Ten obejrzał się zdziwiony i zobaczył jej postarzałą, wykrzywioną w złości twarz. Bluznęła: „Po chodniku? Po chodniku?! Smarkaczu!”. Goniła odjeżdżającego niepotrzebnymi słowami, aż osłabła, wyładowała się jak stara bateria. Stara... Więc jest już... Przecież starym wszystko przeszkadza, nie młodym. Młodzi są irytujący. Chodzą zaczadziali, jak we śnie, nic nie widzą, nie słyszą, co dzieje się wokół. A ona wszystko dostrzega i czuje, boli ją całe ciało, gdy krzyczą dzieci, szczekają pokraczne kundły i mkną po alejkach przeznaczonych do chodzenia chłopcy na motorynkach.

Zapra gnęła zbadać i wyświe tlić, dlaczego dzieliła po plecach chłopca przejeżdżającego obok niej.

Nie była zdenerwowana. W pracy poszło jak zawsze – nijako. Nikt jej wszelako nie dokuczył. Studenci wymijali ją obojętnie. O czym myślą, gdy kłaniają się jej – „magisterce” od niepotrzeb nego, gorszego (wiedziała, że tak powszechnie uważali) przedmiotu, z którego zajęcia odbywają się najczęściej wieczorami, gdy już nie można skupić się na innych, tych ważniejszych. I na zajęciach siedzą jakby nieobecni. Ożywiają się tylko na moment, gdy z rąk do rąk przechodzi jak monstrancja rzecz najważniejsza – biała kartka z listą obecności.

Patrzyła w niechę tne, zimne oczy studentek, taksujących jej chudą postać i ubió r, do którego nie przywią zywała wagi. Wkładała co popadło, jak w okresie swoich studenckich lat, w czym, jak sądziła, jest jej twarzowo i dobrze, nie bacząc na modę, gdyż uważała, że hołdują jej tylko puste kobiety.

Szczególnie nie lubiła dwu przyjaciółek siedzących zawsze w ostatniej ławce i zajętych rozmową oraz przeglądaniem żurnali. Kilka razy zwróciła im uwagę, lecz popatrzyły na nią wrogo, schowały żurnale i obrażyły się. Były bezczelne, a Grażyna uważała, że bezczelni mogą być tylko ludzie głupi.

Dwie dziewczyny coraz bardziej zaczęły ją irytować. Wchodząc do sali, od razu patrzyła mimo woli w ich stronę. Nie opuściły ani jednych zajęć. Ich

złośliwa obecność rozdrażniała Grażynę. Czemu ją dręczą? Zaniechały oglądania czasopism, lecz siedziały wyprostowane i patrzyły na nią kpiąco.

Kiedyś poczuła przemożną chęć, by podejść i wytraskać je po wymalowanych maskach. Nie uderzyć, ale wytraskać po kilkakroć, jak czasem widziała na filmach-melodramatach.

Pewnego razu zbliżyła się do ich ławki. Dziewczęta przestały rozmawiać, nastroszyły się jak ptaki i patrzyły jej prosto w oczy. Zatrzymała się, jak gdyby nie mogąc przekroczyć kręgu wyznaczonego przez wzrok czarownic. W uszach narastał szum, przed oczami pociemniało. W gardle krzyk zamienił się w westchnienie, czy też zduszone łkanie.

– Czy pani źle się czuje? – zapytała któraś.

Wróciła za katedrę. Nie mogła dalej prowadzić zajęć.

Co myślą ci młodzi ludzie? Westchnęła. Patrzą na nią pustymi oczami, ot, idzie to idzie, co im do niej? Nieszkodliwa stara baba. W indeksach pisze od lat to samo – biedne, upokarzające „za”. Obok rozparte jak pająki na niewidocznej siatce tkwią stopnie – czwórki, piątki, tróje i zamasyście, bo może w gniewie lub zdenerwowaniu stawiane dwóje.

Nieszkodliwa... A jak mogła zaszkodzić? Dawniej wojowała. Pamięta, nie chciała dać kilku zaliczeń. Uparła się, pomimo porozumiewawczych, ironicznych uśmieszków koleżanek i kolegów. A dziekan spojrzął znad okularów, jak gdyby zobaczył jej drżącą postać pierwszy raz, wykrzywił twarz w pogardliwym grymasie i usłyszała tylko dwa słowa: „Pani Grażyno...”. Powiedział to tak, że ona natychmiast, bez jednego słowa się poddała i wszyscy, uspokojeni, powrócili do przerwanych rozmów.

A może to zdenerwowanie, na skutek którego raz i ta ciosem w plecy małego chłopca, tkwiło w niej utajone, nie w pełni uświadamiane, a przecież drążące jej psychikę jak kropla wody żłobinkę w kamieniu? Więc to nerwica, depresja. A jeśli już za późno? Co się z nią stanie?

Tak, przecież mali chłopcy nie mogą jeździć na tych swoich warczących potworach po ulicy, gdzie grozi im niebezpieczeństwo. To jasne i oczywiste. Prędzej ona uniknie kraksy, niż ci młodzi zapaleńcy mknący może wprost pod koła... Straszne. A więc niech jeżdżą. Trzeba zrozumieć.

Więc dlaczego, dlaczego uderzyła? Poczuli wstyd i silną niechęć do siebie, odczuwaną zresztą już od dawna. Bo jakże akceptować taką

nieudacznicę? Pechową, nieumiejącą ułożyć sobie nawet życia. Dawniej lubiła siebie. Była ładna, filigranowa i krucha. Podobała się mężczyznom i niejeden ożeniłby się z nią, gdyby tylko zechciał. Więc czemu nie zawładnęła czymś sercem tak mocno, by mogło bić tylko obok jej serca? Może i lepiej, po co jej kłopoty i smartwienia?

Właściwie nigdy nie miała czasu na głupstwa. Jej życie – jak dobrze umeblowane mieszkanie. Funkcjonalne, ogólnie ładne, standard i przeciętny komfort... Praca, zakupy, przeciętna pensja, przeciętni znajomi, przeciętne, grzeczne ubrania... Dlaczego nie włożyć jednej z takich odważnych, niezwykłych sukienek, w których chodzą artystki – malarki lub piosenkarki? Ona też jest zgrabna. Z biegiem lat nie utyla jak prawie wszystkie jej zamężne koleżanki. Wręcz przeciwnie, była jeszcze bardziej krucha i delikatna niż za młodu.

Niechęć znikła, a jej miejsce zajęło dziwne uczucie satysfakcji, lecz o jakimś nierealnym, nieokreślonym podłożu.

Zbłądziła. Cóż, każdemu może się zdarzyć. Jeszcze nie tragedia. Postanowiła zamknąć niewyjaśnioną sprawę ataku na chłopca i więcej do niej nie wracać.

Zmęczona. Pracą, rozmowami, zakupami, życiem. Coraz bardziej zmęczona. Pojechać gdzieś. Tylko gdzie? Miała jedną siostrę, inni krewni nie wchodzili w grę – od dawna nie utrzymywała z nimi kontaktów. Siostra też stała się jakaś obca. Mieszkali w małym miasteczku nad Wisłą, jej mąż pił i uganiał się za kobietami. A ona cierpiała. Kiedyś, niedługo po ślubie siostry, gdy były sobie jeszcze bliskie jak ptaki z jednego gniazda, gdy czas ich nie rozdzielał, gdy Tamara nie zmieniała się jeszcze i nie upodobniła do męża – Grażyna czuła się w porządku występując jako sędzia i cisząc gromy na szwagra, który już wtedy zaczął jawnie popijać, nie licząc się zupełnie z opinią żony, a tym bardziej jej rodziny. „Wypożyczyła go sobie” – jak to lubiła określać – na poważną rozmowę. Tylko że szwagier z początku grzecznie, a kiedy nie poskutkowało – wprost oświadczył, że oni oboje – on i Tamara, nie życzą sobie jej rad i osądów. Niech się lepiej zajmie swoim życiem, a gdy nie wycofała się, lecz mówiła jednocześnie z nim, nie chcąc się, mimo oczywistej przegranej, poddać, trzasnął na odlew:

– Znajdź sobie chłopca, a od nas się odczep!

Bydlak, niegodzien nawet spojrzenia. Chciała więc poszukać zaprzeczenia tych strasznych słów

w oczach Tamary. Ale siostra nie patrzyła wcale na nią, lecz na męża. Grażyna zrozumiała wówczas, że ci dwoje, złączeni jakąś niepojętą, wbrew logice, więzią, stanowczo powiedzieli jej: nie.

A przecież czasem była potrzebna siostrze. Gdy mąż dopiekl jej do żywego, musiała się wypłakać. Dawniej Grażyna nie umiała odmówić siostrzanej pomocy. Teraz nie w smak jej było słuchać ciągle tych samych opowieści, udawać współczucie, gdy naprawdę myślała: „Dobrze ci, chciałaś, to masz”. Wstydziała się tych myśli, ale już przywykła, że z samą sobą jest bezwzględnie szczerą. A jednak ogarnęło ją przerażenie, gdy poczuła, jak drży z dziwnego podniecenia na myśl o przeżyciach siostry. Widzi jej łzy, podkrążone cierpieniem oczy. Głupia, słaba samiczka. Tyle razy doradzała Tamarze, ona kiwała tylko głową, jakby się zgadzała, ale potem Grażyna dostawała entuzjastyczny, tętniący prymitywnym uczuciem list, że jest dobrze, obiecał być lepszy i kocha tylko ją...

Poszarpała papier na kawałki, pomięta, zdeptała. Potem ciszę mieszkania przerwał rozzwierający, gardłowy szloch.

Poznać kogoś. Nie, to już niemożliwe. Tyle lat nic... Mieć dziecko? To też stracone. Dawno również porzuciła myśl o adopcji, która przez jakiś czas nadawała sens jej życiu, zamkniętemu w ścianach domu bądź uczelni. Nie starczyło odwagi, czy może chęci, by rzecz doprowadzić do końca. Była nawet w domu dziecka i choć kręcono nosem, że samotna, to przecież nie odmówiono. Wybrała ładną puciołowatą blondyneczkę o kręconych włoskach i szarych oczach. Dziecko było żywe i rezolutne. Kilka razy wzięła ją na spacer. Mała zasypywała pytaniami, ciągle chciała lody i cukierki, i zmoczyła majteczki. Tego Grażyna nie przewidziała; dziecko miało sześć lat i, o ile się orientowała, nie powinno już w tym wieku... Wieczorem poczuła się bardzo zmęczona i kiedy odważnie zapytała siebie, czy chce jutro znów zobaczyć małą – musiała przyznać się do kolejnej porażki.

Zaparzyła kawę i odpakowała ciasto, jakie od lat kupowała w tym samym miejscu – małej prywatnej cukierni, której właścicielka znała dobrze jej rodziców. Kochani nieobecni.

Po co właściwie żyje? Jaką korzyść przynosi jej istnienie? Nikt nie jest jej potrzebny. Jedyną silną więzią była złączona z rodzicami, lecz kiedy umarli prędko jedno po drugim, jakby do siebie

zateśknili, została sama, słaba, bez żadnej osłony – jak drzewo odarte z kory, wystawione na deszcz, śnieg i mróz, bezbronne, szybko niszczące.

Czy wtedy zaczęła tracić znajomych, czy może wcześniej? W jaki sposób koledzy stają się przyjaciółmi? Jej dom rodzinny miał przyjaciół, stałych bywalców, serdecznych i ciepłych. Ale życie zmienia się – coraz prędeziej i prędeziej mkną sanie z nią samotną i smutną, skuloną przed wiatrem i chłodem.

Nie tęskniła do ludzi. Powoli zastąpił ich telewizor. Nie musiała z nim dyskutować i denerwować się, gdy napotykała odmienne od swoich poglądy. Jej życie ograniczyło się do kilku podstawowych form: praca – jedzenie – telewizja – sen. No i książki oraz czasopisma. Kupowała ich dużo, a potem wyrzucała niepotrzebne gazety, z których wycinała przepisy kulinarne. Nigdy nic nie upiekła. Kupowała kawałek gotowego placka, który spożywała zawsze o tej samej porze, siedząc wygodnie przy kawie i oglądając telewizję.

Któregoś popołudnia zadźwięczał delikatnie gong przy wejściowych drzwiach. Zaciekawiona otworzyła od razu, nie patrząc, jak zwykle, przez małe szklane oko.

I oto sen śniony po wielokroć spełnia się.
– Proszę wejść...

Przychodził odtąd codziennie, potem zamieszkał i był z nią. Biegła do domu na skrzydłach, ożyły przepisy na ciasta. Przeszła przez zakalce, przypalone mięsa, przesolone zupy, przeszła prędko, bo nie miała tyle czasu, co młode.

Zawsze było w domu dobre jedzenie. Oglądali razem telewizję. Mało rozmawiali; najczęściej mówiła ona, a nocą wsłuchiwała się w jego równy oddech tuż obok. Właściwie nic się w jej życiu nie zmieniło. Mogła mówić o wyjątkowym szczęściu. Nie pił, nie ganiał za kobietami, zawsze miała go na oku, a jak szła na zajęcia – nikał z pola widzenia i zapominała o nim. Nie był wymagający co do jedzenia czy ubrania. We wszystkim poddawał się jej. I słuchał. Po raz pierwszy ktoś słuchał jej tak bez reszty. Zrazu nieśmiało, potem coraz odważniej opowiadała mu o wszystkim, nawet o takich rzeczach, których odstaniać nie powinna. Rozumiał wszystko, prawdziwy przyjaciel. Cieszyła się na myśl, co też nazajutrz będzie mu opowiadać. Urywała opowieści w najciekawszych momentach, jak w baśniach, by cieszyć się perspektywą ich kontynuowania.

Prowadząc zajęcia wciąż myślała, w jakie słowa ubierze swą kolejną opowieść, obmyślała nawet precyzyjnie określenia, dobierała barwne porównania. Już bez smutku i żalu, a odwrotnie – z radością wpisywała do indeksów „zal”. Studenci patrzyli zdziwieni (widziała to) na jej uśmiechniętą, odprężoną twarz. Nie mogła doczekać się końca zajęć, nawet nieraz skracała je pod jakimś pretekstem, biegła szczęśliwa i dopadała zdyszana drzwi. Nigdy nie dzwoniła, nie chcąc go budzić, gdyby spał. Otwierała zawsze sama i zaraz od progu zaczynała się krzątać, opowiadając o wszystkim, co się wydarzyło.

Pewnego dnia zaskoczyło ją, że spotkawszy jadącego na motorynce po chodniku chłopca, dzieliła go parasolką.

Wiedziała, że i o tym musi opowiedzieć, choć sprawa była żenująca. Ale jej myśli i czyny nie należały już tylko do niej. Nic nigdy nie zatajała, słowa jak rzeka płynęły raz leniwie, to znów rwąco niczym górskie potoki, niosące w swym nurcie kamienie, które obijały aż do bólu koryto strumienia, dno czaszki...

Nie myśleć, nie mówić nic.

Za późno. Całe życie milczała, gdy była sama. Może gdyby towarzyszył jej pies czy kot – wierni słuchacze – nie nagromadziłoby się w niej tyle pulsujących słów.

Więc będzie mówić. Weszła do pokoju z kawą i ciastem. Takich rzeczy nie opowiada się w biegu, wśród zmywania talerzy czy podmiatania podłogi. I zaczęła. Krótka, bez ozdobników, bez przygotowania. Skoczyła jak do studni. Raz jeszcze ujrzała nieznanego chłopca na motorynce, raz jeszcze dosięgła go parasolką. Poczuła, że rośnie, olbrzymieje. Chłopiec stracił równowagę. Gdy motorynka dogorywała na chodniku, usłyszała swój cienki chichot i zatupała nogami. Koniec przygody.

I wówczas ON wstał. Nic nie powiedział, lecz zabolowało ją, że popatrzył gniewnie. Zamachał rękami, jakby bronił się przed uderzeniem.

– Powiedz coś, powiedz – łkała tłukąc dłońmi w blat stolika. – Nie możesz ciągle milczeć!

Jednak nie odezwał się. Patrzyła przez kryształki łez. Nie jedna, ale tysiące maleńkich postaci oddalało się ku wyjściowym drzwiom.

Dopadła, załomotła pięściami. Ciszę popołudniowej kamienicy rozdarł przenikliwy krzyk.

Irena Nyczaj

Taniec z Pamięcią wokół *Kordiana*

(fragment wspomnieniowej opowieści)

Pamiętamy: bohater dramatu Słowackiego, początkowo melancholijny młodzieniec, przemienia się w buntownika spiskującego na rzecz obalenia (zabójstwa) cara Mikołaja I w imię narodowo-wyzwolicielskiej idei. Silniejsze jednak od odwagi spełnienia zamiaru przez Kordiana okazują się targające jego sumieniem wątpliwości. Prowadzą one aż do szaleństwa, obłądzenia. Spotykamy go w szpitalu dla obłąkanych, czemu poświęcona jest scena szósta trzeciego aktu dramatu.

Grotowski wykorzystał tę scenę jako główne i jedyne miejsce akcji. Wchodziliśmy do sali szpitalnej z rozstawionymi w kilku miejscach łózkami, siadając na nich i stając się wraz z głównym bohaterem pacjentami. To było niesamowite, szokujące nawet dla tych, którzy pamiętali, że utwór ma w swym układzie epizod psychiatryczny. Podekscytowani sytuacją, z niepokojem czekaliśmy na bieg zdarzeń. Nie tylko na to, co będzie się dziać, ale jeszcze bardziej na to, co może spotkać nas widzów-świadków. Jako stali bywalcy wiedzieliśmy, że tu widz nie może się czuć wyłącznie obserwatorem. Jest wystawiony na nerwową próbę współudziału. Przeżycie więc było dojmujące.

Kordian (Zbigniew Cynkutis), romantyczny indywidualista-nadwrażliwiec „chory na Polskę”, znajdował się pod stałą opieką lekarzy i personelu w białych kitlach. Wspinął się na piętrowe łóżka i... – zdawało mi się – gotów nieomal w pozycji „na głowie” wygłaszać monolog ze szczytu Mont Blanc, z tej „igły świata”, po czym w jego końcowej fazie, po pamiętnych jeszcze z lektury słowach: „Nieście mię, chmury! Nieście, wiatry! Nieście, ptacy! [...] Wracam do kraju, Polacy!!!”, gotów, wyginając się nadludzkiem skretem ciała, stanąć z ulgą na nogi, i ta ulga wyzwolenia od wysiłku fizycznego jakże bardzo – przeczuwałem – udzieliłaby się wszystkim. Chciałem to nawet po pierwszym obejrzeniu zasugerować Mistrzowi, bo było w jego założeniach zagrane inaczej, z zapobiegliwym wykorzystaniem oprzyrządowania medycznego dla upuszczenia krwi. Ale jeszcze nie miałem na tyle śmiałości, by nie zostać posądzonym o koncepcyjną nadgorliwość. Pożałowałem potem mojej wstrzemięźliwości, gdy dorosłem do uaktywnienia się na głosnych w kręgu miłośników i zawziętych oponentów teatru konwersatoriach z udziałem Grotowskiego.



Rady Salomona

Melchizedek i Jeremiasz stali przed królem Salomonem. Schylili głowy, żeby nie uchybić wielkiemu władcy i jego majestatowi patrząc mu w oczy.

– Z czym przybywacie? – zapytał Salomon.

– Wielki i potężny królu, którego mądrość i światłość błyszczą w całym świecie. My niegodni słudzy stojący przed twoim obliczem...

Melchizedek szykował się na dłuższą przemowę, ale Salomon mu przerwał.

– Nie mam czasu na wystuchiwanie pochwał. Czego ode mnie chcecie?

Melchizedek stropił się i wyjąkał: – Ja... my – spojrział ukradkiem na Jeremiasza, który skulił się i, jako że był młodszy, nie śmiał zabierać głosu – ośmielamy się niepokoić cię, bo chcemy uzyskać radę, co zrobić, aby być szczęśliwym.

Salomon zamyślił się, a po chwili rzekł:

– Ty Melchizedeku uważaj na barani skok, a ty Jeremiaszu zwracaj uwagę na miłość.

Melchizedek i Jeremiasz oczekiwali na dłuższą mowę króla. Stali dalej pochyleni, dopóki dworski pacholek nie szepnął im do ucha, że audyencja skończona. Skłonili się niżej i pokornie wycofali z sali przyjęć.

Dopiero na dziedzińcu odzyskali mowę.

– I to ma być ta wielka mądrość Salomona – zakpił Melchizedek dosiadając konia.

– Nie tego się spodziewałem – dorzucił Jeremiasz sprawdzając popręgi – tak długo staraliśmy się o audyencję i nic z tego nie wynikło.

Przyjaciele ruszyli w stronę Motrowy, gdzie mieszkał Melchizedek ze swoją żoną. Droga była długa i wiodła przez wysokie góry. Utrudzeni zatrzymali się przed przełęczą zwaną Baranim Skokiem. Przejście pomiędzy skałami było tak wąskie, że tylko jeden jeździec mógł się przez nie precyzyjnie. Przed nimi stała karawana osłów i poganiaczy, którzy przewozili towar do pobliskiego Dalboku. Połowa osłów znajdowała się po drugiej stronie przełęcz, gdy jedno zwierzę zaparło się nogami i nie chciało wejść między skały. Poganiacz ciągnął je, prosił, kusił słodką marchewką, ale nic nie pomogło. W końcu złapał kija i zaczął niemiłosiernie okładać nim osła.

– Co za podły człowiek – westchnął Jeremiasz. – Zwierzę niesie na plecach ciężki towar, służy najlepiej, jak umie, a ten niegodziwiec bije go.

– Hej, poganiaczu! – zawołał Melchizedek. – Dlaczego karcisz swojego osła? Nie lepiej łagodnością zmusić go do przejścia, a nie karać za nieposłuszeństwo?

– Panie – odezwał się rozczochrany chłop – ty na pewno znasz się na wojaczce i dobrze wykonujesz swoje zadanie, a ja jestem poganiaczem osłów i wiem, jak należy z nimi postępować. Krnąbrność tylko kijem można wybić z głowy głupiemu zwierzęciu. Słów ono nie rozumie. Nie warto tracić czasu.

Rzeczywiście, po chwili osioł podniósł głowę i powoli ruszył w stronę przełęczy.

Melchizedek pokręcił głową. – Kto by pomyślał, że w tak prosty sposób można przełamać fanaberie i upór. – W tym momencie przypomniał sobie słowa Salomona i nagle poweselał. – Nie wiedziałem, że rada króla może mi się na coś przydać. Stoiśmy przecież przed przełęczą Barani Skok i to, co zobaczyłem przed chwilą, jak ułał pasuje do mojej żony. Jest to kobieta pyskata i nieżyczliwa. Zawsze chce postawić na swoim. Nigdy jej nie zbiłem, ale widocznie trzeba sobie z nią radzić tak jak z osłem, aby postępowanie swoje zmieniała i stała się wreszcie posłuszną kobietą, jaką każdy mężczyzna chce mieć w swoim domu.

Ruszyli w dalszą drogę i wieczorem utrudzeni zajechali przed dom Melchizedeka.

Żona czekała na niego, ale nie spodziewała się, że przywiezie ze sobą gościa, więc tylko uwarzyła kaszę. Co prawda, była dobrze omaszczona grubymi skwarkami, ale Melchizedek chciał się pochwalić dobrobytem, więc rzekł do żony:

– Ugotuj rosołu.

– Co? – krzyknęła kobieta jak oparzona – rosołu ci się zachciewa! Teraz po nocy mam gotować? Jedz, co ci podałam i nie marudź.

– To chociaż placków nasmaż. Przynies z komory mięsa. Nie będę gościa karmił byle czym.

– Byle czym, byle czym – zaczęła go przedrzeźniać – a co to, gość delikatne podniebienie ma? Kasza go skaleczy? Jest miękka, długo się gotowała – zaśmiała się ironicznie.

– Mówię ci, kobieto, co masz zrobić. Jestem twoim mężem i twoją powinnością jest wykonywanie moich poleceń – Melchizedek zaczął się denerwować. Wstyd mu było przed przyjacielem, że taką krnąbrną żonę ma i nie umie sobie z nią poradzić. – Jesteśmy zmęczeni. Długą drogę przeszliśmy i należy się nam godziwy posiłek.

– A ja co? – odcięła się. – Może przez cały dzień leżałam i wypoczywałam? Kto świniom dawał jeść?

Kto w polu robił? A krowy? A konie? Może ty mi w czymś pomagałeś? Włóczysz się całymi dniami. Nie ma cię w domu, wszystko na mojej głowie i jeszcze teraz po nocy mam brać się za gotowanie, bo tobie rosołu się zachciało.

– Rób, babo, to co ci każę, bo inaczej porachuję ci kości.

Melchizedek nie żartował. Wstał od stołu i schwytał kij, który leżał przy piecu. – Mówię ci jeszcze raz. Weź się do roboty, bo... – zawiesił głos.

– I co mi zrobisz? Myślisz, że się boję. Niejedną taką groźbę słyszałam, a i tak na moim stanęto.

Melchizedek zamachnął się i kij spadł na plecy żony.

– Nie boisz się niczego? – sapał ze złością. – Zobaczmy, jak będziesz mówić, gdy poprzetrącam ci kości.

Zamaszyście okładała żonę, aż upadła na podłogę.

– Nie bij mnie, nie bij – prosiła podnosząc się z klęczek, ale Melchizedek kopnął ją w zadek i znów upadła.

Bił ją dotąd, aż przestała się bronić, tylko płacząc jęczała cicho.

– Tak powinienem z tobą postępować od początku. Wtedy wiedziałabyś, kto jest twoim panem i władcą.

Melchizedek dumny z siebie, że tak łatwo poradził sobie z nieposłuszną żoną, wyszedł do stajni, aby oporządzić konie. Był bardzo zmęczony i senny. Siano w stodole słodko pachniało. Postanowił położyć się na chwilę, aby rozprostować kości, ale natychmiast zasnął.

Żona Melchizedeka z trudem podniosła się z podłogi. Mąż nieźle ją poturbował. Obtarła tzy fartuchem i nie zwracając uwagi na gościa, pocztapała do alkowy, zapominając, że małżeńskie łóżko wymościła dla gościa, a sama wraz z mężem miała spać w stodole. Pojękiwała cicho, ale szybko sen ją zmorzył.

Jeszcze mocno nie zasnęła, gdy poczuła, jak mąż cicho skrada się do łóżka i delikatnie kładzie się obok niej. Była zła na niego, ale szybko zaczęła kombinować, co powinna zrobić, aby więcej jej nie bił. Poglądziła go po plecach. Mąż ani drgnął. Przesunęła rękę niżej i podrapała pieszczotliwie po pośladkach, ale to też nie pomogło. Nadal był na nią obrażony i nie reagował na zaloty. Dopiero gdy jej ręka zawędrowała do przodu i pod palcami jego męskość zaczęła się wyprężyć, nagle odwrócił się i zaczął ją ognić całowac. Rozsunęła nogi i nagle poczuła taką rozkosz, jakiej nigdy nie doświadczyła. Jej brzuch poruszył się i błogość

rozlała po całym ciele. Chciała, aby trwało to dłużej, ale nie śmiała prosić męża utrudzonego podróżą, aby jeszcze raz dał jej rozkosz. On jednak domyślił się, czego pragnie, i kilka razy tej nocy zaspokajał jej żądze. Pierwszy kogut zapał, gdy utrudzeni miłością zasnęli.

Świt rozjaśnił alkowę i kobieta budząc się, spojrziała na swojego męża. Z przerażeniem stwierdziła, że jego przy niej nie ma, a ten, który tak namiętnie ją zadowalał, to Jeremiasz. Szybko wstała, ubrała się i zeszła na dół. Rozpaliła w piecu i poszła do komory po kurę, którą wczoraj rzezak oporządził według żydowskiego rytuału. Mąż odsypiał w stodole wczorajszą podróż i długo nie pojawiał się w domu. Wczoraj nie ugotowała mu rosółu, ale dziś wszystko była w stanie zrobić, aby tylko nie domyślił się, co zaszło tej nocy.

Melchizedek wszedł do chałupy, mocno przeciągając się. Usiadł za stołem i ziewnął. Pociągnął nosem i poczuł zapach rosółu. „Świętej rady udzielił mi Salomon. To na przełęczu zwanej Barani Skok miałem otrzymać wyjaśnienie, jak postępować z upartą babą. Wystarczy ją obić, a będzie posłuszna jak ten osioł poganiacza. Że też wcześniej taki pomysł nie przyszedł mi do głowy”.

Jeremiasz wstał nieco później, gdy miski z rosółem stały na stole. Nie śmiał spojrzeć na gospodynię. Melchizedek za to chwalił się.

– I co? Rada Salomona nie była dobra? Nie wiedziałem, o co chodzi wielkiemu królowi, ale szybko przekonałem się, ile jego mądrość znaczy. Spójrz na moją żonę, jak szybko się uwija przy kuchni. Gdybym jej wczoraj nie obić, marudziłaby przez cały czas, narzekała. Teraz jest cichutka jak myszka i dogadza mi we wszystkim. Tak trzeba z kobietami postępować. One niewiele więcej rozumu mają niż osły.

Jeremiasz najadł się do syta, podziękował za gościnę i obiecał, że niedługo ponownie ich odwiedzi.

Żona Melchizedeka radowała się, że jej mąż ma tak dużo przyjaciół. Za każdym razem, gdy ktoś zatrzymał się w ich domu choćby na jedną noc, rano gotowała rosół.

Irena Paździerz

Opowiadanie z tomu *Okna* [wyróżnionego w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego], Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2018

Pora już nam

Urodziliśmy się przed Internetem.
Komputery były jak wielkie dinozaury
z małym mózdzkiem.

Teraz naciskam „enter” przenosząc myśl
do nowego wiersza.

wejście wchodź wejdz?

Strzałka przemienia się w swojską rączkę gdy
otwiera dale.

Jak spiskowcy naiwni szyfrujemy maskując dostęp
do tajemnic

w zero-jeden zaklętych.

Czujną kamerą łypią na nas drony, łysiejące czaszki
szpiegują satelity.

Nasze wnuki rozplaszczają wyobraźnię na ekranach.

Teraz każą nam potwierdzać żeśmy nie roboty
rozwiązując prostą układankę.

Cóż, pora nam już...

zmartwychwstać!

Osobna

idą do przodu jednacy tacy

prą

do

konania

innych

przekonani

żołnierzom więźniom i prostytutkom goli się głowy
żeby nie widzieć w nich osoby

odciąć...

a oni sami siebie...

wspólni bezmyślnie

w stadzie gromadzie tabunie sforze

bo pojedynczo jakby nic warci

wataha

pięciopalczaści:

jak lufy w niebo strzelają palce

ciemne krawaty

zawisną

inni

wiem jak przyjemnie poczuć się w tłumie
boję się tego bo wtedy inni stają się obcy
możemy krzyczeć
na-si na-si-na **si-na**
i trupem nagle zajechało

dopiero osobna odpowiadam
znajduję wspólną w każdym Osobę

Ponurzy poeci

są dobre wiersze ponurych poetów
jeden cieszy nowym brzękiem skojarzeń
drugi raduje przestrzenią znaczeń
ale trzeci już wywołuje lekki kaszel od dymu
z papierosów
czwarty topi w kieliszkach pełnych nicości
piąty cuchnie sperumą na pomiętym prześcieradle
nie daje życia ale bury całun

Niewielkie miasto

Niewielkie miasto w niedzielny poranek pachnie
łąką pobliską
przez spokojne uliczki czyściutkie śpieszą do świątyni
spóźnieni odświeżeni

wtem na jednym z domów ujrzałam ogromną
granatową reklamę niegdysiejszą
(takich już nie malują)

J
E
D
W
A
B
N
E
TRADE MARK

rozbryznięt się czas terazniejszy
jak po wybuchu granatu
odstąpił naszą ciemność

z kościołów chórem doleciały
piękne psalmy żydowskie
zapachniało łąką

Na wznak

Tu, na wznak nie widzę nieba.
Żarówka zwisa.
Tyle myśli ludzkich w skrawku ziemi rozjarzonej,
niczym jądro planety, nade mną.
Ziemia przemieniona w plastik, drut, szkło
myślą ludzką.

Bywała drzewami, krzemkami, rudą metalu
i wiewiórką.
W kopułce, jak w czaszce płonie
malusieńki stosik nie całopalny,
bo w próżni.

Nie widzę nieba, ale żarzy się światło.

bo warto

...bo warto otworzyć oczy przed świtem:
rozśpiew ptasi przesywa przestrzeń
jednocząc miłośnie
w ciekim jak włos anielski śpiewie
wiii o sna sna sna wić
nić nić nic
zbyt króciutko – tym śliczniej
życia cięta nić
dzisiaj ulecę do Ziemi Świętej
wbrew pociskom
żyć!

11.04.2018 przed atakiem Trumpe na Baszszara al-Asada po użyciu przez niego broni chemicznej



Uczestnicy pleneru na Żeromszczyźnie w pracowni Liberatorium Radosława Nowakowskiego poznają etapy ręcznego wytwarzania książek. Uta Przyboś, Autor, Włodzimierz Kłaczyński
Fot. Małgorzata Ziemiańska-Kędziarska

Święty Paweł

Człowiek słaby z natury, ułomny i kruchy
Mylą mu się pomniki z mizernym detalem
Przytłacza go do ziemi tęsknota za balem
Za świętym eliksirem w kropelce siwuchy

Pośpiech, który rodzicem chaosu się mieni
Kiedy przegrywa wojny, wygrywając bitwy
Miał pielęgnować wiarę, garnie się do sitwy
I na wypadek wszelki chowa nóż w kieszeni

A kiedy się w nim wadzą grzech i zamiar czysty
Święty Paweł wysyła apostołskie listy

Matka Boska

Matka Boska do wojen nie przykłada ręki
W krwi przelanej nie widzi różnicy kolorów
Ślepą miłością burzy mury naszych sporów
Niosąc w zmęczonych oczach obraz Pańskiej Męki

Gdy łąki umajone śpiewają modlitwy
A wianki w polne kwiaty przystrajają głowę
Gdy nasze ułomności chowamy za słowem
Wstydząc się, choć przez chwilę, codziennej gonitwy

Ona, jak każda matka, do serca przygarnie
Rozpalając cierpliwie miłości latarnie

Święty Florian

Dzielny rzymski rycerzu zginąłeś za wiarę
Wyrzekłeś się zaszczytów i ludzkich słabości
Przekroczyłeś Rubikon nim rzucono kości
Rzucając nam pod nogi największą ofiarę

A my gasnący w oczach jak mokra pochodnia
Plecami odwróceny do innych i ciebie
Stroimy głupie miny na świata pogrzebie
Żądając byś nas chronił od biedy i ognia

Kiedy topi się męstwo, karleje odwaga
Prawda stroi się w pióra i nie chce być naga

Gdy grudzień sypnie śniegiem, zadzwonią janczary
Choinki zamigocą kolorami tęczy
Gdy w kominie coś załka, zaśpiewa, zajęczy
Przekroczy próg kolęda i obyczaj stary

Przyjmiemy Mikołaja jak członka rodziny
Wyzwoleni na chwilę z codziennych frasunków
Podamy sobie ręce zamiast podarunków
Wina wyprze się kary, kara - wyprze winy

Choć zamieć za oknami i nie widać świata
Niech to, co nas dzieliło, nareszcie nas zbrata

Święty Stanisław

Nie przestraszy się króla, kto oddany Bogu
Gdy zacina się ciągle naszych grzechów waga
Tchórzostwo zbiera plony, szmaci się odwaga
A buta małych ludzi pleni się na progu

A przecież gest nieznaczny, ciepła łyż kropelka
Wystarczy, aby miłość zakwitła płomienna
Wiekuisty dyjament, fuga nieśmiertelna
Zajączek, co się wyrwał z krzywego lusterka

A my nie znamy wstydu, nam się już nie zdarza
Ginać za przekonania na stopniach ołtarza

Anioł Stróż

Aniele, jeśli czuwasz nad moimi sprawy
I masz za moje grzechy ponieść wspólną karę
Daj mi chwilę spokoju i oddechów parę
Bym mógł życie oddzielić od gwiazdnej zabawy

Nie musisz mi nerwowo trzepotać skrzydłami
Przypominać do jakich człowiek stworzon lotów
Nie dla mnie łaska pańska obłudnych bigotów
Co w topocie sztandarów żyją ponad nami

Wiem, że zmęczony jesteś, kiedy za mną stoisz
Nie wiem tylko - o siebie czy o mnie się boisz

Miłość w Rzeczniowie (Fragment)

Rozlokowany między ulicą a zalewem, ciągnie się od tamy ośrodek z kawiarnią, z plażą i co najważniejsze, z domkami kempingowymi. Za nimi jest jeszcze pole namiotowe; niezbyt atrakcyjne, a mimo to okupowane czy to przez zagłuszających całą okolicę długowłosych „metalowców”, czy to przez dudniących nieszczęśliwymi tłumikami motocyklistów, czy to przez pewien romski ród. Przywołuje on taborową krzątanię, rozkładając się z namiotami, kociołkami, ba, z powyciąganymi z odmętów mercedesów, beemek i innych volv puchowymi pierzynami! Wszystko kończy całkiem zwyczajna, powyciągana, zielona metalowa siatka. Za nią już tylko porastający gęsto „Rejów” las. Właściwie, niezupełnie tak za nią, bo zwarty kompleks poprzedza spora polana, która powstała wskutek podmyć, wiatrołomów, wreszcie pracy pił i siekier. Tu rozkładano deski z żaglami, aby śmigać po zalewie. Tu, na szczęście nieliczni, spuszczały łodzie motorowe; tu wreszcie okoliczni mieszkańcy przychodzili popływać. Teraz opanowali ją trzej młodzi mężczyźni o sportowych sylwetkach i ich bliźniaczo wyglądające dziewczyny. Wszystkie opalone na brąz, wszystkie w kusych miniówkach, wszystkie w skąpych górach od bikini, wszystkie trzy we fryzurach „na mokrą Włoszkę”. Słowem – typowe przedstawicielki czasu przełomu, czasu żegnania starego systemu i narodzin nowego. W nowym, właśnie się budującym, ludzie – zostawiając dziki pęd do forsy, zapominając na chwilę o swoich dopiero co założonych interesach, o swoich mniej lub bardziej świetnych pracach – latem też ciągną do wody. Szczególnie w skwarne, niełagodzone choćby kroplą deszczu, takie jak ten lipcowe dni. Upał był niemiłosierny. Zbliżała się osiemnasta, a słońce gwizdząc na to, że dzień dobiega końca, wciąż bez litości prażyło. Powietrze stało w miejscu, drżąc jedynie od temperatury. Duchotę dopełnił odór wytapianego na grillu tłuszczu. Mimo to całe towarzystwo kręciło się nieustannie po polanie, przy grillu i przy rozbitym wśród drzew namiocie. Nadmierną ruchliwością zabijali niepewność tego, co przy-

niesie noc, chociaż liczyli na jej mrok, i jeszcze bardziej na chłodzoną w wodzie wódę. O, ta jak nic pomoże namiętnościom...

Strome, szybkie zejście na polanę od Słonecznej nie należało do łatwych. Istniał wygodny sposób dotarcia do wody. Należało skorzystać z rozjeżdżonej terenówkami, wypłukanej przez ulewy do szarego piachu, polnej dróżki. Malinka, czy z pośpiechu, czy nie chcąc pobrudzić sobie nóg, schodziła inaczej. Drobiąc ostrożnie w klapkach, pokonywała porośniętą kępami trawy skarpe. Od razu przyciągnęła spojrzenia mężczyzn. Jeden podszedł bardzo blisko zbrocza, gdzie miał na schodzącą doskonały widok. Oświetlające kobietę od tyłu i z boku ostre światło, wyciągało spod cieniutkiej sukienki to, co ta niby zakrywała.

Podziwiał jej zgrabne łydki, prześlizgnął się wzrokiem po delikatnych kolanach i uwiązał w jakże pięknie wyrzeźbionych przez naturę i sport udach. Obiecywały drogę do rajy! Podniósł wzrok wyżej i, a jakże, dostrzegł wyraźny zarys bielizny. Wreszcie z ostrym wcięciem nad biodrami, płaski brzuch. A nad nim... z tej odległości wyraźnie widział zarys jej piersi. Jak zwykle latem odkrytych! Malinka nie cierpiała staników, które nazywała kajdankami i których unikała jak ognia. Pewnie dzięki temu, mimo dwóch porodów, wciąż w miarę sprężysty biust radośnie prześwitywał przez cienkie bluzki czy sukienki. W tej chwili niczym magnes przyciągał wzrok młodzieńca. Wiedział, jak głupio to wygląda, ale przyssał się do nich oczami i za cholerę nie potrafił przestać się gapić. Speszyło ją to, więc w obronnym geście zakryła je ręką. Utraciła nie tylko koncentrację, ale i równowagę. Zachwiała się, potknęła. Chłopak rzucił się na pomoc i prawie leczącą już na twarz, chwycił w ramiona. Na wytrenowanej „klacie” poczuł miękkość jej piersi. Jej oczy i usta znalazły się tak blisko... Dłonią odruchowo, aż do końca, przesunął po plecach kobiety do koronkowego brzegu fig.

– Dziękuję! – odepchnęła go. – Dziękuję za pomoc.

– Może... – wykrztusił.

– Nie! – odeszła po szarym piachu. Do chłopaka dopadła jego „mokra Włoszka”. Przywarła

pocałunkiem, zasłoniła blond loczkami widok na nieoczekiwaną rywalkę. Całym oplatającym go ciałem zdawała się do niej krzyczeć – odwal się!

Malinka weszła na wystającą w wodę kępę, z której widziała spory fragment zalewu i gdyby nie zasłaniający ją zakręt, widziałaby kończącą zbiornik wyspę. „Rejów” przypomina dwa zestawione ze sobą prostokąty. Ten mniejszy od tamy do końca ośrodka, dłuższym bokiem ustawiony w poprzek wody, a drugi, zdecydowanie dłuższy, ciągnie się aż do wyspy i opływającej ją rzeki Kamionki. Od polany za ośrodkiem, gdzie stała Malinka, do wyspy było grubo powyżej kilometra. Wzdłuż dzieliła wodę prawie równa linia na dwie części. Jedna mieniła się, błyszcząca igrającym po niej światłem, drugą okrył ponury cień porastającego górę Baranowską lasu. Czym bliżej nocy, zwycięski mrok coraz bardziej będzie pokrywał flirtującą ze słońcem wodę. Ten widok pochłonął ją bez reszty i nic nie robiła sobie z gapiących się na nią młodzieńców, a także posyłających jej wściekłe spojrzenia „mokrych Włoszek”. Nic nowego! Odkąd zaczęła się nad tym zastanawiać, towarzyszył jej zachwyt facetów i zazdrość kobiet. Nie chodziło tylko o idealną, działającą na zmysły figurę. To byłoby trywialne. Raczej decydowała twarz o pięknych rysach. Delikatna, inteligentna, pogodna, z ogarniającym nie tylko usta, ale i oczy uśmiechem. Dzisiaj też nie bez satysfakcji dostrzegła, że jej wybawca był przystojny i młody. Do tego tak nią zainteresowany! Cieszyłoby ją to oczywiście, gdyby nie pokrywający wszelkie odczucia żar. Do tego jak na złość kostium kąpielowy zapodział się w odmętach szafy, a ona nie miała czasu go szukać. Na plecach czuła spływającą wzdłuż kręgosłupa strużkę potu i sukienka nieuchronnie zaczęła przywierać do ciała. Najchętniej w samych majtkach skoczyłaby do zalewu! Rozważała przez chwilę kąpiel w sukience, ale pomyślała, że po wyjściu z wody byłaby jak naga. Cóż, nie można w tym miejscu latem liczyć na samotność. Weszła w wodę powyżej kolan, schyliła się i polała twarz i włosy.

Przy okazji zamoczyła jej się sukienka na biuście. Wyschnie! Odczuła ulgę, a jej myśli zaczęły krążyć w odległych czasach, jeszcze przed dziećmi. Myślała o wyjeździe z Mateuszem na Pojezierze Ławskie, do domku jej kuzyna Jurka. Drugiego dnia po przyjeździe Jurek zabrał ich na ryby w sobie tylko znane miejsce. Pojechali trochę dla towarzystwa, trochę z ciekawości.

Oboje nie byli fanami wędkowania, a Malince na samą myśl o niezbędnym w tym przypadku robalu robiło się... Właśnie tak!

Jeziro ukryte wśród ogromnych lasów przywoływało niebywale czystą wodą, ale tylko wtajemniczonych. Dziś, przynajmniej po tej stronie, byli nimi oni i nikt więcej. Jurek rozłożył wędkę, podbieraki i jeszcze jakieś siaty; klapnął na stołeczku i rozpoczął misterium oczekiwania na „taaką” rybę. Ona odeszła nieco wyżej od brzegu, podała swojemu świeżutkiemu mężczyźnie krem do opalania, położyła się na kocu i rozpięła stanik. Smarował ją po plecach o wiele za długo i o wiele za nisko... Nie przeszkadzało jej to ani trochę. W końcu przestał.

– „Uszku”! Nie przerywaj. Nieźle ci idzie.

– Idę poływać.

Obserwowała, jak polał ręce, szyję, wreszcie głowę wodą, po czym spokojnie się w niej zanurzył. Odwróciła się na plecy. Niewidoczna dla nikogo posmarowała sobie brzuch i szyję. – Głupi! Wolał poleżeć do wody i tyle go ominęło – starannie smarując biust głośno się zaśmiała. Zamaskowane okularami oczy skierowała ku ostremu światłu i zamknęła je. Prawie absolutną ciszę, poza śpiewem ptaków, wypełniały tylko radosne nawoływania Jurka. Ryba? Najważniejsze, że będzie na kolację. Na patelni. Do tego jeszcze tyle czasu! Słońce rozkosznie dobierało się do niej, a przyjemne myśli krążyły wokół poprzedniej nocy. Czuła wciąż na skórze, we włosach jego zapach, czy raczej już ich wspólny zapach, a w głowie szumiały niczym spływająca kaskadą słowa wiersza, jaki dla niej napisał. Poznała go tej nocy, między muśnięciami dłoni, warg, między delikatnymi pieszczotami. Teraz w ten rozleniwiony słońcem dzień myślała jej się zupełnie fajnie o tym, co kobieta pamięta po takiej nocy o swoim mężczyźnie.

– Zobacz, jakie sztuki! – Jurek wołał i szedł do niej, omijając krzaki, z siatą pełną ryb. Malinka przycisnęła biustonosz do piersi, lekko uniosła się na kocu i spojrzała na dumnie trzymany w wyciągniętej ręce potów.

– Ładne rybki – odpowiedziała, żeby nie było mu przykro. – Zapnij mi stanik. Odłożył siatkę i zrobił, o co prosiła. Tak przy okazji zerknął na odsłoniętą tymi zabiegami pierś.

Grzegorz Rak, *Miłość w Rzeczniowie*, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON 2”.

Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej

„Polak, Węgier dwa bratanki... / Lengyel, magyar – két jó barát” ... Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej został ustanowiony w 2007 r. przez Parlament węgierski (12 marca) oraz przez Sejm RP (16 marca) i obchodzony jest 23 marca naprzemiennie – w Polsce i na Węgrzech, zawsze z udziałem głów państwa. W roku 2019 gospodarzem obchodów Dnia Przyjaźni będą Kielce! Wawrzyniec Marek Rak mieszka w Győr na Węgrzech od 10 lipca 1983 roku. **Przynależność do organizacji:** Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Józefa Bema na Węgrzech – od 1994 r. Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Jana III Sobieskiego w Győr – od 1999 r. Związek Literatów Polskich Oddział w Kielcach – od 2007 r. Forum Twórców Polonijnych na Węgrzech – od 2001. Koło 10 Pułku Strzelców Konnych w Łańcucie – od 2012 r. Świętokrzyskie Towarzystwo Regionalne w Zagnańsku – od stycznia 2015 r. Samorząd Mniejszości Polskiej w Győr – był radnym w jednej z kadencji. Stowarzyszenie Katolików Polskich na Węgrzech pw. św. Wojciecha – od 2016 r. Polski Chór Kameralny „AKORD” w Győr – od 2007 r. Węgierski Chór „Határtalan Dallamok” („Piosenki bez granic”). W przyszłym roku przypada 80. rocznica wybuchu II wojny światowej. W Győr działał (jako jedyny na Węgrzech) polski szpital wojskowy, w pobliżu tego budynku jest cmentarz, gdzie znajduje się 46 grobów polskich żołnierzy, pochowanych w latach 1940-44. Za opiekę nad grobami polskich żołnierzy (w tym z 10 Pułku

Strzelców Konnych z Łańcuta) W. Rak otrzymał odznakę i został członkiem Koła 10 Pułku.

Börcs k. Győr jest partnerem Gminy Masłów od 2004 roku. Współpracę nawiązał ówczesny wójt Włodzimierz Korona, kontynuował ją Roman Pazera, a po nim wójt Tomasz Lato. Na Węgrzech występował Chór „Masłowianie” z Masłowa, Zespół Śpiewaczy „Kopcowianki” z Woli Kopcowej i Zespół z Ciekot czy chociażby młodzi piłkarze biorący udział w różnych turniejach. Z kolei Győr jest miastem partnerskim Poznania od 2008 r. W kontaktach i współpracy między partnerami polskimi i węgierskimi uczestniczy aktywnie Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Jana III Sobieskiego z Győr (w tym Wawrzyniec Rak – spotkania literackie, Międzynarodowe Targi Poznańskie, Międzynarodowy Salon Książki w Győr).

Markowe 35-lecie

To już trzydzieści pięć latek
Jest na Węgrzech ten gagatek
Przybył tutaj z Kielecczynny
Do pracy, na rzecz Ojczyzny...

Wysłano mnie tu – na eksport
Zdobyłem... węgierski paszport
Pół życia w Győr zostawiłem,
Lecz zawsze Polakiem byłem!



Podczas staszowskiego pleneru nasz satyryk obłąskawił prawdziwego bizona w Kurozwękach
Fot. Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Dojrzyć do wspomnień

Czy wszystko było tylko serca uśpieniem
skoro słowa co płonęły nadzieją
już nieważne
a ten kwiat odrzucony lżejszy
od wygastłych wspomnień

to nic że serca
na chwilę zadrgały i szybko ucichły
jakby tabun koni przeleciał

umilkła nasza Brda
a ja pełen pokory muszę jednak
na powrót dojrzyć
do tych wspomnień

* * *

Za śladami światła tych
co odeszli
moje zostawiam
na białej kładce myśli
pod nią strumień nadal
toczy kamienie
dopóki możliwe powracam
brzegiem istnienia
między Lisowem
i chatą z dzieciństwa

A gdy na ścieżkach tego świata
i dla mnie czasu zabraknie
pójdę tam gdzie Ojczyzny ślad

Z paszportem spopielonego czasu
nad zgasyłem się pochylę
za życie co było za karę

16 października 1987 roku usłyszeliśmy „Habemus papam!”. Taką wiadomość podaje irańska telewizja. Przy gromkich brawach Niemców i Japończyków cieszy się garstka Polaków. Musimy jednak opuścić świetlicę, gdyż nasze spontaniczne zachowanie może być źle odebrane przez obserwatorów tajnej policji „Sawak”. Kilkaset metrów szutrowej

Idziemy w ciszy
jakby boski kamień nas prowadził
znakiem milczenia pod stopą
I jakby święty był ten spacer szutrową drogą
wiecznie młodą naszą wyobraźnią

Jesteśmy przecież w kraju wyznającym islam. Pełnym społecznych niepokojów. Wiemy o manifestacjach w Teheranie i starciach z użyciem broni. Rozumiemy irański naród, widząc nękającą go ogromną zapaść gospodarczą. Miło nam przyjmować jego piękne pozdrowienia „As-salamu alajkum!” (Pokój z wami).

Jemy obiad. W narożnej części sali kilku panów prowadzi spokojną dyskusję o wpływie wyboru papieża Polaka na politykę wschodnią. Rozmawiają po angielsku. Dobiegają do nas słowa: „On pochodzi z kraju, który nie jest wolny”. Więc przypięli nam metrykę, ale przecież nie ucieknemy od prawdy, że panujący w naszym kraju komunizm nie jest iluzją. Odwiedzamy punkt pocztowy, od kilku dni pusty. Coś nie tak... wcześniejsze listy ocenzone. Brak wieści od bliskich – to zła wiadomość.

Przesuwają się cienie po zboczach gór Zagros
W słońca zachodzie czerwienią
dopalają się strzeliste wieżyczki meczetów
Ich widok urzeka mnie pięknem do głębi
Jakże inny jest tu każdy nowy dzień
jak nie trzęsie się ziemia, to lecą kamienie.

My jednak pracujemy, choć Persowie nie, bo strajk generalny. Wreszcie ktoś krzyczy: Są listy! Trzymam nerwy i spokojnie wychodzę. Ktoś przeklina, inny chowa łzy (dzisiaj się napije, może musi...). Jedenasty, ostatni list – otwarty. Pieczęć cenzury... Jakiej? Ktoś czytał mój list! A w nim wiadomość od żony! 22 października do wszystkich zebranych na Placu św. Piotra Jan Paweł II powiedział: „Nie lękajcie się. Otwórzcie, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi”.

Taka to już droga. „Człowieka do człowieka”. Poprzez słowa i od słowa się wszystko zaczyna, gdy pada na właściwy grunt. Reakcję polskich władz mogłem sobie wyobrazić, jednak nikt nie przypuszczał, jak daleko zaprowadzą nas te słowa.

Z Facebook

„Wzruszający i osobisty tekst wpisany w rzeczywistość, w której trudno okazać radość z wyboru Polaka na papieża. Radość o tyle skrywana, o ile niesie jednocześnie nadzieję na przetrwanie w kraju, który kulturowo jest daleki i odległy i w którym trzeba po prostu przetrwać...”

Znaki

Od ciotki Weroniki nigdy nie potrafiła wyjść o czasie – zawsze zwlekały z rozstaniem. Może dlatego, że sobotnie spotkania były niepowtarzalne, a może dlatego, że przystanek był tak blisko jej domu. Biegła do tramwaju rozpamiętując ostatnie słowa Weroniki: *bądź zdrowa, uważna i dostrzegaj znaki*. Od lat żegnała ją tymi słowami, całując w czoło. Cioteczka była dużo niższa i Jaśmina musiała schylać się, żeby zadośćuczynić przyzwyczajeniu staruszki. W dzieciństwie podejrzewała Weronikę o czary i koniecznie chciała przytapać ją na jakimś hokusie-pokusie. Zaśmiała się do swoich myśli, przeskoczyła dziurę w chodniku i z impetem wpadła na schody, nagle tracąc równowagę.

– O cholera!!! – zdążyła wykrzyknąć przerażona i runęła w dół jak kłoda. Jednak zamiast twardego asfaltu poczuła miękką bawełnę na policzku i mocny uścisk ramion. Zawisła w męskim objęciu rozdzierając rękaw koszuli swojego wybawcy.

– Dziękicipanieboże – wyjąkała z wdzięcznością.

– Ooo... Upadły, jasnowłosy anioł, pewnie bies, podstawił kopytko – zaśmiał się mężczyzna i zapytał: – Nic się pani nie stało?

– Neeee... Już dobrze – dziękuję panu, bardzo dziękuję i przepraszam... To przez ten pręt – zaczęłam obcasem.

Poprawiła sukienkę i odgarnęła włosy, które zasłaniały całą twarz. Mężczyzna przyglądał się jej z zainteresowaniem i zachwytem jednocześnie. Podniosła głowę i... Czas przestał istnieć, wszystko przestało istnieć, na całym świecie istniały tylko uważne zielone oczy.

Nagle zawstydziła się, rzuciła krótkie „Jeszcze raz dziękuję”, po czym skierowała się w stronę przystanku.

Mężczyzna stał nieruchomo i patrzył za odchodzącą kobietą. *Co za zjawisko! Kretynie, rusz tyłek, przecież nie możesz pozwolić jej tak odejść* – zganiał siebie i zrobił kilka kroków. *Co ja robię, przecież nie wypada, nie podrywam kobiet na ulicy, ale przecież sama mi wpadła w ramiona* – to znak – dalej prowadził wewnętrzny monolog. Nagle przestraszył się, że kobieta za chwilę wsiądzie do tramwaju i zniknie na zawsze. Jak szalony pobiegł

za nią wołając: Mam na imię Wiktor, a ty? Proszę tylko o numer telefonu!

Jaśmina odchodziła z poczuciem dziwnej, nieokreślonej straty, przegapionej szansy. Teraz jednak, zaskoczona zachowaniem mężczyzny, powstrzymywała uśmiech nie chcąc okazać radości.

– Może będę mogła zrewanżować się i odkupić koszulę – stwierdziła pisząc numer telefonu. Szybko podała kartkę i wsiadła do tramwaju.

– A imię, jakie imię? – zawołał.

– Jaś...n...

Nie usłyszał.

* * *

Wiktor stał jeszcze przez chwilę, patrząc za odjeżdżającym pojazdem, po czym westchnął i wolnym krokiem skierował się w stronę schodów, na których złapał upadającą piękność. Przypomniał sobie, gdzie zostawił samochód, i całą drogę rozpamiętywał sytuację z nieznaną. Kartkę z numerem telefonu wciąż ścisnął w dłoni. Postanowił schować ją do portfela, lecz w tym momencie powiał silny wiatr, wyrwał kartkę i zawirował nią na chodniku. Wiktor pobiegł za zgubą, ale wiatr zabawiał się jego kosztem i miotał kartką na wszystkie strony, by w końcu wywiać ją za ogrodzenie jakiegoś domu. Wiktor zaklął. Tego było za wiele! Zajrzał za parkan. Kartka leżała niedaleko, ale nie mógł jej dosięgnąć znalezionym patykiem. Podszedł do furtki i zadzwonił. *Żadnej reakcji, chyba będę musiał się włamać czy co?* – pomyślał. W tym momencie otworzyły się drzwi domu i stanęła w nich starsza kobieta.

– O co chodzi, nie spodziewam się gości?

– Bardzo panią przepraszam, mam prośbę – wypadła mi kartka, czy może pani mi ją podać?

– Kartka? A tak, widzę.

Kobieta podniosła zgubę, uważnie popatrzyła w oczy mężczyzny i zapytała:

– A tak przy okazji, chłopcze, to może też zrobisz dobry uczynek? Bo widzisz, ja zupełnie nie wierzę w przypadki, wszystko jest zaplanowane na górze. Siedziałam sobie przed chwilą i zastanawiałam się, kto mi pomoże narąbać drewno. Mam co prawda centralne ogrzewanie, ale

lubię napalić w kominku i posiedzieć przy żywym ogniu, powspominać. Mnie odwiedzają same kobiety, a do tej pracy potrzebny jest mężczyzna. No i proszę – jaka synchronizacja! A w nagrodę mam świeżutką szarlotkę i dobrą herbatę. To jak?

– Za szarlotkę zrobię wszystko. I za tego „chłopcze” też. Mam dziś wolny dzień i na dodatek pełen przygód – zaśmiał się Wiktor, podążając za kobietą do szopy.

Lubił to zajęcie; często z dziadkiem rąbał drewno, szybko więc uporał się z robotą i weszli do domu. Wnętrze było przytulne, ciepłutkie i gustownie urządzone. Z przyjemnością rozglądał się po półkach wypełnionych książkami, wypatrując ulubionych autorów. Ale najbardziej zachwycił go obrazy – nie mógł oderwać od nich oczu. Hipnotyzowały i wzbudzały osobliwy niepokój, by po chwili wprawić w zadumę. *Spodobałyby się córce* – pomyślał.

– Kto malował te obrazy? – spytał.

– To moja siostrzenica – odparła z dumą w głosie gospodyni, ostrożnie stawiając tacę ze smakołykami i wspaniale aromatyczną herbatą. – Lubię zanurzyć się w fotelu i medytować wpatrując się w płótna. Czuję ich terapeutyczne działanie, ale siostrzenica śmieje się i twierdzi, że to takie zwykłe malowanki. Gdyby to były malowanki, to nie sprzedawałyby się jak świeże bułeczki. Te udało mi się zachować. Ale, ale... Zapraszam na kanapę, sam zobaczysz, jak miło jest posiedzieć przy kominku. I proszę mi wreszcie opowiedzieć o dzisiejszych przygodach i tej tajemniczej kartce.

– Właśnie, numer – przypomniał sobie Wiktor wyjmując kartkę z kieszeni. – Muszę chyba nauczyć się go na pamięć, żeby znowu jakiegoś licha... Nie dokończył. Wielki czarny kocur wskoczył mu na kolana, pazurem zahaczył o papier, po czym zeskoczył na podłogę, a kartka pofrunęła prosto w ogień. Wiktor nie wierzył własnym oczom! Rzucił się do kominka, ale z kartki pozostał już tylko czarny pył.

– Imienia też nie znam. Teraz już jej nie odnajdę, a ona pomyśli, że mi nie zależało – wyjął zrozpaczony. – A może w ogóle zapomniała o naszym spotkaniu – zreflektował się ze smutkiem w głosie i opowiedział kobiecie o spotkaniu z nieznaną. Oboje zamyślili się.

– Zupełnie nie wiem, co mnie napadło. Prowadzę stabilne, spokojne życie. Od śmierci żony sam wychowuję osiemnastoletnią córkę, świetnie się dogadujemy. Nie uganiam się za spódniczkami,

to raczej one biegają za mną. Bardzo kochałem żonę i długo tkwiłem w żałobie. Córka co jakiś czas bawi się w swatkę i podsuwa mi różne znajome. Od dwóch tygodni robi podchody, żeby umówić mnie ze swoją ostatnią fascynacją pt. *Tatku, ona jest rewelacyjna pod każdym względem*. Ale żadna nie zrobiła na mnie wrażenia, nie poczułem tych kretyńskich motylków – aż do dzisiaj. Potrafiłbym opisać te jej niebieskie oczy, magnetyczny głos i nawet turkusową sukienkę – i to w wielu językach – rozmarzył się.

– A czy mówiłam już, że nie ma przypadków? Przyjmuj wszystko z radością i wdzięcznością, a sam zobaczysz, że życie jest mądre i jest miłością. Wszystko dzieje się tak, jak ma się dziać – powiedziała swoją ulubioną sentencję kobieta.

– Tak, ma pani rację – podsumował Wiktor. – Nie będę nadużywał gościnności. Dawno nie spędziłem tak uroczego wieczoru.

– Odwiedzisz mnie jeszcze kiedyś?

– Z wielką przyjemnością i chętnie narąbię drewna; trochę rozruszałem mięśnie i dobrze mi to zrobiło. A tutaj jest moja wizytówka – tylko proszę nie pokazywać kotu.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

* * *

– Halo... Witaj, miły drwalu.

Wiktor rozpoznał znajomy głos.

– Witam właścicielkę złośliwego kocura – zaśmiał się do słuchawki.

– Zapraszam cię na moje hm... siąte urodziny w przyszłą sobotę. Obecność obowiązkowa – odmowy nie uwzględniam, a kwiatów nie przynoś, bo mam ich pełen ogród i wolę, jak rosną w ziemi.

– Nie odmawia się pięknej kobiecie.

– Ty pochlebco, szarlotkę masz już zarezerwowaną.

– Dziękuję, do miłego zobaczenia.

Wiktor z przyjemnością przypomniał spotkania ze staruszką. Już kilka razy odwiedził mały domek i narąbał całe stopy drewna, a przy okazji wykonał drobne naprawy. Nawet kocura polubił, choć nie mógł mu zapomnieć zniszczonej kartki z telefonem do uroczej nieznanym. Młoda kobieta utkwiła mu w pamięci tak wyraziście, jakby stała tuż obok.

Chyba mi odbija – stwierdził i spojrzął na zegarek. Dochodziła 22.15, a córka jeszcze nie wróciła i wciąż nie odbiera telefonu. Zastanowił

się, czy nie jest zbyt pobłażliwy. Co z tego, że jest pełnoletnia – to przecież jeszcze dziecko.

Usłyszał szybkie kroki przed domem. Dziewczyna wbiegła jak burza, złapała ze stołu naleśnik i z pełną buzią zaczęła mówić:

– Popatrz, jeszcze widno, jak w południe, bo wiesz... jak w przysłowiu, punkt widzenia – od... pory roku, bo gdyby była zima, to miałbyś poczucie, że wróciłam w nocy i byłaby awanturka, ale jest lato i wróciłam jakby w środku dnia, a przecież ta sama godzina – córka trajkotała jak nakręcona.

– To gdzie byłaś, filozofko?

– Przecież nie na piwie w pubie, chociaż czemu nie, tylko na wernisażu, więc musiałam wyłączyć telefon, bo mówię ci, ta moja wykładowczyni na ASP jest genialna, chciałabym tak malować, wyrrywają sobie z rąk jej prace, a na wykładach to tykam każde słowo. Ech, nigdy nie będę tak uzdolnioną malarką, a na dodatek jest piękna i mądra, a ty lubisz mądre kobiety... – nawijała dalej.

– Tylko nie próbuj swoich sztuczek, nie pójde na żadną randkę. Świetne obrazy to ja widziałem w ubiegłym tygodniu. A właśnie, zarezerwuj sobie czas w przyszłą sobotę, to pokażę ci prawdziwy sztuczki.

– Tatu, a nie możesz tego przełożyć? Jestem już umówiona na arcyważne spotkanie i muszę kupić prezent.

– Trudno, pójde sam. To już stary ojciec nie jest arcyważny, tylko jakiś obcy, młodszy model – przekomarzał się.

– Zawsze będziesz najarcyważniejszy, a ten model to kobieta, ha, ha...

* * *

Jaśmina czekała na Julkę w ulubionej kafejce. Polubiła dziewczynę. Na początku trzymała dystans, jak do innych studentów, którzy podlizywali się, żeby uzyskać zaliczenia. Ale z czasem dostrzegła, że dziewczyna jest inna, wyróżnia się ogromną pasją, wiedzą, wrażliwością artystyczną i niezaprzeczanym talentem. Najmłodsza na roku, ale najpilniejsza, zawsze przygotowana i uważna. *Będzie z niej uznana i wielka artystka – wróżyła – tylko niech podąży za własną legendą, jak w „Alchemiku”*. Na uczelni zawsze zachowywały stosowny dystans, ale po zajęciach biegły do parku na lody i dyskutowały zawzięcie

o różnych artystycznych wydarzeniach i modach w sztuce. Niezauważalnie spotkania nabrały mniej formalnego charakteru.

Któregoś dnia Jaśmina zaprosiła młodą przyjaciółkę do domu swojej ciotki i odtąd spędzały tam każdą wolną chwilę tworząc, a ciotka donosiła smakołyki, *żeby dziewczyny nie zamieniły się w chude pędzelki*. To był raj dla malarzy. Zimą Jaśmina miała do dyspozycji ciepłą dobudówkę z ogromną jasną werandą, która latem wychodziła na piękny ogród. Jak ta enklawa zieleni uchowała się w samym sercu wielkiego miasta, pozostanie chyba tajemnicą wujka, który umierając obiecał swojej ukochanej Weronisi, że zawsze będzie miała wokół zieleni i żaden moloch nie zasłoni jej słońca. Dotrzymał obietnicy – co nie zmieniło faktu, że siostrzenica i tak wciąż podejrzewała ciotkę o czary. Weronika żyła jak na wsi, otoczona kwiatami, zawsze pogodna i pogodzona z życiem. Jaśmina uwielbiała staruszkę i jej taoistyczne podejście do świata. Zwierzała się Weronice ze swoich wielkich problemów, a kiedy wychodziła, problemy malały, aż stawały się suche jak ziarenka w makówce, które rozsmieszają swoim chrobotem. Opowiedziała ciotce swoją przygodę z nieznanym mężczyzną, który uratował ją przed upadkiem ze schodów, o fascynacji i ogromnym rozczarowaniu, gdy nie zadzwonił. Wstydziała się sama przed sobą przyznać, że czekała na jego telefon. Weronika zamyśliła się i skwitowała:

– Wycisz się, dziecko, zrób ćwiczenia oddechowe, których cię nauczyłam, odmów modlitwę, bo wszystko dzieje się tak, jak ma się dzieć.

Teraz Jaśmina czekała na Julkę, bo postanowiły uszczęśliwić staruszkę wspólnie wybranym prezentem. Miały upatrzony w antykwariacie ręcznie malowany komplet do herbaty, którą Weronika namiętnie przyrządzała w najróżniejszych odmianach i smakach. Stale narzekała, że brakuje jej odpowiedniej zastawy, bo ziołowe podaje się w innych, a czarną i zieloną w odmiennych. Jaśmina nigdy nie zapamiętała tej wiedzy.

Zapakowały cenny łup i pojechały do Weroniki.

* * *

– Niech jej gwiazdka pomyślności nigdy nie zagaśnie... – radośnie wydierały się już od progu, wkraczając do saloniku.

– To dla ciebie od nas obu, nasz promyczku najdroższy – ze wzruszeniem powiedziała Jaśmi-

na i obie rzuciły się Weronice na szyję, ściskając i całując staruszkę.

– To miłe, ale z nadmiaru uczuć nie dożyję kolejnych urodzin – broniła się uszczęśliwiona. – A chcę jeszcze przedstawić mojego pierwszego gościa.

– Jakiego gościa? – zapytała zaskoczona Jaśmina. Odwróciła się w stronę kominka i zamarła.

Nagle wszyscy zaniemówili i stali tak przez dłuższą chwilę, popatrując na siebie. Jaśmina nie potrafiła wydusić słowa.

Pierwszy odezwał się mężczyzna:

– Kot spalił kartkę z telefonem.

– Że co? Tato, ty bredzisz! I w ogóle co tutaj robisz? – zapytała zdumiona Julia.

– Jestem drwalem pani Weroniki i zostałem zaproszony na urodziny, a kot naprawdę spalił kartkę – brnął dalej Wiktor. – Ale co ty tu robisz, Julka?

Mówiąc to nie spuszczał wzroku z Jaśminy. Kobieta nie odezwała się ani słowem, próbując zrozumieć sens słów mężczyzny.

– Czy wy się znacie?! – zapytała zdezorientowana Julia.

– No dobrze, moi mili – odezwała się przytomnie Weronika. – Widzę, że potrzebny tu tylko jeden narrator. Siadajcie na kanapie przy kominku, zaraz wszystko wyjaśnię.

– Ciociu, to ty wiedziałaś? – odezwała się w końcu Jaśmina.

– A pewnie, że wiedziałam i wolałam pomóc losowi po swojemu. Dlatego zaprosiłam was wszystkich na moje urodziny.

Weronika z właściwym sobie urokiem wyjaśniła obecnym niezwykle splot wydarzeń, łącząc w całość wszystkie wątki.

* * *

– Łał... Nie wierzę, to jakiś prawdziwy harlequin – odezwała się Julia.

– A czy już mówiłam, że życie jest mądre i jest miłością? Wszystko dzieje się tak, jak ma się dzieć – podsumowała Weronika.

Joanna Rzodkiewicz



Z mostu nad rzeką

Z mostu nad rzeką
blisko poręczy
ktoś inny będzie pytać:
– Dlaczego człowiek błądzi
jak fala nietrwała
i sam w tajemnicę przemieniony
znika w bezmiarze?

Przekład z języka bułgarskiego: Autor

От моста над реката

От моста над реката
с ръце на перилата
след мен и друг ще пита:

- Защо човек се скита
като вълна нетрайна
и сам превърнат в тайна,

изчезва в необята?

Pęknięty dzwon Łyczezara Seliaszki

Nowy tomik poetycki bułgarskiego poety i tłumacza Łyczezara Seliaszki nosi tytuł *Pęknięty dzwon* (wyd. Bułgarska knijnitza, Sofia, 2018). Zawiera 66 nowych wierszy. Osiem z nich związanych jest tematycznie z Polską – refleksją autora o pobytach w naszym kraju.

Tomik składa się z trzech części: *Kamień i ptak*, *Tryskający płomyk* oraz *Ta chwila nie wystarczy*. Różnorodny jest ich zakres tematyczny. Kreślą lekcję życia, mówią o miłości, przemijaniu, podróży duszy to znów o rodzinnych korzeniach, ojcu poety, podejmują motywy domu, drogi, wątek sensu tworzenia.

Styl poetycki wyróżnia się zwięzłością, jasnością i jednocześnie głębią myśli i uczuć. Tylko jeden przykład: „Z mostu nad rzeką/ blisko poręczy/ ktoś inny będzie pytać/ – Dlaczego człowiek błądzi/ jak fala nietrwała/ i sam w tajemnicę przemieniony/ znika w bezmiarze?” (*Z mostu nad rzeką*).

W tomiku przeważa klasyczna budowa wiersza, uzasadniona autorską refleksją. *Pęknięty dzwon* jest świadectwem rozwoju poety. Książka, którą warto będzie przeczytać, przełożoną na język polski.

Stanisław Nyczaj



O Grecie z Czermina i Wojtusi organięcie

Działo się to ponad dwieście lat temu, kiedy miasto Przysucha przeżywało okres swej świetności. Dawna osada młodym miastem jeszcze była, świeżo przez króla Augusta III prawami miejskimi uhonorowanym, lecz rozrastała się bujnie jak ciasto w dzieży i pyszniła się wysoką pozycją w Staropolskim Okręgu Przemysłowym, głównie jako znakomity ośrodek przemysłu hutniczego i metalurgicznego. A były to podówczas jakby trzy miasteczka w jednym, z trzema rynkami, jak z trzema sercami, sterującymi krwiobiegami wspólnego organizmu. W trzech odrębnych świątkach mieszkali tu Polacy, Żydzi i Niemcy, których przed kilkudziesięciu laty przywiódł do dóbr przysuskich kasztelan małogoski, pan Antoni Czermiński. Wielmoża ów w wojennym rzemiośle się lubował, z rudy żelaza działa i moździerze wytwarzał, a po śląskich i saksońskich specjalistach od wyrobu broni wiele sobie obiecywał. Osada niemiecka, podobnie jak polska i żydowska, rządziła się własnymi prawami, zachowując skwapliwie swą odmienną wiarę i obyczaje. Pięknie tu było i żyło się rzemieślnikom jak u Pana Boga za piecem. Drewniane minimiasteczko tonęło w zieleni ogrodów i podziwiała swą urodę, przeglądając się w lustrach licznych stawów. W tym uroczym zakątku mieszkała szesnastoletnia Greta, córka puszkarza Matysa, jednego z wytwórców ręcznej broni palnej. Rodzina dziewczyny zrosła się z Czerminem jak bluszcz z opłatanim przezeń drzewem, bowiem z Saksonii sprowadził się do świeżo powstającej niemieckiej osady jeszcze dziad Grety, nieżyjący już kowal Hans. Greta wyróżniała się wśród rówieśnic urodą i nadzwyczajną wrażliwością. Nie była tak praktyczna i gospodarna jak one, miała naturę marzycielki, lubiła chodzić własnymi drogami. Rodzina patrzyła na jej inność pobłażliwie, bowiem dziewczyna we wczesnym dzieciństwie straciła matkę. Faworyzował ją rozkochany w córce ojciec, hołubili dwaj starsi bracia. Choć często uciekała z kuchni do ogrodu, by w głębi zielonego królestwa zatonać w swych marzeniach i tęsknotach, chłopcy z Czermina kochali się w niej na zabój i każdy z nich chętnie by ją poślubił. Spędzały im sen z powiek jej oczy, błękitne jak chabry w zbożu, olśniewał masywny złocisty warkocz owinięty wokół głowy niczym wieniec z pszenicznych kłosów, zniewalał

uśmiech pełen miłości do świata. Ojcu dziewczyny najbardziej przypadł do gustu czeladnik krawiecki Joachim, który wkrótce własny warsztat otworzyć zamierzał. Zamożny był, urodziwy, dla ludzi wyrozumiały i serdeczny. Matys miał nadzieję, że przy takim małżonku Greta wydorosłszy, spoważniejąc, stanie się stateczną żoną i matką. Joachim często zachodził do domu Matysa, wodził za córką gospodarza pełnymi uwielbienia oczyma i z gotowością ożenku się deklarował. Ojciec nie chciał jednak dziewczyny przymuszać, a ona, choć zalotnik był jej dość miły, nie decydowała się na ostateczną odpowiedź. Miała bowiem wywołujące drżenie serca przecucie, że kto inny jest jej pisany i że jej przyszły dom znajduje się poza Czerminem. Szukała w sobie i w otoczeniu znaków, które by ją naprowadziły na ślad miłości jej życia. Rozmiłowana w matce naturze jak w świętym wspomnieniu własnej, tak słabo pamiętanej rodzicielki, przytulała się do przydrożnych drzew, próbując zrozumieć zawarte w ich szumie przesłania, ostrzeżenia, przepowiednie. Któregoś dnia cała zmieniła się w radosne zdumienie, gdy z rozkołysanych wiatrem gałęzi starego dębu wydobył się piękny śpiew mężczyzny. Pieśń bez słów wsiąkała kroplami słodyczy w głąb jej duszy, aż stopiła się z muzyką liści. Innym razem ukazała się Grecie w napełnionym gwiazdami stawie twarz młodzieńca o falujących jasnych włosach i błękitnych oczach. Wydawał się do niej podobny. Jakby byli dwiema połówkami tego samego jabłka. Wizja rozplynęła się w wodnych zmarszczkach, lecz Greta teraz jeszcze częściej zniknęła z domu, a strapiony przyszły majster Joachim powoli tracił nadzieję na poślubienie coraz bardziej oddalającej się od niego panny. Którejś nocy objawiło się dziewczynie niezwykle zjawisko senne. Była to piękna pani w pąsowej sukni, granatowym płaszczu i złotej koronie na głowie. Serce Grety zabiło żywiej pod powłoką snu... Czyżby to zmarła matka wyciągała do niej ręce? Tak naprawdę pani ta nie była specjalnie do matki dziewczyny podobna. Może Grecie przypominał nieboszczkę ciepły owal twarzy ujranej we śnie kobiety, a może pełna troski dobroć świecąca w jej oczach... Pewnym było jednak, że pótsierota poczuła promieniowanie macierzyństwa i obudziła się wczesnym rankiem radosna jak skowronek. Tego dnia coś Gretę wyгнаło z Czermina. Wiedziona niedającym się wyciszyć głosem wewnętrznym powędrowała do Urszulina, części Przysuchy zamieszkiwanej przez ludność polską. Bywała tam w dzieciństwie, bawiła się z polskimi rówieśnikami

i poznawała ich mowę, lecz kiedy zaczęła dorastać, ojciec i bracia zazdrośnie trzymali ją w Czerminie, jakby się czegoś podświadomie obawiając. Od kilku lat ojciec nie pozwalał jej sobie towarzyszyć, kiedy udawał się na polską stronę w interesach, czego jej dawniej nie odmawiał.

Była niedziela. Wczesnojesienny dzień płonął złotem i czerwienią. Greta ujrzała ciągnący do kościoła orszak weselny i przyłączyła się do niego. Usytuowany na wzgórzu nowy obiekt sakralny dominował nad zabudową miasteczka. Ufundowała go pani Urszula z Morsztynów Dembińska, której imieniu zawdzięczała swą nazwę polska część Przysuchy. Greta nigdy nie była w katolickiej świątyni i teraz zachwycona podziwiała urodę jej wnętrza. Bogata kolorystyka, mnogość rzeźb i obrazów – wszystko to wywołało falę uniesień, jakich mieszkanka Czermina nie doświadczyła w surowym wnętrzu ewangelickiego domu modlitwy. Przycupnęła w ławce i nagle nieomal krzyknęła, przyjrawszy się umieszczonemu w bocznej nawie obrazowi. To była pani z jej snu! Ta sama twarz, szaty, korona! Tylko w widzeniu sennym pojawiła się sama, a tu trzymała w objęciach ukoronowane dzieciątko ze złotym dużym krzyżem w drobniutkich rączkach. Greta domyśliła się, że obraz przedstawia matkę Jezusa Chrystusa, która w jej wyznaniu nie była otaczana szczególną czcią, i uświadomiła sobie wyjątkowe znaczenie tajemniczego snu. Zapewne zwiastował jakieś ważne wydarzenia w jej życiu. Wydał się jej teraz nieomal cudem. A po chwili to, co było Grecie pisane, zaczęło stawać się rzeczywistością. Kiedy młoda para zbliżyła się do ołtarza, świątynię wypełnił ten sam tenor, który dziewczyna słyszała w konarach dębu. Pieśń dla nowożeńców zdawała się dosięgać niebios, a Greta, odwróciwszy się, ujrzała na chórze smukłą sylwetkę młodzieńca ze złotą falowaną czupryną. Po nabożeństwie, kiedy półprzytomna wyszła z kościoła, dostrzegła wlepione w nią błękitne oczy młodego kantora – tak podówczas nazywano organistę. Pierwsze spotkanie oczu młodych zapoczątkowało wielką miłość. Greta coraz częściej wymykała się do katolickiej świątyni, by na dziedzińcu kościelnym zobaczyć się z Wojtusiem organistą, protegowanym pani Urszuli Dembińskiej, która go wykształciła, odkrywając muzyczny talent syna przysuskiego handlarza końmi. Młodzi siadywali na przykościelnej ławce i trzymając się za ręce, mówili o swej miłości i przyszłym ślubie. Rychło jednak wieść o głębokim uczuciu chłopca i dziewczyny dotarła do uszu ich rodzin. Oburzali się

rodzice Wojtusia, dąsał ojciec Greta, którego bolało również to, że ukochana jedynaczka oszukiwała go, tłumacząc swe znikanie z domu łażkowaniem po ogrodach.

– Czyż to polskich urodzawych dziewcząt wokół mało? – dręczyli młodego kantora ojciec i matka. – Niemkę chcesz brać, córkę jakiegoś lutra, bezbożnika?

Ojciec Greta wypominał córce, że chce zdradzić swoją wiarę, opuścić najbliższych, stare obyczaje podeptać. Wówczas błękitne oczy Greta zamieniały się w jeziora płaczu, dziewczyna zaczęła chudnąć i chorować. Wojtuś zamknął się w sobie, błękał się samotnie po polach, do rodziców prawie się nie odzywał. Widząc nieszczęście młodych, starsi ustąpili. Greta i Wojtuś spacerowali teraz uśmiechnięci to po polskim, to po niemieckim rynečku jako oficjalni narzeczeni, a potem wzięli ślub w kościele katolickim. Młoda Niemka bez żadnych oporów odstąpiła od swego wyznania, gdyż była przekonana, że ta miłość ponad życie jest darem Matki Boskiej i spełnieniem woli jej własnej mamy. Greta z Czermina i Wojtuś organista przeżyli wspólnie wiele szczęśliwych lat. Dochowali się licznego potomstwa i stanowili wzór przykładowej pary małżeńskiej. Ich związek zapoczątkował proces polonizacji mieszkańców Czermina, bo oto coraz więcej dziewcząt z niemieckiego miasteczka poślubiło chłopców z Urszulina i wielu czermińskich młodzieńców szukało żon po polskiej stronie. Krew germańska wsączyła się do słowiańskiego krwiobiegu, a po mieszkańcach Czermina zostały w Przysusze i okolicach tylko nazwiska – Frydrych, Szubert, Najman. Ponoć w miejscu dawnego niemieckiego rynku, na placu Kardynała Wyszyńskiego, gdzie w wyniosłej figurze króluje Matka Boska, przysuszenie – nocne marki widują czasem późną porą dziwną parę – kobietę i mężczyznę w strojach z dawnej epoki. Piękni, podobni do siebie jak dwie połówki jabłka, siedzą przytuleni na ławeczce wśród klonów, uzmysławiając współczesnym, że miłość jest wiecznie młoda i nieśmiertelna.

Danuta Skalska

Z tomu *Wyspy na jeziorach czasu*, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON 2”.

Eskapada

(Na kanwie biografii Józefa Andrzeja Grochowiny)

Pokój był podobny do lamusa. Leżały w nim bezładnie porozrzucane ubrania, na podłodze walały się skarpety, a obok piętrzył się stos starych gazet, książek i kaset z nagraniami. Gospodarzył w nim Michał Bójko. Sądząc z wyglądu, można było mu dać dwadzieścia trzy, najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ubierał się w obciste jeansowe spodnie, czarny, zapinany pod szyją paltocik, nosił starannie uczesane długie włosy. W chwili inicjalnej siedział właśnie na tapczanie z podwiniętymi nogami i gryzł się z opornym materiałem słowa. Wyrzucał przed siebie palce prawej dłoni, licząc sylaby, gdyż pisał piosenkę. Na niskim blacie stolika, o który opierał lewą dłoń, stało radio tranzystorowe. Buchały z głośnika gorące rytmy bigbitowe.

Michał nie należał bynajmniej do nieopierzonych miłośników piosenki. Pisał tekst nie po raz pierwszy. W miasteczku, z którego przywędrował, publiczne uznanie zdobyła mu piosenka o miłości w tulinie. Śpiewał ją zespół „Tacy mali”. Potem w wielkim tyglu Warszawy postawił na duet „Sam na sam”. Napisał dla niego szlagier o malinowym gaju, gdzie młodzi gruchają. Wszystkim się podobał, a autor tekstu mógł słyszeć swoje nazwisko nawet na festiwalu w Opolu. Stał się zawodowcem w swoim fachu. Przedał się uczciwie przez wstępne szczeble kariery, usadowił na dobre w branży. Wyrzucanie przed siebie palców to wprawne ruchy maestra, który usilnie dba o crescendo, wzmagające ekspresję i siłę wypowiedzi.

Autor wywodził się ze wsi. Od czasu, jak powiedział ojcu, że ten śmierdzi nawozem, ze wsią zadarł. Rodzic wyrzucił go z domu, gdy mu o tym nawozie powiedział, ale jakiś sentyment mógłby w Michale osadzić się: gdzieś tam wieś straszyla go siedliskiem upiorów, w którym żywi przebywają jak na wygnaniu. Pozostała mu matka. Mógłby do niej odwoływać się w ciepłych wspomnieniach, z nią utożsamiać wieś, lecz narastało w nim przekonanie, że tylko miasto dostarczało poloru i ogłady. Swoje pierwociny na wsi, gdy był pępkiem mniejszym od krzaka jeżyn, wspominał ze złością i rozsierdzeniem. O rodzicach mówił, że mieszkają gdzieś tam w głuchym terenie, wieś rodzinna była zadupiem. Niechętnie wracał myślą do tych dawnych dziejów.

Jak już zerwał z gniazdem, myśl jego obracała się najpierw wokół tego, jak by się zagospodarować.

Ojciec przysyłał mu małe kwoty, gdy jeszcze uczył się w liceum plastycznym w małym miasteczku. Kiedy powędrował na studia do Warszawy, został skazany na samowystarczalność (w tym mniej więcej czasie powiedział ojcu, że pachnie nawozem). Otrzymywał stypendium, które równoważyło kosztą stołówki, resztę pieniędzy musiał dorobić własnym sposobem. Zaczął pisać skoczne piosenki. Wynałazł na Bielanach stancję z cichym pokoikiem, przywoził tutaj swoje ciuchy, pisma, kasety, przede wszystkim radio. Zamieszkał u starszej pani, mającej na utrzymaniu chorą córkę. Nikt do niego nie zaglądał, mógł pozwolić sobie na rozgardiasz (artystowski bałagan), siedział sobie na tapczanie, wyrzucał palce do przodu, licząc sylaby w wersetach, pisał. Zatrzymał się u babci w prowizorce, na tyle bowiem było go stać. Nie znosił tej dziupli, w której mieszkał, denerwowała go nuda i cisza. Szukał muzyki na falach i harmonii w bezkresie.

Z domem zerwał, ale pretensje do rodziców zgłaszał bez ustanku. Miał za złe ojcu, że się nazywa Bójko. Jakże to banalnie i zgrzebnie brzmi: Bójko. Żeby to było Bojanowski albo Bojanowicz, to co innego. Tymczasem wszyscy mogli rozeznąć się, że nazwisko Bójko pochodzi od słowa „bójka”, którą mogą toczyć pastuchy gdzieś za opłotkami chat. Wstydził się tego nazwiska, które wyraźnie wskazywało na proveniencję ludową. Zimnym potem oblewał się, gdy czasem wypsnęło mu się słowo gwarowe. Ze wsią co prawda dawno zerwał, ale żargon wsiowy głęboko w nim zapuścił korzenie. Miał pretensje do domu, ile razy wymówił: „ty, nie machaj cepami” zamiast „nie ruszaj rękami”, albo „rusz no baniakiem” zamiast „zastanów się”. Wtrącał czasem niespodzianie, ni przypięt, ni przytętał, przysłowia ludowe, jak to: „każdy sobie rzepkę skrobie”. Nigdy nie był pewien poprawności wypowiedzenia się.

Naleciałości żargonu uwydatniały się z całą wzmocnością na studiach. Rodzice jego mazurzyli, on zaś kształcił się w mowie literackiej. Miał trudności z właściwym wymawianiem wyrazów, używał języka kloszarda, zdarzały mu się przejęzyczenia. Wszystko to kładł na karb tradycji rodzinnej. Miał świadomość, że urodził się wypierdkiem drugiej gildii i bał się, panicznie się bał posądzenia o prowincjonalizm. Aby odpędzić od siebie pomówienie o tak płaską konduite, jak pochodzenie i maniery wsiowe, zerwał najpierw z rodziną, potem postanowił urządzić się z wielkomięjska. Zarobił trochę pieniędzy na piosenkach i kupił sobie ciuchy z Peweksu. Ubierał się zawsze starannie, można powiedzieć: przesadnie. Paltocik i spodnie musiały

dokładnie przylegać do ciała, buty nosił z weluru, pod szyją zawiązywał apaszkę. Filigranowa sylwetka dodawała powabu ubiorowi. Gdyby nic nie mówił, mógłby uchodzić za światowca wykrojonego z żurnala mód, trzeba było jednak odzywać się. W trakcie mówienia wychodziły z niego przywary i naleciałości potocznego języka. Okazywało się, że mógł wywodzić się gdzieś z zapadłej wioski.

Za wszelką cenę chciał się wyrwać z grona prowincjuszy, pragnął swoich bliższych i dalszych znajomych olśnić, zaimponować im, zostawić gdzieś na bocznych manowcach życia, takich małych, miłątkich, znikomych. Zamierzał przeistoczyć się w demona, który wypiętrzył się ponad pospolitych głupków i śmiesznych płazów. Marzył, aby móc popatrzeć na wszystko z góry. Schował się głęboko w metrażu pokoiku, rozmyślał, dumał i bębnił po stoliku palcami, wybijając rytmicznie takt. Wkładał w pisanie całą siłę woli, zaparcie, żar i nadzieję na to, że wyfrunie wysoko jak Atena z głowy Zeusa. Myśląc o przyszłości, kochał się w sobie jak Pigmalion w swej rzeźbie, Galatei. Wyobrażał się sobie jako półbóg, latający nad pospółstwem, nawozem historii, który bardziej śmierdzi niż w zagrodzie na wsi. To nic, że jego marny pokoik wyglądał jak klepisko w stodole, zarzucone papierzyskami, bielizną i garderobą, że tępy odór nikotyny wsiąkał w ściany, ubranie, firanki; on bujał w obłokach wyzwolony z codziennych niepokojów o ład i schludność. Był ponad przyziemność. W trakcie pisania był ponad wszystko. On chciał, aby ten stan wywyższenia zaciągnął się na całe jego jestestwo, rozsnął się, rozprzestrzenił. Kipiła w nim gorączka.

Aby sięgnąć najwyżej, postanowił działać metodycznie. Nie mając stałego zameldowania, założył sobie skrytkę pocztową. Trzy razy w tygodniu chodził na pocztę sprawdzać, czy nie nadeszła korespondencja. Jakoś nikt nie kwapił się z pisaniami do niego. Nie dawał za wygraną. Czytał pilnie anonse w gazetach, które podawały wiadomości o występach zespołów i piosenkarzy. Przed każdym koncertem zachodził za kulisy, gdzie rozpakowywała się kapela czy solista. Zamawiał sobie rozmowę. W trakcie spotkania z estradowcami podsuwał im pod oczy plik rymowanych wierszyków, aby je sprzedać na pniu, słowem, wtrzyńić tekst do repertuaru zespołu czy piosenkarza. Zwykle otrzymywał adres od wykonawcy, czasem numer telefonu. Kontaktował się z piosenkarzem po upływie pewnego czasu. Namawiał do kupienia tekstu, targował się, zręcznie tłumaczył pointę swego utworu, doradzał, jak wydobyć z niego melodyjność, doradzał projekty co do kompozycji. W kontaktach osobistych

był elegancki, a nawet wytworny. Poruszał się za kulisami jak pierrot: swobodnie, z szykiem. Mało się odzywał, aby nie zdradzić, że miał trudności z wypowiedaniem się.

W pierwszych działaniach Michała Bójki obliczona została skrupulatnie ofiara, jaką gotów był złożyć w darze Pegazowi. Była nią śmieszność. Jakże niepoważnie wyglądały jego zabiegi o umieszczenie piosenek na liście tych, które wykonują orkiestry z branży gastronomicznej. Chodził od restauracji do restauracji, od kawiarni do kawiarni, polecał utwory, które nigdy nie stały się przebojami ani nimi nie miały zostać. Kierownicy orkiestr przyjmowali go z niechęcią. Zbywali byle czym. On praktykował te podchody w nadziei, że uszczknie trochę tantiem. Tak w rzeczywistości było: kierownicy dla świętego spokoju wciągali piosenkę na listę granych w zakładzie gastronomicznym, nie troszcząc się o jej faktyczne wykonywanie. Znosił też swoje teksty do gazet. Redaktorzy, acz niechętnie, akceptowali je. Musiał przy tych zabiegach narażać się na nie stosowne uwagi, niegrzeczności i utarczki słowne. Wychodził ze starego przesłania, że *pecunia non olet*, wszystko trzeba sprzedawać, aby coś kupić. Funkcjonował jak wolnokonkurencyjna firma: sam pisał, reklamował, sprzedawał.

Po wylansowaniu wielkiego przeboju o gruchaniu w malinach, gdy już siedział w stolicy, zapisał się do ZAiKS-u. Legitymację członkowską długo głąskał rękoma, żeby oswoić się z nową sytuacją. Potem pokazywał ją znajomym, dumnie potrząsając zdjęciem z ostemplowanym na nim wrębem. Mocniej niż kiedykolwiek zacisnął kurtkę na torsie, podciągnął apaszkę. Ponieważ znajomych miał niewielu, poszedł sam upić się do restauracji. Wypił dwie setki wódki i puścił pawia. Kelner kazał zapłacić sobie za sprzętanie, tak więc uczta ku uczczeniu legitymacji wypadła blado. Zapłacił, ale postanowił powetować sobie tę stratę. Zamierzył sobie, że dopnie górnych tantiem w swojej branży. Należało chyżej wystukiwać rytm palcami, pisać, sprzedawać i pisać. Cały świat zawojować czterowierszami z refrenem!

Prawa rynku są luźne, ale bezwzględne. Kto nie nadaża za koniunkturą, ginie z pola widzenia, przepada. A jednocześnie nigdzie tak, jak na tym rynku, nie sprawdza się powiedzenie *time is money*. Nie wystarcza wyrzucanie palcami, jak w dziecinnej wylizance *John Brown had a little Indian*, trzeba rozpierać się. Tu postawić setkę, tam wypić kawę, przymilić się, pogadać. Michał Bójko trafił na bossów w dziedzinie piosenki, prawdziwych rekinów, ale oni też byli do zdobycia. Mieli słabości.

Pokonując bariery rynku, skonstatował, że dobry tekst to połowa sukcesu, druga połowa zależała od kontaktów z kompozytorami, piosenkarzami, tekściarzami. Nie mógł zaniedbywać znajomości. Tekściarze wskazywali mu drogę, kompozytorzy zapewniali chodliwość utworu, piosenkarze otwierali okno na świat. Ten świat należało zdobyć.

Michał szybko przyswajał sobie terminy i obiegowe liczniki swojej branży. Wiedział z czasem, co znaczy „top twenty”, „psychedelic rock”, „metallic sound”, „country and western”, „soul music”. Operował tymi pojęciami swobodnie, wzbogacał swoje niebogie słownictwo. Z lubością nuworyszka stosował te słowa w codziennej mowie.

W chwili gdy Michał Bójko siedział nad wierszem, oparłszy się o blat stolika i wyrzucał przed siebie palce, aby zachować rytm w wersach, w tej właśnie chwili miał już za sobą pierepałki ze studiami. Ktoś usłużny pomógł mu w pisaniu pracy magisterskiej, egzaminy pozdawał za drugim i trzecim podejściem, otrzymał dyplom. W tej chwili, gdy pisał wiersz, miał za sobą przygodną a nieszczęśliwą miłość do rozwiedzionej aktorki. Już doskonale opanował branżowe pojęcia. Stos płyt z nagraniami, śpiewniki i wydawnictwa muzyczne, kasyety – to był materiał wieńczący jego dzieło, którego dokonał. Właśnie pisząc słuchał radia, wyczekiwał, że oto pojawi się na antenie jakiś jego nowy przebój. Zresztą chciał być na bieżąco z całą listą nagrań, z wszystkimi nowymi piosenkarskimi utworami. Pochłaniał muzykę bez ograniczeń. Ale Bójko był teraz zmęczony; ruchy wykonywał ospale, oczy zasłaniała mu pomroka. Odsunął kartkę z tekstem, pogładził się po kruczonych długich włosach, położył na tapczanie, ręce oparłszy o brodę. Zadumał się. Trzymał ze sto, a może i dwieście tekstów w rezerwie, na wypadek dogadania się z nabywcą, a tu naszła go melancholia z powodu jednej piosenki. Coś mu nie szło.

Michał Bójko rozłożył się wygodnie na tapczanie, obmyślając, gdzie by teraz uderzyć. Nieosiągalnym dla niego był zespół „Dwa na dwa”. Ten zespół pojawiał się na antenie co i raz. U prezen-terów miał szczególne powodzenie. Gdyby tak tu pójść – myślał – opanować jego repertuar, miałyby uznanie zapewnione. Chwała jego, Michała Bójki, przekroczyłaby granice kraju. Obmyślał dalsze szczyble sławy. Na widnokresie estrady pojawił się piosenkarz Zagajny o matowym, aksamitnym głosie. Jeśliby wzmocnić jego repertuar własnym tekstem – myślał – sukces miałby murowany. A tantiemy za teksty poszłyby wysoko w górę. Zamarzył sobie wysoki profit i liście laurowe. Jakoś wszystko,

zmierzając dobrym tropem, nie nastarczało jego ambicjom. Sięgał wyżej, a ciągle migotał przed nim ten punkt, który wydawał się nieosiągalny, a godny najskrytszych uniesień.

Gdy tak rozmyślał, rozciągając się na kanapie, przecesał uwagą grono dawnych znajomych, które wyprzedził na niwie chwały. Przebiegł refleksją znakomitości, które poddały się jego tekstom. Skierował myśl ku tysiącom rozwrzeszczanych młodzieńców, jacy wpadli w amok egzaltacji z powodu jego piosenek. Przywołał obraz setek dziewczyn, które płakały na jego widok. Przestrzeń przed nim jaśniała, on dryfował ku gwiazdom na fali uwielbienia. Błyszcząca na nim korona z brylantami. Na słowa zachwytu odpowiadał skinieniem, krótkim ruchem głowy. Pędził ku niebu, a świat pod nogami karłał, mizerniał; niegodzien był odwrócenia głowy, skierowania uwagi. Michał Bójko pozwolił unieść się myśli, bo też zaszczyty go nie omijały. Płynął na fali.

Zerwał się niespodziewanie z tapczanu. Nawiedziły go skrupuły, że nie zjawił się od pięciu lat w domu. Bujał wysoko, gdy tymczasem znamiona chwały musiały kryć się gdzieś niżej: na wsi. Czy na wieś dotarły oznaki jego powodzenia? – oto pytanie, które zaprzątnęło jego uwagę. Co o nim teraz, gdy tak wysoko szybuje, mówi wieś? Jak on tam w oczach prostaków wygląda? To nic, że za sobą ma dopiero początki kariery, na dnię codzienności musieli słyszeć o nim przez radio, w telewizji oglądać zespoły wykonujące jego piosenki, zetknąć się z jego nazwiskiem podawanym z estrady. Wiedzą sąsiedzi, na czym kto siedzi. Zdarzyło się przecież, że urodził się Bójką, ale on jest Bójko nad Bójkami. Taki on teraz nowoczesny, wyedukowany i wyrafinowany, że „dno” go musi przyjąć z estymą. Rozmyślając, zastanawiał się, dlaczego by nie zjawić się w miejscu urodzenia? Zjechać jak księżę udzielny i urządzić eskapadę głównym gościńcem, co ciągnie się obok chałup. Przemknie jak tuz, a w oczach ujrzy zachwyty kobiet i chłopów. Że też nie skorzystał dotychczas z tego przywileju sławy?

Wybrał się autobusem do Malenic, wsi rodzinnej. W domu nikogo nie zastał, drzwi zaryglowane nie chciały puścić, czekał przed chałupą do zmroku. Zapadły ciemności, na podwórzu zjawiała się matka, gnająca krowy z pola. Dostrzegła, że coś poruszało się przed progiem. Wegnała krowy truchtem do obory. Michał Bójko dystyngowanie czekał. Matka wyciągnęła klucz ze skrytki i podeszła do domu. Gdy już była blisko, zauważyła, że przed drzwiami czekał na nią syn.

– O, syneczek nam zjechał – zagadała radośnie. – Tyli czas, tyli czas... – biadoliła. Zbliżyła się do niego.

– Podjąłem tę ekspedycję na własne ryzyko – odparł Michał Bójko, niekontent z rezerwy, jaka zaznaczyła się w głosie matki. – Wiem, że nic dobrego mnie nie czeka.

– I co ty teraz porabiasz?

– Chodzę po świecie, edukuję się i piszę. Tworzę piosenki.

Michał Bójko zdziwił się, że matka postawiła mu tak pytanie, jakby nie wiedząc, kim on jest. Odpowiedział, bo nie był pewien, czy przypadkiem nie żartuje. Matka przypatrywała mu się.

– Jednym słowem, piosneczki układasz? – zagadała retorycznie.

– Ano tak.

– Nasza sąsiadka, Zofka, też układała piosneczki... takie na wesela, chrzciny, poprawiny... zbikowała do cna.

– Co to mnie obchodzi? – warknął nieprzyjaźnie Michał Bójko. W jego głosie wyrażała się dezaprobatą dla słów matki. Ale matka zagadnęła:

– Co z tych piosneczek będziesz miał? Przecież z tego nie wyżyjesz?

– Wyżyję, i to dostatnio. Niech się mama nie martwi. Tylko trzeba umieć pokombinować.

Matka się zdziwiła, ale nie dawała za wygraną.

– Ale co to za życie – zamarudziła. – Wiecznie trzeba myśleć, latać jak kot marcowy, nie dosypiać...

– Niech już mama nie przesadza.

Gdy tak rozmawiali, na gościńcu rozległ się terkot furmanki. Potem na podwórku dał się słyszeć głos: wio, wiśta. Przyjechał ojciec. Odprzęgnąwszy konia od wozu, nakarmił go sianem, po czym udał się do domu. Ujrzał elegancko prezentującego się syna.

– Witaj – zawołał przy progu.

– Dzień dobry, tato.

Ojciec był w dobrym humorze, nawet znać było, że jest zadowolony z przyjazdu syna. Dawne niesnaski gdzieś ulotniły się.

– Ja tatę przepraszam za to niegdysiejsze paplanie, no za ten nawóz – rzekł pokornie Michał Bójko.

– Ja tam tego nie pamiętam. Przeszło – minęło. Zapadło głucho milczenie.

– Nie o tym chciałem pogadać – zaczął ojciec.

– Mnie nie obraziło, żeś mnie z nawozem zmieszał, ale wstydzę się jednego przed wsią, tego, żeś darmozjad. Miast do uczciwej roboty, ty się uganiaś za piosneczkami. To tyle, co do ciebie mam. Powtarzam: wieś się śmieje za te twoje... no jak im tam... kompozycje. Nieważne, że coś się pisze, liczy się, jak się pisze.

Michała Bójkę jakby coś kolnęło. Zapłonił się i usiadł w domu ciężko a niezgrabnie na krześle. Przez cały wieczór był mrukliwy. Źle piszę? – pytał sam siebie. To tu nie w modzie jest cały ten jazz i ów luz blues? Gotów był schować się pod stół, ale nauczył się szukać oparcia dla swych zajęć zawsze w najwyższej instancji. Do kogo miał się udać. Kolegów w Malenicach nie miał, sąsiadom był obcy, może porozmawiałby z sołtysem, żeby odebrać należne sobie hołdy. Zależało mu na opinii miejscowych, w końcu oni go wychowywali i wykreowali na wielkość w skali niemal światowej. Już wie. Nie będzie się napraszał u nikogo, żeby zobaczył w nim bożyszczkę i idola. Przejdzie się głównym traktem wsi z radiem tranzystorowym, puści na całego muzykę i rozbudzi powszechną zazdrość. Nie za to, że posiada małe radyjko, bo te mają i niektórzy wsiowi, ale że to radyjko poniesie przez wieś on, Michał Bójko. Wszyscy pomyślą, że płyną na falach jego piosenki, a jeśliby nawet poznali, że to nie jego piosenki, to są jego kolegów po fachu, mistrzów piana i belcanta. Tak przemyślawszy sprawę, a to w celu powierzenia swej sławy na szczyty całego kraju, u podłoża którego czuć będzie jego wieś, wyniósł się z aparakiem radiowym – o późnej już porze – na główny trakt Malenic. Szedł, szedł coraz szybciej i nerwowo, a głośnik coraz bardziej charczał. Była sobota, godziny po pracy w polu, a we wsi ani żywego ducha. Nikt nie wyszedł z opłotków, światła gasły w oknach, psy ujadły. – Złe to miejsce dla mnie, nikt mnie nie pamięta, nikt nie chce słuchać mojej muzyki. A może się mnie boją? Za to, że ja taki teraz głośny i wymowny. W pewnej chwili usłyszał w jednej z chat piosneczkę, jaką pewnie Zocha wyśpiewuje na chrzciny. Przytłumił pokrętko głośnika, wywinął się na pięcie i zaczął wracać z rezygnacją. Zgasił ze złością radio, Zocha śpiewała. Nazajutrz bez słowa wypuścił się do swego mieszkania, gdzie wyrzucał palce do przodu, licząc sylaby własnej pieśni. – A jużci – myślał po dawnemu, że Zośka wystąpi w telewizji.

Stanisław Stanik

Słowo jak biała flaga

POJĘCIA

patriotyzm poświęcenie bohaterstwo
waleczność niepodległość
śmierć
misja pokojowa

nawet misja pokojowa
niesie cierpienie samotność
czasem śmierć

gdyby człowiek
był bardziej człowiekiem
kosztem zbrojeń
urastałby
pokój globalny dobrobyt

faluje na wietrze
biało-czerwona myśl
jak duch poległych
splamiony krwią
jak czerwone maki pod Monte Cassino

twarz kwiatu
nazwiska wypisane
pamięć brzemienna

wyeksmiłowani na drugą stronę światła
śpiący w białych plamach
grobach nieznanego żołnierza
matczyńskich zamyśleniach
łzach ojcowskich

nieobecni
stają do raportu

nad moim domem helikopter
przedstawiciele władz państwowych
przypięli sobie sztuczne skrzydła

odprawiają grupę żołnierzy
na misję pokojową

drżą szyby w oknach
drży myśl o przyszłość

echo odprawy niesie się

po lesie
po pobliskich ulicach

odleciają będą stać na straży pokoju
w miejscach zagrożonych agresją

byle cali i zdrowi wrócili
zawisa myśl
prywatna i państwowa

i odfrunął metalowy ptak
a wrażenia rozhuśtały serce

tkany misternie spokój
w konarach dojrzewa światło
myśl przebija bezkres

sekretnie

w lesie mieszanym
szepczą drzewa
o brzozie która się złamała
chcąc zatrzymać zamortyzować
lot rannego ptaka

szepczą o drzewie Krzyża
co świętym się stało

o krzyżu brzozowym
pośród poszycia leśnego
o czaszkach przedziurawionych
przestrzelonych ciałach
o guziku z orzełkiem
sercach i mózgach jak skała

o tym szepczą co podczas wojen
że Ziemia nasza piękna
strojona kwiatami
ciągle chłonie krew ludzką
broczy ranami co zadaje człowiek
zwalczając człowieka

szeptu szumem niekiedy
prawie buntem
w ogromnym zdziwieniu
jakby krzyczą do nieba
unosząc konary

Boże
wetknij w człowieka pomysł
na bezkrwawe międzyludzkie plany

Imię Ich – Czterdzieści Troje

*Pamięci 43 żołnierzy Powstania Styczniowego
poległych w dniu 28 lutego 1863 roku
w bitwie w okolicach wsi Ewelinów*

Imię Ich Czterdzieści Troje –
mieszkańców zbiorowej Mogiły
miejsca zbrodni i chwały
Synów Ojczyzny –
Polski której nie było od trzech pokoleń

Ale Oni wierzyli
i każdy z Nich otrzymał na drogę
znak krzyża
Więc poszli w imię Boga i Ojczyzny
w imię przodków i potomnych
w imię Honoru

Doszli aż tutaj
rozłożyli obóz
a noc Ich okryła śmiertelnym całunem
Ale tego jeszcze wieczorem nie wiedzieli
kiedy kładli się spać
nie wiedzieli że to ostatnia noc w Ich życiu
ostatnie sny które śnili...

Potem był blady zimny świt
ostrzegawczy okrzyk straży
chrzest lodu pod butami zdradziecki
i wrzask rosyjskich siepaczy
A byli już tak blisko rzeki –
już prawie się wymknęli
już prawie uwierzyli
że to jeszcze nie teraz przyjdzie umierać
choć śmierć nie była Im straszna

Zginęli prawie wszyscy
za Matkę ukochaną –
Ojczyznę
Ale tak naprawdę
wciąż żyją
bo nie umarli w naszej pamięci

Powoli stają się nieśmiertelni
tak jak nieśmiertelna jest Polska
o której śnili w ostatnią noc

Na imię mają – Czterdzieści Troje...

Narodziny wiersza

Z ofiarowanej mi przez ciebie róży
Rodzi się wiersz-kwiat doznań

Rozkosz płatków ogromnieje w ksiściach słowa

Balansowanie

Rozmowa z tobą to spacer po linie
Czasem na niej tańczę

Ale wystarcza jedno twoje nieopatrzne słowo
I tracę równowagę

Ostrza słów

Moje słowa są jak ostrza obosieczne
Gdy próbuję cię zranić to kaleczę siebie

Tabliczka marzenia

Słowa nas dzielą zamiast łączyć
Wciąż mnie zwodzi tabliczka marzenia

Zacznę liczyć na palcach
Może wiersz uskładam – uciufany substytut zbliżenia

Głośnie milczenie

Pomiędzy nami trwa milczenie
I ogromnieje w braku słowa

Czas walczy z ciszą

Ja wstuchana w bezdźwięk
W bezmiarze nie-mych zmagam

Prolog

Świtało. Brzask na niebie rozpraszałby ciemności zapewne prędeż, gdyby nie ciężkie brudnoszare chmury. Marcowa pogoda, jakby nie mogła się zdecydować, czy ustąpić nadchodzącej wiosnie, czy też dalej wiernie służyć zimie, której czas nieuchronnie się kończył. Trwała jeszcze godzina policyjna, do jej końca pozostało około trzech kwadransów, więc ludzi na ulicach było niewielu. Grupka hałaśliwych oficerów, wracających niechybnie z nocnej sobotniej popijawy, kilka patroli żandarmerii, pojedynczy cywile mający zapewne przepustki ze względu na pracę w miejscach istotnych dla Niemców.

Pod ścianami domów jednej z bocznych ulic, położonej niedaleko centrum, szybkim krokiem przemykał się młody mężczyzna. Postawiony kołnierzyk wytartej kurtki osłaniał jego policzki przed chłodnym wiatrem. Samotny przechodzień szedł żwawo, rzucając przy tym baczne spojrzenia na boki, jakby był świadomy zagrożenia związanego z zakazem poruszania się bez specjalnego zezwolenia. Prostopadłą ulicą maszerował dwuosobowy patrol Schupo, pilnujący okupacyjnego porządku. Dowódca patrolu, młody rottiennführer, o dość odrażających rysach i twarzy pełnej buty, typowy przedstawiciel prymitywnych übermenschów, opierał obie ręce na przewieszonym przez szyję pistolecie maszynowym MP 40, popularnie nazywanym Schmeisserem. Pół kroku z tyłu dumnie kroczył, z wyglądu o kilka lat starszy sturmmann, niosący na lewym ramieniu K98, przepisowy karabin Wehrmachtu.

Znajdowali się na kursie kolizyjnym z samotnym mężczyzną, który oczywiście nic o tym nie wiedział. Dalej trzymał się w cieniu ścian domów i podążając uparcie do przodu dochodził właśnie do skrzyżowania dwóch niewielkich ulic. Niemal w tym samym momencie do przecięcia dróg dotarł policyjny patrol. Rottenführer natychmiast zauważył przechodnia.

– Halt – wrzask Niemca przeciął poranną ciszę. Ten, do którego odnosiła się ta komenda zrobił jeszcze kilka szybkich kroków, jakby zamierzał uciec, ale najbliższe domy pozbawione głębokich bram nie dawały szans ukrycia. Znieruchomiał, stając plecami do muru. Patrolujący zbliżyli się

i dowódca patrolu oburącz pchnął zatrzymanego na ścianę tak silnie, że ten grzmotnął plecami o mur. Po sekundzie drugi z Niemców uderzył go otwartą dłonią w twarz. Dowódca patrolu stanął tuż przed chwiejącym się na nogach człowiekiem, zionąc przesyconym alkoholem oddechem wprost w jego twarz.

– Verfluchte Scheiße! – zaklął wulgarnie – nie wiesz, że jest godzina policyjna? Co tutaj robisz!?

– Ja mieć dokumenty. Mogę chodzić w noc. Ja wiedzieć, że jest przepis – prymitywna niemczyzna zatrzymanego, wypowiedana na dodatek cichym, drżącym głosem rozdrażniła rottiennführera. Rąbnął zatrzymanego ręką Schmeissera w żołądek. Drugi z żandarmów wrzasnął – Papiere, sofort – wyciągając przy tym rękę. Indagowany sięgnął do wewnętrznej kieszeni paletka. Wydawał się rozdygotany, co sprawiało wyraźną sadystyczną przyjemność oprawcom. Może dlatego nie zauważyli, że mimo wyraźnego widocznego przerażenia, przez jego twarz przemknął ledwie widoczny, ale jednak zły, a może triumfalny, uśmiech. W dłoni osaczonego mężczyzny pojawił się jakiś dokument. Sturmmann chwycił go, brutalnie wrywając z ręki kontrolowanego przechodnia. Jednak ledwie spojrzał na trzymany kawałek papieru, zmienił się na twarzy. Z zaciśniętymi wargami i bez słowa podał legitymację dowódcy patrolu. Jeden rzut oka na dokument upewnił rottiennführera, że stało się coś bardzo złego. Na górze okładki widniały tylko cztery duże litery, napisane ozdobnym gotykiem. To właśnie ta tetrada, układająca się w napis RSHA, oznaczający Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy sprawiła, że rottiennführer zdał sobie sprawę z nadchodzących kłopotów.

Dalej było jeszcze gorzej. Stylizowany orzeł, popularna gapa, trzymająca w szponach swastykę, to było coś normalnego na niemieckich dokumentach, ale pod nią gotycki napis informował, że okaziciel dokumentu pracuje w SD Ausland, czyli w Departamencie VI RSHA, zajmującym się wywiadem zagranicznym. Zimny dreszcz przebiegł po plecach rottiennführera. Ręka trzymająca dokument zaczęła drżeć. Jednak ciągle jeszcze miał nadzieję, że sprawa może skończyć się po-

lubownie, że właściciel dokumentu jest jakimś urzędnikiem niższego szczebla, albo może pod-oficerem, z którym dałoby się dogadać. Otworzył dokument i wtedy świat zawirował mu przed oczami. Ze zdjęcia patrzyła na niego podobizna człowieka, niewątpliwie tego samego, który stał pod ścianą, twarz człowieka w czarnym oficerskim mundurze. Na obu patkach kołnierзовych uniformu widniał pojedynczy, srebrny dębowy liść.

Standartenführer Otto Max von Lauritz, napis pod fotografią tylko potwierdzał to, co żandarm doskonale rozumiał patrząc na zdjęcie; przecież był obeznany z dystynkcjami oznaczającymi stopnie w SS. Teraz już obaj członkowie patrolu wiedzieli, że swoim zachowaniem popełnili błąd, niewybaczalny błąd, który może mieć dla nich bardzo poważne skutki. Rottenführer usiłował jeszcze ratować sytuację. Przybrał tak przymilny wyraz twarzy, na jaki tylko pozwalał mu strach i próbował podlizać się.

– Przepraszamy bardzo pana pułkownika. Pan tak młodo wygląda, a już pan należy do dębowców. Gratulujemy i...

– Halt's Maul – wrzasnął oficer wrywając policjantowi dokument z ręki. – Przynosicie wstyd temu mundurowi, który nosicie – teraz jego niemczyzna była oczywiście bezbłędna.

– Jeszcze raz najmocniej przepraszamy. Myśleliśmy, że to jakiś Polak. Pan przecież wie, że należy tych untermenschów uczyć porządku.

– Milczeć, słuchać i nie przerywać, kiedy ja mówię. Nawet jeżeli sprawdzacie podludzi, macie zachowywać się regulaminowo. Prawa niemieckie mogą, a nawet muszą być surowe, ale ja tłumaczyłem, że mam dokumenty i chciałem je pokazać. Nie dostałem szansy, a zamiast niej zostałem uderzony. Teraz widzicie, że swoje brudne łapy podnieśliście na oficera, i to wysokiego funkcjonariusza RSHA – tu von Lauritz przerwał na chwilę, upajając się ich strachem. Ale trwało to tylko chwilę. Postanowił zakończyć sprawę. Wyjął z kieszeni kartkę papieru i ołówek.

– Wasze dokumenty – wysyczał przez zęby. Podali mu je tak szybko, jak to było możliwe, biorąc pod uwagę ich przerażenie i trzęsące się ręce. Standartenführer nie spiesząc się spisał ich dane.

– A teraz słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzał. Punktualnie o dziesiątej zgłosicie się w komendanturze Schupo na Adolf Hitler Platz. Powiecie, że przysłał was standartenführer Otto

Max von Lauritz z RSHA. Ja ich wcześniej o wszystkim zawiadomię. Potem zostaniecie wysłani na front wschodni, tak szybko jak to będzie możliwe. Mamy marzec 1944 roku. Niestety bolszewicy posunęli się trochę za bardzo do przodu. Trzeba powstrzymać ich marsz. Skoro znudziło wam się życie w tym spokojnym mieście, jeśli zatęskniliście za bezkresnymi białymi równinami, za rosyjskim śniegiem i mrozem, to wasza pomoc w powstrzymaniu czerwonej hołoty przyda się bardzo. Zrozumiano!?

– Niech się pan standartenführer nad nami zlituje.

– Milczeć. To i tak łagodna kara. Po pierwsze zachowaliście się nieregulaminowo. Po drugie uderzyliście oficera. A po trzecie, może wam się zdawało, że tego nie zauważyłem, jesteście pijani. Tego już za wiele. Nie znoszę hańbienia niemieckiego munduru, jakiegokolwiek formacji by on nie był – von Lauritz zakończył przemowę, metodycznie złożył kartkę i wraz z ołówkiem schował do kieszeni. Odwrócił się na pięcie i już chciał odejść, ale nagle jakby sobie coś przypomniał.

– Aha, i jeszcze jedno. Nie liczcie na to, że ja blefuję. Jeśli o dziesiątej nie będzie was w komendanturze, nie pojedziecie na front wschodni. Zostaniecie po prostu rozstrzelani. Najszybciej, jak to będzie możliwe – i nie czekając na odpowiedź odszedł. Żandarmi trzasnęli obcasami, wyrzucili przepisowo ręce w górę i wykrzyknęli Heil Hitler. Ale von Lauritz nie zaszczycił ich ani słowem, ani gestem.

Bogusław Witkomirski

Z przygotowywanej do druku powieści *Skarb standartenführera*.

Jesień w Busku

Kuracjuszu, spójrz jak pięknie
wygląda zieleń uzdrowiska
w potokach złotego światła.

Wiemy, że lato żegna się z nami pogodnie.
Słońce hojnie wylewa strumienie radości,
jakby w tym roku miało nie być zimy ani chorób.

I chociaż diabeł mówi: chodź!
Będziemy razem narzekać na wszystko!
Śmieję się z tego!

Skontroluj swoje bramy i spiżarnie
i ufnie czekaj
na krzepkie Boże Narodzenie.

Próbne loty

Wybaczenie literatom, wędrownym ptakom
wychowanym pod sztandarami zimy,
gdzie karmniki przysypane śniegiem
mówią o przerwach w zaopatrzeniu.

Zabrakło wielkiej Obecności
i nie ma wiary, która góry przenosi.
Wszystko jest małe, skromne i o niczym,
skonstruowane z odpadków.

Skrzydółka naszej inteligencji twórczej
objają się i ranią o politykę kulturalną państwa,
lecz każda próba wybicia się ponad to
uruchamia lokalne dzioby i pazury.

Ze strachu, bo może grupa sponsorów się obrazi
lub ktoś wyrośnie niepotrzebnie jak chwast
przy drodze.

A świat ten zajęty jest robieniem interesów
z rekinami
i nie obchodzą go produkty nieistotne, chociaż
na początku było słowo.

Są słowa, których nie wolno mówić,
jeśli nie masz ich w swoim sercu.
W przeciwnym razie naruszasz
własny kapitał życia.

Idą złe czasy jak wataha zgłodniałych wilków,
wtedy natura kłamstwa zostanie obnażona.

Trąd przykryty kolorową maską
postępu i nowoczesności
rozpozna się jako zarazę

A fałszywe zaklęcia miłosne
i wszelkie słowa bez pokrycia
jako śmieci, które rozwieje wiatr.

Wrogowie

Tyranizują ją
własne złe słowa
i wyobrażenia.

Lęki – węże,
obawy – skorpiony,
strach – smok ognisty.

Wzywa nieszczęście, a potem
walczy
z dziką menażerią
w swojej własnej głowie.

Pochłania ją
żółtozielona topiel
zazdrosnego serca.

Wkracza
w czarny wąż wrogości.

Tam zмага się
z diabłem wcielonym
w zły światopogląd.

Za chwilę zaśnie
z nadzieją, że
odpłynie tam gdzie tylko
Cisza
i
Przestrzeń

Laudacja

Dziękuję cywilizacji
za komputery myślące za mnie
fabryki
markety
telewizję
i wirtualną rzeczywistość
Dziękuję za nadzieję
że mój pra-wnuk
nie będzie już
człowiekiem

* * *

Wiersze są jak dzieci
rodzisz je w bólu
długo kształtujesz
a potem
całe życie boisz się
że ktoś wyrzuci je do kosza

Fajne chłopaki

Widziałam dzisiaj
roześmianych żołnierzy
jechali na poligon
śpiewali

Fajne chłopaki
powiedziała kolorowa dziewczyna
do drugiej kolorowej

Będą strzelać, zabijać
rozmarzyła się grupka tysięcy
w czarnych skórach

Mały chłopiec
strzelił wyciągniętym palcem
w ich kierunku

Radość posiadania

Wieczorem klatki okien
są oświetlone
Z daleka widać
jak mieszkańcy
potykają się o dorobek życia
Cieszą się, że kolejna rzecz
zabiera im powietrze

Siwa pani otworzyła okno
chce uciec
od radości posiadania

Sylwester

Zaczyna się odliczanie:
Dziesięć – ona wymalowana zbyt mocno
Dziewięć – tamta w zbyt kusej sukience
Osiem – ta z dekoltem do samego pasa
Siedem – szara mysz tańczy go-go
Sześć – dziewczynka o oczach dojrzałej kobiety
które widziały już wszystko
5, 4, 3, 2, 1
I...



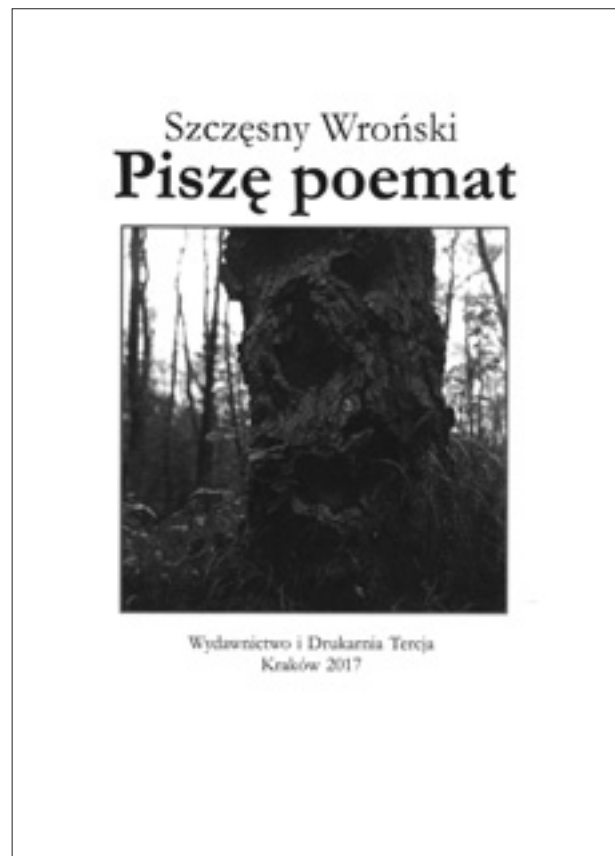
Na spotkaniu autorskim Uty Przyboś w kieleckim DŚT. Od lewej: Szczęsny i Barbara Wrońska, prowadzący Stanisław Nycząj i bohaterka wieczoru

Thank you

chciałem napisać wiersz
w komputerze bez internetu
by nie zagnieździł się w nim rak pustostowia
stada wypielęgowanych przez bliźnich wirusów
nie sprowadziły go do wymiaru elipsy co mogłaby przybrać
postać apokalipsy bo gdy przyrostek psy się wścieka
drapie pazurami w siatkę tocząc pianę coś tak upiornego dzieje się
ze światem gdy zwykle przyrostki przybierają postawę zasadniczą
a rdzeń i temat udają że ich nie ma

zabrałem się więc do prozy bo tej nic nie zatrzyma
i doznałem inspiracji być może ze źródła co zakasujący
pedalskie rękawy Ginsberg użalający się nad losem amerykańki
w domu mojej teściowej w kielcach otuliłem go kocem
po zjedzeniu placków ziemniaczanych *potato plates*
jadł ostatnio przed czterdziestu laty gdy żyła jeszcze
jego mama noemi z całą pewnością jestem w stanie
usłyszeć przez obłąkane przyrostki psów jego rozdzierający skowyt *moloch*
samotność brud kubły na dzieci i nieosiągalne dolary dzieci wrzeszczące pod
schodami chłopcy łkający w koszarach starcy płaczący w parkach
– to kawał dobrego oddechu – allen uśmiecha się do mnie
a ja wciąż przykrywam go kocem słysząc szept mięsistych warg
– thank you – jakby cały świat dziękował mi że jestem

Wiersz ten poprzedza w książce *Piszę poemat* najważniejszą jej część, jaką jest rozmowa rzeka Marcina Kania z autorem, w której obydwa, niechętni „wystudiowanej chronologii”, meandrują swobodnie po tematach. W pewnym momencie M. Kania proponuje „powrót do Kielc” z pytaniem: „czy zdarzyło się tutaj coś, co wzbogaciło Twoje życie twórcy”? Szczęsny odpowiada: „Kielce dla mnie to przede wszystkim Heniu Jachimowski. Od czasu spotkania w Teatrze STU nasza przyjaźń zacieśniała się z każdym rokiem. Przez ponad 30 lat służyliśmy sobie radą i pomocą, jak bracia, choć on, starszy o 13 lat, traktował mnie często wręcz z ojcowską troską. [...] Jego ciepły głos nieodmiennie odzywa się we mnie, kiedy czuję się zagubiony i nie wiem, co robić... »Nie czyń nic przeciw miłości...«. Czy coś więcej można powiedzieć? Od rębną kartą jest dla mnie Grzegorz Cuper, wnikliwy krytyk teatralny (pisał o moim spektaklu pt. *Skowyt i inne frazy* Allena Ginsberga) [...] Z jego pomocą zrealizowałem w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej większość spotkań z cyklu „Głośne czytanie dramatów”, które zainicjował poeta, krytyk, wydawca i mój przyjaciel Stasiu Nyczaj” [...].



Bluszcz

– Właściwie to mogę już umrzeć. Przeczytałam już wszystkie książki – starsza kobieta, mówiąca te słowa, uśmiechała się z ekranu telewizora jakoś tak enigmatycznie. Maria musiała przetrzeć szkła okularów, które trochę się przykurzyły przy lepieniu pierogów, żeby przyjrzeć się jej dokładniej. Twarz przeciętna ze śladami minionej urody, włosy gładko zaczesane nad czołem, trochę przypominała Mona Lisę z obrazu Leonarda da Vinci i nawet ten zagadkowy uśmiech błąkał się chwilami na jej ustach. Maria tak była pochłonięta twórczą pracą przy misternym obrębianiu pierogów, że treść wywiadu zupełnie jej uciekła, a zwróciła uwagę pewnością, z jaką kobieta z ekranu wygłaszała te pamiętne słowa. Patrzyła na nią z podziwem, a równocześnie z pewnego rodzaju dozą zazdrości, na głębsze refleksje nie miała chwilowo czasu. Pomyśle o tym jutro – skonstatowała sposobem Scarlett O'Hary z *Przeminęło z wiatrem*. Następnego dnia jak co dzień schodziła do pracy po stromych schodach skarpy, mijając rozłożysty perukowiec, który właśnie kołysał na wietrze różowymi czuprykami kwiatostanów. Chwilę przystanęła, by nasycić oczy jego urodą tak kruchą i gasnącą z dnia na dzień. Zwykle od tego momentu drogi przestawała myśleć o sprawach domowych, przyspieszała kroku, co dodawało jej energii i nastawiało kreatywnie do rozpoczęcia pracy. Kiedy otwierała drzwi szkolnej biblioteki, w której pracowała bez mała trzydzieści lat, przypomniła sobie słowa tamtej kobiety o zagadkowym uśmiechu: „Właściwie to mogę już umrzeć, przeczytałam już wszystkie książki”.

Oczywiście w jej – skromnej bibliotekarki – mniemaniu było to nielogiczne stwierdzenie; chociaż, biorąc pod uwagę zainteresowania, dostępność księgozbioru, selektywny dobór lektury – to właściwie możliwe, jednak pod pewnymi względami fałszywe przeświadczenie, jako że twórczość jest procesem permanentnym. No, nie popadaj w paranoję, powiedziało się tak kobiecie, a ty rozmyślasz nad tym, jakby wydarzyło się coś nadzwyczajnego – dialogowała w myślach. Jakim kluczem kierowała się, skądinąd na wygląd sympatyczna pani, dobierając książki, że z taką pewnością wypowiadała te pamiętne słowa? W gruncie rzeczy, to sama zgoda na śmierć z powodu wyczerpania zapasów czytelniczych była dla Marii fenomenalnie nedorzecznym. Myślała tak trochę ze wstydem

i poczuciem winy, bo ona nawet dziesiątej części swojego księgozbioru nie czytała. Zaraz też stawiała w swojej obronie – przecież z tylu dziedzin był to księgozbiór i to w pokażnej części techniczny, więc wystarczyło mieć orientację – co gdzie się znajduje, posłużyć się katalogiem czy kartoteką – po latach znała to na pamięć. Starła się kupować nowości, a czytać tylko co ciekawsze tytuły lub bestsellery, na których temat chciała mieć własne zdanie, aby dyskutować z młodzieżą, której nieliczne grono zdradzało pasję czytelniczą nieograniczającą się wyłącznie do lektur. Uśmiech tamtej kobiety jednak chodził za nią i nie dawał spokoju. Dalej myślała nad jej pewnością, jakby to co wartościowe już zostało napisane, a literatura współczesna tylko namnażała pojęcia, komplikowała wypowiedzi i siliła się na oryginalny styl, nic nie wnosząc nowego. Przy tak zawitym temacie wiedza Marii okazywała się być znikoma, toteż postanowiła więcej czytać, a na początek przejrzeć własne półki.

Jej wzrok padł na okazały bluszcz, który swoimi jak macki wszędobylskimi gałązkami dotykał półek. Stał tu, odkąd zaczęła pracować, i jakby chłonał życiodajne siły z książek, bo bujnie rozrastał się ponad regałami. Coś musi być w tych bluszczach; skrzywienie zawodowe kazało jej szukać porównań w najbliższym otoczeniu i tym razem odniosło ją do znanego czasopisma kobiecego „Bluszcz”, założonego przed wojną. Wtedy to kobiety mogły być kojarzone z pnączem, bo najczęściej ich życie i pozycja w społeczeństwie zależały nierozdzielnie od pozycji mężczyzny. Wprawdzie nie ten aspekt rozłożystego bluszczu budził wspomnienie uśmiechniętej kobiety, żyjącej w symbiozie z książkami, ale „życiodajność”, która tak zdeterminowała wypowiedź „Mona Lisy” z telewizji. Wspomnienie wracało do Marii, ilekroć podlewała bluszcz i przecierała z kurzu drobne listki czepiające się grzbietów książek. Nie mogła otrząsnąć się z wizji tej kobiety i słyszała wciąż jej słowa.

Lubiła przechadzać się między półkami i dotykać grzbietów książek, przebiegać palcami jak po harfie i słyszeć ich cichy szelest, jakby dawały znać, że są gotowe, by je otworzyć, by wejść w ich świat. To było jej królestwo, o którym marzyła od dzieciństwa, dzieciństwa, w którym książka była jedynym oknem na świat. Pamiętała kolejki w osiedlowej bibliotece i kilogramy Kraszewskiego, które zносиła mamie. Potem trudności w zdobywaniu lektur, długie godziny w czytelniach w czasie studiów, ale i stan euforii, kiedy wiedza torowała jej drogę do samopoznania i odczytywania na nowo wielu znaczeń. To nie było jednak uczucie stałe, po

drodze gdzieś wchłonęła ją codzienność, a czas wymierzony przez obowiązki nieubłaganie płynął. Teraz stała w tym królestwie starzejącej się razem z nią wiedzy, poprzetykanej gdzieś tam nowymi obwolucjami, sprowokowana do refleksji przez nieznaną z telewizji. Musi coś zmienić! Najpierw pozbędzie się tego bluszczu, który panoszył się zbyt długo i nie dopuszczał do przewietrzenia pótek. Za dużo skojarzeń nagromadził w swoim wiotkim żywocie. Bluszcz znalazł nowe lokum, a przestrzeń pomieszczenia pojaśniała i jakby odetchnęła z ulgą.

Połowę biblioteki zajmowały lektury, których kupowano po kilkadziesiąt egzemplarzy, żeby uczniowie mieli dostęp do przerabianych lektur. Szkoła techniczna – a więc dużo uczniów dojeżdżających z daleka – nawet z nudów chętnie czytali, ale z czasem wszystko uległo zmianie. Najpierw telewizja i ekranizacje lektur, potem videokasety i notoryczne zaklejanie czasu nagranyymi lekturami; to wpisywało się w ogólny trend fascynacji obrazem. Po zmianach kanonu lektur część z nich nietknięta zalegała półki. Nawet pobieżny rzut oka wystarczał, żeby zlokalizować te zapomniane. Nauczyciele nie kryli się z bezradnością wobec niechęci uczniów do czytania. Próby uatrakcyjnienia czytelnictwa przegrywały z modnymi telefonami komórkowymi i wkraczającym Internetem. Przy każdej okazji inwentaryzacji zbiorów spisywała rozsypujące się egzemplarze „produkcyjniaków”, wyłuskując klasyków i pieczołowicie odkładając na półkę. Czasem pożyczała sobie do domu i czytała po nocach: *Czarodziejską górę* T. Manna, *Czerwone i czarne* Stendhala, Balzaka, Dickensa, Dostojewskiego. Przy *Ulissesie* stwierdziła, że zmuszanie się do czegoś, czego nie rozumie, zagraża jej poczuciu wartości, które już i tak zostało nadwerężone poprzez wypowiedź pani z telewizji. Po każdej przeczytanej książce brała głębszy oddech, dawała sobie czas na przemyślenie i zostawiała ślad w notatniku: jakiś cytat, myśl, która ją zafascynowała albo była dla niej osobistym odkryciem.

Pewnego dnia z zaskoczeniem stwierdziła, że straciła wiele cennego czasu, odkładając na później wartościowe lektury. Czytała z coraz większym zapałem, a był to czas czystej przyjemności, czas wizyty u przyjaciół, którzy odkrywali przed nią swój świat wyobrażeń, przeżyć, nie oczekiwali niczego w zamian, byli szczerzy i niezawodni. Jakoś tak bezboleśnie przeszła na emeryturę, a perspektywa zwiększonego czasu na czytanie była niezwykle kusząca, tym bardziej że księgozbiór powoli stawał się zbyt jednostronny, a szkolną bibliotekę nie było stać na ciekawe nowości. Zaczęła korzystać

z bibliotek w mieście, sięgała po znane i sprawdzone nazwiska, korzystała z polecanych recenzji w telewizji i prasie, klasyków już nie czytała. Coraz więcej miała zastrzeżeń do języka, jakim posługiwali się współcześni pisarze; może to ona nie nadążała pokoleniowo za zmianami – rozmyślała też o tym. Wymagało to od niej dużej koncentracji i przestawało być czystą przyjemnością, a stawało się wysiłkiem, wręcz pracą nad sobą. Wiedziała, że wiele osób w tym momencie przestaje czytać – bo po co się męczyć z własnej woli, jest tyle łatwiejszych form spędzania czasu i wzrok się nie psuje. Wtedy przypomniała sobie tę kobietę z uśmiechem Giocondy. Czy i ona doszła do takiego momentu, do czasu znużenia czytaniem albo niezrozumienia współczesności. Gdzie popełniła błąd? Czyżby popadła w jakiś obłąd czytelniczy? Wtedy otworzyła zeszyt z notatkami. Gdyby nie one, nie pamiętałaby większości przeczytanych książek. Niektórych, nawet po przeczytaniu cytatów, trudno było sobie przypomnieć. Aż tyle tego było? Zaraz też zadała sobie pytanie o sens, chociaż wiedziała, że to nie był stracony czas, że coś się przez to zmieniło w niej samej. Literatura – ten nośnik myśli tak oczywisty w procesie kształcenia, dla niej – bibliotekarki chleb codzienny tak spowszedniał. Ponieważ był to proces rozłożony w czasie, nie potrafiła tego sprecyzować dokładnie. Czegoś jednak brakowało w czytelniczej układance. Czuła, że jakiś mentalny bluszcz kiełkuje w niej z wiekiem, że coraz trudniej z nim walczyć, ale świadomie drażyła temat w samotności. Od pewnego czasu odczuwała też potrzebę wymiany myśli na ten temat. Niepokój intelektualny spowodowany nagromadzoną wiedzą, może pobieżną, ale jednak wiedzą, domagał się konfrontacji. Powróciła wspomnieniem do pamiętnej audycji i pani z uśmiechem Giocondy... Szkoda, że jej nie poznała osobiście. Na pewno miałyby o czym rozmawiać. Może zmieniłaby zdanie i nie chciała umierać, a może to Maria czytałaby zupełnie inne książki?

Anna Zakrzewska

Z tomu *Dwa ogrody*, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON 2”.



Anna Zielińska-Brudek

Ref. Strojne progi młodością...

Mowa ojczysta jest tu

Mowa ojczysta jest tu,
w bodzentyńskiej szkole.
Zaśpiewamy o niej
sprawdzając obecność
bicia serc i spełnień.
Dni utkanych słońcem.

Nasza szkoła mieszka w nas,
jak święty krzyż podaje ręce,
by nie błądzić, nawet w snach.
To nie koniec pieśni tej,
w obrazach naszych pragnień
rodzi się ciepło rodzinnej ziemi.

Ref. Strojne progi młodością...

Ref. Strojne progi młodością
otulają ściany zamku,
wraz z warkoczem rzeki.
My się zmieniamy,
a niebo to samo, prawdziwe.
Kołysze i układa historię.

W kałamarzu wspomnień
zanurzonych w atramencie
nasze słowa czyste
widzą dziś i wczoraj.
Drogą są jak my,
zostawiają blasku ślad.



Hymn Zespołu Szkół Powiatowych
w Bodzentynie
Autor tekstu: Anna Zielińska-Brudek
Kompozytor: Robert Kozieł
Rok powstania: 2018

Irena Żukowska-Rumin

Pieśń dla mojej szkoły

Słyszycie echa kroków?
Świąteczne bicie dzwonów?
To idą młode lata!
Na zegarach wolności
orły chwytają za pióra,
tajemnice życia spisują.

Ref. W odysei ku spełnieniu,
wdzięczni jesteśmy Ci, szkoło,
że otwierasz życia szlaki
i przepustki w świat daleki,
drogę do największej cnoty
poprzez przyjaźń – do wspólnoty.

Już wrośłaś w nas, ma szkoło
tęsknotą za mądrością
kim jestem, kim ty będziesz?
Też pytamy o prawdę,
gdzie przecinki, pytańniki
daty, wzory nas doprowadzą?

Ref. W odysei ku spełnieniu...

Czytamy, co to życie,
szelestem przemijania
ze słowem Wyszyńskiego,
że czas to nasza miłość.
Tulimy się do ciebie, szkoło,
byś już nigdy w nas nie zwątpiła.

Ref. W odysei ku spełnieniu...

Hymn Liceum Ogólnokształcącego
im. ks. kard. Stefana Wyszyńskiego w Staszowie
Autor tekstu: Anna Zielińska-Brudek
Kompozytor: Gustaw Kozłowski
Rok powstania: 2018

Anna Zielińska-Brudek

Od Redakcji:

W następnym numerze „SKŁ” szerzej o spotkaniu promującym nowy tom Poetki pt. *Ugina się dzień* w Kieleckim Centrum Kultury

Ballada o gościnie

To jest gościna jak każda inna
kuszą przystawki, pysznią mięsiwa
chrzęści sałata w kroplach oliwy
buchają desery płomieniem żywym
ciotki ach, ciotki skrzydlate panie
na głosy na głosy rzewnie śpiewają
wujek objaśnia wersety niełatwe
i stuka palcem w Księgi okładkę
pradziad lat syty jak Hiob, gdy umierał
bitwę pod Kockiem w słowa ubiera
a zieleń w szybach, a w szybach błękit
wysoki pisk dzieci w gonitwie prędkiej
ciotki ach, ciotki taniec ich słodki
furkoczą panie derwisza taniec
a wujek z Księżą nad stołem płynie
ach, jakie szczęście być tu w gościnie
Pradziad tymczasem siedząc pod ścianą
wciąż jest pod Kockiem z pułkiem ułanów
a czyjaś ręka spomiędzy dania
kota czarnego próbuje przeganiać
To jest gościna jak każda inna
Czas wyszedł z formy i się zatrzymał
i walił w skroniach winnie niewinnie
(ach, jakie szczęście być tu gościnnie)
aż uniósł sufit, bo plan miał nad plany
tańcem kraszony, w słowa przybrany
i fruną pradziad, Kock i ułani
i ciotki ach, ciotki w metrum mijanym
wysoki pisk dzieci to tam to nie tu
i wujek z Księżą na skrzydłach wersetów
i zieleń w szybach, i błękit w szybach
To jest gościna jak każda inna
Gospodarz szczodry. Z twarzą kamienną.
Zdmuchuje świeczkę. I rodzi się ciemność.

Wiersz otrzymał honorowe wyróżnienie: Małopolska Nagroda Poetycka „Źródło” 2018 i został wydrukowany w tomiku *Źródło* na s. 80-81.
W jury zasiadali: Józef Baran, Marek Karwala, Beata Paluch i Adam Ziemianin.

Werdykt jury pierwszej edycji radiowego konkursu poetyckiego dla młodych adeptów pióra, ogłoszonego w ramach cyklu audycji POKOLENIE „M”

Jury w składzie:

- Krystyna Cel – poetka, eseistka, krytyk literacki z Zarządu Kieleckiego Oddziału ZLP
- Stanisław Nyczaj – poeta, eseista, krytyk literacki, prezes Kieleckiego Oddziału ZLP
- Katarzyna Prędotka – red. audycji POKOLENIE „M”

po zapoznaniu się z nadesłanymi na konkurs utworami postanowiło przyznać:

- I nagrodę Aleksandrze Jabłońskiej za wiersz *W nieładzie samotności*, proponując zaprezentowanie go na radiowej antenie i do publikacji w pierwszym tegorocznym numerze „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”;
- I wyróżnienie Angelice Sobczyńskiej za wiersz *Korzenie*;
- II wyróżnienie Konradowi Stawiarskiemu za *Rozmowę poety z Ojczyzną*.

Wiersz Aleksandry Jabłońskiej, uhonorowany główną nagrodą, wzrusza i zaciekawia. Wzrusza niebanalnie zobrazowaną nastrojowością. Wyrażeniem goryczy i żalu po rozstaniu się z kochanych, nieumiejących rozwikłać przyczyn przygnębiającego osamotnienia, w którym „kamienieją oczy”, „bledną na policzkach rumieńce”, lodowacieje serce. W czterech ścianach pokoju rozgrywa się niemy dramat rozterki, tęsknoty za tym, co w obydwójgu przeminęło, wypaliło się z uczuć.

Wiersz jest starannie dopracowanym pod względem formy dwunastozgłoskowcem, skomponowanym z czterech zwrotek o nienachalnych, aluzyjnych rymach, przydających wyznaniu podmiotu lirycznego subtelnej delikatności.

Kielce, 4 stycznia 2018

Archiwum audycji POKOLENIE „M” dostępne jest na stronie Radia Kielce: http://www.radio.kielce.pl/pl/przegląd-548/_audycja/192

Aleksandra Jabłońska

W nieładzie samotności

gdy teraz ze śniegiem topniejemy cali
skamieniałe oczy bojąc się pokazać
rumieńce umarły na policzkach białych
kiedy twoje serce w ciepłe nie odmarza

niewypowiedziane stygnie w czterech ścianach
niezatrzymywane nie chce dłużej zostać
szczerze pola wspomnień blakną bez kochania
kwietne pocałunki gubią się w bezdrożach

przesuwając w palcach tęsknoty wyznania
liczę ile szeptów było nieprawdziwych
ile w nas ubyło czy brakło kochania
czy przed samotnością schronić się zdążymy

pośród starych listów prześwitują chwile
po rozdartych zdjęciach idąc w zapomnienie
co kiedyś na ustach zaczęło dziś milczeć
co się z nami stało sama tego nie wiem



Anna Błachucka

Spojrzenia z różnych stron

W 2018 roku w Oficynie Wydawniczej „STON 2” ukazał się zbiór opowiadań Ireny J. Paździerz zatytułowany *Okna*. Książka ta jest pokłosiem II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego organizowanego przez Kielecki Oddział ZLP.

Autorka pięciu powieści wydaje drugi tom opowiadań, formy literackiej „niemodnej” w dzisiejszych czasach. W modzie są dzisiaj grube powieści, sztucznie jeszcze wzmagające swoją opasłość odpowiednim, „dmuchanym” papierem i rozmieszczeniem tekstu.

Jednak książka zawierająca 12 krótkich opowiadań, które zaznaczyły się treścią na 73 stronach książki, jest dla mnie propozycją tematów do przemyśleń i refleksji. To niemalże dwanaście propozycji wątków, które czytający tworzy sobie dalej sam. Są one dopowiedzeniami, negacjami, komentarzami i spostrzeżeniami wynikającymi z wiedzy i przeżytych doświadczeń. Dla mnie te opowiadania to także próba sprawdzenia, określiłabym nawet wymacywania przez autorkę, czy dany temat „chwytą”, czy czytelnik chce ciągu dalszego.

Już sama okładka z ogromną ilością szarych, szczelnie zamkniętych okien działa intrygująco. To nie okienko „Panienci z okienka”. Za srebrzystymi taflami nowoczesnej architektury coś się dzieje, i to tu i teraz. Rzucając okiem na te płaszczyzny, i to z różnych stron, nie podejrzemy niczego tak wprost. Tym bardziej więc wzrok zastępujemy wyobraźnią i prowadzeni przez wskazówki opowiadań idziemy za tekstem, za tym metaforycznym przewodnikiem.

Pierwsze z opowiadań *Okno* wprowadziło mnie do bardzo ważnego pokoju z napisem „Odpowiedzialność”. Źle pojęta swoboda seksualna skutkuje narodzinami dziecka. Impreza, alkohol, i nieznaną ojciec. Chciałoby się dać solidnego klapsa tym nierozważnym nastolatkom, którzy seks pojmują jedynie jako przyjemność. Toż to jeszcze dzieci, u których tylko zmysły buzują. Seks... Przyjemność? Dla kogo?

... „I co? Miałyby to wszystko zmarnować, bo na osiemnastce Żanety wypita za dużo i było jej wszystko jedno, z kim jest w łazience. Zapamiętała tylko mokrą umywalkę, z której cały czas się ześlizgiwała”.

Młoda dziewczyna nie radzi sobie ze skutkami tej imprezy, nie wie, kto jest ojcem, nie widzi się w roli matki, odrzuca pomoc rodziny i zostawia dziecko w „Oknie życia”. To opowiadanie, to materiał na powieść. Tyle tam pytań do tych młodych ludzi się rodzi, tyle chciałoby się powiedzieć im o intymności, erotyce, miłości i... odpowiedzialności.

Za oknami tych opowiadań jest dużo seksu. Rodzi się pytanie, jak świat wygląda dziś naprawdę. Opowiadania drażnią, zaczepiają, prowokują do wypowiedzenia własnego zdania w tym ważnym aspekcie ludzkiego życia. Jak wpasować się w kulturę, w której przyszło nam żyć?

„Wrzask i wściekłość” naszych czasów nie sprzyja pogłębieniu myśli, wrażliwości ani refleksyjności. Choćby i granie z uczuciami podane mistrzowsko w opowiadaniu *To nic trudnego*. Dzisiaj tak łatwo „zabawić” się czyimiś uczuciami. Internet, randki wirtualne, kuszenie, a potem odrzucanie za pomocą jednego SMS-a. Gry i gierki, flirty, miłostki, romansiki, przygody na jeden sezon, na jeden miesiąc, na jedną imprezę, a nawet na jedną godzinę. W opowiadaniu dziewczę uwodzi eremitę. Tak by się chciało tutaj przywołać Żeromskiego i jego dramat *Uciekła mi przepióreczka* i słynne zdanie – „bo takie są moje obyczaje” i dać współczesnym do rozważenia i wypełnienia treścią. Ciekawe, co by tam zapisali? Jakie są te dzisiejsze obyczaje?

Ale są w tym zbiorze opowiadania, które wskazują na inne problemy naszej egzystencji. Choćby zagadnienie gruźlicy. Wydawałoby się, że poziom życia, świadomości, diagnostyki i leczenia jest na takim poziomie, iż ta zakaźna choroba nie powinna zbierać śmiertelnego żniwa. A jednak... Czyja to wina?

Podany „po królewsku” problem mecenatu kultury w opowiadaniu *Mędrzec i król* zaskoczył mnie sposobem przekazania tematu. Wieki całe ten aspekt istnienia kultury był rozważany, podnoszony i do dziś nie jest rozwiązany. A jak jest u nas w kraju z kulturą? Ma na siebie zarobić sama. A więc sprzedaje się jak umie i jak może. Przekręca się na drugą stronę, wyłazi ze skóry, robi przeceny, zmienia opakowanie, „oddaje się” menadżerowi...

Osoby utalentowane w literaturze, muzyce czy malarstwie nie zawsze radzą sobie z prostą codziennością. A przecież pisarstwo wymaga czasu, wymusza zdobywanie wiedzy, dobrze się czuje w podróży. Noblista Władysław Reymont uzyskał pieniądze z literatury dopiero wtedy, gdy już nie mógł z nich skorzystać. Był chory i zmęczony.

Innym tematem poruszonym w tej książce jest agresja młodego pokolenia. Przemoc zawsze istniała i istnieć będzie, ale skala tego zjawiska niepokoi. To ci najmłodszy, silni ale bezwzględni

zabijają dla chorej „przyjemności”. Bez skrupułów skopią starszego, zmaltretują słabszego. Takie zjawiska niepokojąco się nasilają. Policja w opowiadaniu *Zabij psa* zareagowała szybko, małe chłopcy zostali schwytani, ale zdrowia, ale życia poszkodowanemu nie zwróci.

Taka wytrawna prozatorka, jak Irena Paździerz, operując literackimi symbolami, metaforami i formami przekazu stawia przed nami problemy i pytania o realność tego świata. Nawet mówiąc, że coś było znane od wieków, zaznacza, że każde przeżycie dla człowieka doznającego dobra czy zła jest zawsze pierwsze i nowe dla tego, kto go doznaje. Ból bólowi nie jest równy, krzywda krzywdzie także. Uczmy się poznawać świat słowami, uczmy się stawiać pytania i na nie odpowiadać, by wychwycić istotę takiej postawy, która kryje się pod słowem „człowieczeństwo”.

Anna Błachucka

Karol Czejarek

Portret literacki Jana Chruślińskiego w ujęciu Krystyny Cel

Z przyjemnością i nieskromną radością przyjąłem książkę wraz z dedykacją (*Karolowi Czejarkowi – mojemu przyjacielowi*) od samego pisarza, którego portret literacki w sposób trafny i ciekawy kreśli Krystyna Cel. Jej książka nosi tytuł *Z twórczą pasją przez życie*, a ukazała się w serii „Portrety Literackie” kieleckiej Oficyny Wydawniczej „STON 2” pod redakcją Stanisława Nyczaja.

Od wielu lat doceniam talent Jana Chruślińskiego i „od początku”, jak wznawiliśmy naszą znajomość, jestem pod ogromnym wrażeniem jego prozy. Powiem więcej – od chwili, kiedy przeczytałem jego pierwsze powieści, a zwłaszcza tę *Miłość i wojna*, wcześniej *Starość zaczęła się wczoraj* i potem *Z Chrobrza na wojenną tułaczkę* – stałem się jego fanem. Lansuję pisarza i tą recenzją polecam dzisiaj Czytelnikom wszystkie wymienione powieści. Każda bowiem jest wybitna, znakomicie napisana i poświęcona konkretnej treści:

Miłość i wojna przenosi nas w dramatyczny czas II wojny światowej; *Starość zaczęła się*

wczoraj ukazuje wygraną przez jej bohatera (Jana Chruślińskiego) walkę z chorobą nowotworową; z kolei *Z Chrobrza na wojenną tułaczkę* jest arcyciekawą opowieścią o majorze Janie Zgrzebnickim, żołnierzu Legionów Piłsudskiego, uczestniku walk zarówno w I wojnie światowej, jak i w kampanii wrześniowej, w końcu – jeńcu oflagów w Gross Born i Sandbostel.

Ale oprócz wyż. wym. pozycji autor opublikował jeszcze interesujące: *Rozstania i powroty* (w 2009 r.), *Tak było... Wspomnienia oficera wojsk drogowych* (w 2010), *Życie wpisane w historię* (w 2012). Nie wspominam tutaj Jego niezwykle bogatej działalności publicystycznej, bo prezentuje ją w swej książce Krystyna Cel.

Osobiście czekam teraz na jego kolejną – anonowaną na portalu *Pisarze.pl* – zapowiedzianą książkę, która będzie miała tytuł (najprawdopodobniej) *Złapcie go!* We fragmentach miałem okazję (z żoną) już się z nią zapoznać. Zresztą, przed wieloma miesiącami serdecznie nama-

wiałem pisarza do literackiego przedstawienia autentycznych zdarzeń z życia tych żołnierzy LWP, jacy przeżyli tzw. „falę” w wojsku, znęcając się nad nimi, z których to sytuacji głośno się teraz śmiejemy, jak kiedyś z wojaka Szwejka czy grenadiera Rechta z (tłumaczonej przeze mnie) powieści Hansa Hellmuta Kirsta *08/15 dzisiaj*. Lecz dla ich bohaterów sytuacje, jakie nas teraz bawią do łez, wcale śmiesznymi nie były. Odwrotnie – były tragikomiczne!

Cieszę się, że poetka, eseistka Krystyna Cel, – która już wcześniej opublikowała „Portrety Literackie” Stanisława Nyczaja i Benedykta Kozieła – teraz „sięgnęła” po Jana Chruślińskiego (niewielu pisarzy doczeka się za życia książek o sobie). Więc Jan Chruśliński może być dumny z tego faktu (choć w sumie książka o nim jest pojemnościowo nieobszerna, ale też i pisarz nie powiedział jeszcze ostatniego słowa...).

Co zawiera studium Krystyny Cel? Generalnie analizę dotychczasowej twórczości Jana Chruślińskiego, a dokładniej – oprócz wstępu – rozdziały: *Życie wpisane w historię*, *Powieściowe typy polskich losów w książkach „Miłość i wojna”* oraz *Z Chrobrza na wojenną tułaczkę* i *Wyjście z matni, czyli samoocalenie* na podstawie powieści *Starość zaczęła się wczoraj*. Potem następują *Podsumowanie*, bibliografia dotychczasowych publikacji oraz rozmowa Stanisława Nyczaja z pisarzem, m.in. o „miłości” do tzw. małej ojczyzny, którą dla obu jest Kielecczyzna. Stanisław Nyczaj – skądinąd bardzo dobry poeta – od wielu lat jest prezesem Oddziału ZLP w Kielcach, do którego należy Jan Chruśliński. Zamieszczenie więc tej rozmowy w książce uważam za udany zabieg, gdyż ma ona głęboki sens i wartość.

Co jeszcze mogę za Krystyną Cel dodać o Janie Chruślińskim? Że pisarz, będąc z wykształcenia historykiem, znakomicie to wykorzystuje w swojej twórczości. Że posiadał wspaniałą umiejętność prowadzenia dialogu i budowania narracji, w której spotykają się ze sobą retrospekcja ze współczesnością, a te z kolei zamieniają się w relację biegnącą w czasie teraźniejszym.

Krystyna Cel podkreśla, iż Jan Chruśliński opisuje postaci autentyczne i z niezwykłą umiejętnością (w oparciu o zebrany materiał faktograficzny) wzbogaca je darem własnej fantazji.

Do trzech punktów Krystyny Cel dorzucam też własną opinię, zadając jednocześnie pytanie: dlaczego twórczość Jana Chruślińskiego jest taka

ważna? Ponieważ różni się od wszystkich dotychczasowych (znanych mi) sposobów pisania o życiu, miłości i wojnie. Pisze bowiem o ludziach, którzy dotkliwie poznali w życiu gorycz porażki, a mimo to nie poddali się. Dalej walczą o własne zdrowie, o rodzinę, o miłość i Ojczyznę. Są przy tym humanistami, rzecznikami demokracji i praworządności oraz umieją przebaczać niedawnym wrogom w imię lepszej przyszłości.

Bohaterami prozy Jana Chruślińskiego są ludzie kochający swoje lokalne ojczyzny; daliby się za nie „porąbać”, jak np. sam Chruśliński „za Busko”, w którym przyszedł na świat i do którego tak często z rodziną powraca.

Jego powieści są szczególną lekcją historii Polski, lekcją, rozbudzającą wyobraźnię każdego czytelnika.

Dla mnie Jan Chruśliński jest pisarzem o niewydumanym patriotyzmie i człowieczeństwie. Zasłużył na to, aby go chwalono, co czyni także w swej książce (w oparciu o rzetelną analizę jego pisarstwa) Krystyna Cel.

Chwała autorce za to, że zajęła się jego osobą i twórczością. Słowa uznania także dla Wydawnictwa „STON 2” w Kielcach za zainicjowanie serii publikacji „Portrety Literackie”. Za podejmowanie tematyki regionalnej, która jednocześnie jest ogólnopolską.

Karol Czejarok

Krystyna Cel, *Z twórczą pasją przez życie. Portret literacki Jana Chruślińskiego*, Kielce 2018, s. 156.



Sezon w teatrze

Zaliczyłem w tym sezonie kilka premier kieleckiego teatru. Ciekawość moja była ogromna, bowiem z powodów, o których zmilczę, nie miałem możliwości podziwiania wcześniejszych dokonań teatru pod nową dyrekcją. Zacząłem od czegoś w rodzaju premiery – *1946* i już typowych premier: *Ciemności*, *Świętoszka* i *Prędko, prędko*. Uczty to nie były! Oczywiście, tragicznie też nie było, czyli po prawdzie...

Zacznijmy od najciekawszego, zwłaszcza że połączonego z intrygującą dyskusją, która niejako przedłużyła spektakl. Piszę – najciekawszego, ponieważ ten spektakl był o czymś istotnym. Pozostałe, tak jak większość tego, co można obecnie „podziwiać” w polskim teatrze, dotyczy bardzo „zasadniczych” problemów: a to zmagania się jednostki z samą sobą i niemożnością dojścia do końca tych zmagania, a to znów relacji między jednostkami, ale tak skomplikowanych, jakby ich, tych relacji, nie było. Wreszcie podła religia, za komuny nazywana opium dla mas, jako ciemniycielka jakże wolnych ludzi. Upraszcza szalenie, co później będę się starał odkręcać...

Tak więc *1946* – przyjmijmy oficjalną nazwę zdarzenia – o pogromie kieleckim, zrobiony miejscami jak reportaż, jak już zaznaczyłem, podobał mi się najbardziej; a to z powodu dotarcia jednak do takich pokładów duszy, gdzie człowiek musi stawiać sobie ciężkie pytania i co ważniejsze, szukać odpowiedzi. Autorzy poprowadzili momentami po mistrzowsku widza przez cierpienie ofiar i grozę sytuacji. Niestety, w zapale samobiczowania, czy raczej biczowania kielczan – dla nich jedynych sprawców tego mordu – popłynęli na łatwiznę i tam zostali. Zakończyli tym nieszczęsnym wierszykiem, który cały czas anonsowany niczym *Oda do młodości*, widzowie mogli na koniec odnaleźć pod fotelem; ale czy on cokolwiek wyjaśniał? Chwył jak chwył. Gdyby tak pokusili się, odważyli spojrzeć na problem podłości ludzkiej w szerszym kontekście! Szkoda – była okazja. Dyskusja potwierdziła tylko obecne wyjałowienie intelektualne, jakie panoszy się wszem i wobec. Nie rozmawiano o istocie sprawy – czyli jak to możliwe, że ludzie są zdolni do takich podłości i to są zdolni pomimo doświadczeń wojen, rzezi,

terroryzmu, prześladowań mniejszości. Wszelkich mniejszości. Zogniskowała się cała rozmowa na polskim udziale już nie w pogromie czy zaplanowanej akcji z udziałem podpuszczonego tłumu, a wprost na polskim udziale w holokauście! Padały, nie wiadomo skąd teraz uzyskane, konkretne liczby rzekomo masowo mordowanych przez Polaków Żydów. Padały też teorie o piętrowym spisku, na czele którego stanął, a jakże, sam Stalin i osobiście zorganizował ten pogrom. W tej wersji ówczesni kielczanie oczywiście z tym mordem nic nie mieli wspólnego! Broń Panie Boże! Komizmu jeszcze dokładał udział historyków z IPN, którzy, jak w każdej sprawie, tak i w tej, mają narodowi do przekazania jedynie słuszną, bo pochodzącą z zapisków milicji obywatelskiej czy też UB, prawdę.

Z tego wszystkiego zapomniałbym o najważniejszym. Pierwszy raz zobaczyłem w akcji Magdę Grąziowską, najjaśniejszy punkt przedstawień, o których piszę. Rola fantastyczna, zarówno jako przekulturalna przewodniczka, jak i baba potwór, ucieleśnienie podłej głupoty pogromu, mordu, właśnie owego świństwa, jakie wyziera do nas z ekranów telewizorów, ilekroć włączymy je na jakiegokolwiek informację. I to nie tylko ze świata, o nie! Tak zagrała obie kobiety, kontrastując je całkowicie, aby ryk bełkotliwego monologu wstrząsnął widzem. Mną wstrząsnął i to dogłębnie. W tym monologu właśnie był cały mord, i to każdy mord!

Druga rola, w której ją widziałem, to spektakl *Ciemności*. Autorzy zaznaczyli uczciwie, że na motywach *Jądra ciemności* Conrada. Twórcy *Świętoszka* z kolei, pominęli z wdziękiem drobny szczegół rozprawienia się z autorem nie tylko poprzez zmiany w tekście, i co najistotniejsze, w wymowie zakończenia, ale również co do formy. Z komedii mianowicie uczynili dramat. Cóż począć, autor nie żyje od dawna, więc tak jakby go nie było. Zresztą, któż by się dzisiaj przejmował kimś tak nieistotnym, jak ten, co pisze? Młoda, debiutująca reżyserka, przytłoczona nawałem emocji związanym ze spektaklem, nie musiała myśleć w kategoriach naruszania czyichś praw do dzieła, ale ktoś chyba powinien.

Świętoszek jako dramat pod pewnymi względami mi się podobał, bronił się, a nie wiadomo jak byłoby z komedią?

Niezamierzony z pewnością przez reżyserkę był efekt zastosowania figury Matki Boskiej; „wyprodukowała” – mam nadzieję, że dla większości widzów – dylemat etyczny (?), religijny (?), na pewno – kulturowy. Czy aż tak jesteśmy tolerancyjni, czy już nic nam nie przeszkadza; na ile było to zamierzone, a na ile uzasadnione? Czy w końcu nie chodziło o wywołanie reakcji u zawsze gotowych do protestu, bez wnikania w istotę spektaklu, ludzi? Być może żadne z tych pytań nie pojawiło się w umyśle zresztą dość błyskotliwej reżyserki. Być może można było wymyślić bardziej delikatne rozwiązanie, choć oczywiście efekt wstrząsu był tu jak najbardziej na miejscu; tylko powstaje w przypadku tego spektaklu zasadnicze pytanie: po co? Cóż tak niemożliwie odkrywczego miał nam teatr do powiedzenia tą przerobioną na wszelkie sposoby komedią? Otóż poinformował nas o podłości hipokrytów, jaką znamy doskonale z własnego podwórka. Kolejny „odkrywczy” cios w miejsce, w którego centrum usadowili się ludzie pokroju duchownego – biznesmena, oszusta z miasta na „T”. Efekt teatralny, czyli operowanie emocjami widowni, został po mistrzowsku tu osiągnięty, ale pytam się: po kiego?

Po kiego też zrobiono *Ciemności* – całkiem, nawiasem mówiąc, przyjemny do oglądania spektakl. Znów pani Magda w popisie aktorskim; lekka forma, równa, dobra gra reszty towarzystwa, niezwykle oszczędna i pomysłowa scenografia, sprawność reżysera i... banał wyciągnięty z tekstu o najciemniejszych mrokach cywilizacji. Niemal komedia. Niestety – znów nie komedia. Tej w tym sezonie w teatrze kieleckim nie widziałem. Może była pewnie jakaś powtórka, ale ominęła mnie. Za komedię ciężko uznać *Prędko, prędko*, trening dla aktorów w graniu w miarę normalnym, choć oczywiście, musiało być nowoczesnie. Ta panosząca się maniera grania nie ze sobą, a obok! Jakże odkrywczą! Tyle że odkryta już w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku! I tak mogli wreszcie pograć w kostiumach, co już samo w sobie jest wartością nie do przecenienia. Jedyne plus – możliwość zobaczenia Beaty Pszenicznej, której gra przypominała widzom, że są na komedii.

Oryginalny, bo niegrywany, dobór tekstów mistrza Fredry, właśnie dlatego nieznanych, że

tak słabych i tak, jak cały ten sezon, po prawdzie o niczym! Bo i po co ma być o czymś, Grzegorz Dyndało? Tak wszystkim pasuje, nikt się nie obrazi, poziom też nie skrytykuje ze strachu, że się na nowoczesności nie zna, a komedie? Cóż, niech robi je teatr prywatny, który powstał na szczęście dla spragnionych rozrywki innej niż wałkowane we wszelkich wariantach rozterki egzystencjalne.

Podsumowując – teatr, jaki zobaczyłem po przerwie, jest poprawny. Nic nie da się mu zarzucić. Idealnie kroczy środkiem, bez potrzeby ryzyka, jakie tkwi w wychylaniu się. Jego główną zaletą jest istnienie w Kielcach takiej placówki, bo można sobie dość łatwo wyobrazić jej brak. Reszta ma się niewiele do tego, czym taka świątynia sztuki być powinna. Otóż z pewnością powinna być miejscem poszukiwań artystycznych, podążania za problemami społecznymi współczesnych widzów, szukania odpowiedzi, a na pewno stawiania pytań. Widz powinien odnaleźć siebie, przeżyć coś, co nim wstrząśnie do głębi lub choćby tylko pozwoli mu lepiej pojąć swój los i los otaczających go ludzi. Zrozumieć nieco więcej z tak zwanej rzeczywistości, niż da się zrozumieć tylko poprzez codzienne przyswajanie coraz to mniej optymistycznych faktów. Tu, poprzez sztukę, powinno się dzieć coś niezwykłego, twórczego, magicznego. Wreszcie, zmęczony problemami swoimi i świata, powinien mieć szansę „wyśmiania się” na dobrze zrobionej komedii!

Tymczasem dostaje papę; przyprawioną na artystycznie, na efektownie, ale jednak papę. Taka sama leje się strumieniami z telewizorów, z gazet, ba, nawet z literatury! Widać, po prostu, takie czasy. Czasy wszechogarniającej papę.

Grzegorz Rak



Niepokalane poczucie wierszy Zofii Walas

Zofia Walas jest niezwykle ciekawym zjawiskiem, zarówno jako osoba fizyczna (sorry za ten prawniczy zwrot), jak i twórczyni. Chciałabym napisać, że poznałam ją bliżej, ale to nie byłaby prawda. My się wprawdzie zaprzyjaźniłyśmy, lecz nadal chyba jej dobrze nie znam, gdyż ta pozornie otwarta, wesoła, wręcz entuzjastyczna i bezproblemowa, dwustu-procentowa kobieta nie odślania się zbyt chętnie. Również jej leciutkie w formie jak westchnienia wiersze kryją w sobie tajemnicę.

Przeczytałam kilkakrotnie wszystkie jej utwory, jakie ukazały się w druku, ale nie wydaje mi się, żebym dotarła do samej istoty ich mocno skomplikowanej materii. To dobrze, bo mogę je odczytywać jeszcze po wielokroć i nigdy się nimi nie znudzić. Ta poezja to niewygasły wulkan z kraterem wypełnionym bulgoczącą lawą. Żeby zajrzeć do jego wnętrza, trzeba jednak przebyć ciężką drogę, gdyż szczyt tej góry tonie w chmurach, zaś zbocza zalega lodowiec. Mapkę ułatwiającą wejście na ów szczyt próbował rozrysować Stanisław Nyczaj, pisząc postowie do *Zwodzonego szczęścia* (pierwszy tomik), wstęp do *Diamentów czasu* (drugi tomik). Przeprowadził też z Zofią Walas rozmowę, którą zamieścił zamiast wstępu do trzeciego tomiku noszącego tytuł *Znalezione w bursztynie*. Poetka jednak i tam mocno kluczyła.

Zofia Walas na co dzień żyje w swoistej klatce Faradaya, którą sama sobie stworzyła. Potrafi z dala od siebie utrzymać niebezpieczny, iskrzący co chwilę kulturowymi i politycznymi spięciami świat i całą tę naszą rozwrzeszczaną rzeczywistość. Żyje więc w świecie nie takim, jaki jest naprawdę, lecz w takim, jaki sama sobie stwarza. Może właśnie dzięki temu udaje jej się zachować niezwykle świeżość i pogodę ducha. Jako twórczyni również prawie nie korzysta z istniejącego wokół świata, nie przeżywa go, nie odtwarza poetycko, tylko stwarza własny. Dlatego nie ma co szukać w jej wierszach wzruszeń nad kwiatkiem, słonkiem czy zachwyty nad jakimś żywiołem. Jej świat jest niewielki i hermetycznie zamknięty. Znajduje się w nim w zasadzie tylko ja i ty liryczne. Ale między nimi panuje napięcie tysięcy woltów.

Ja liryczne jest słabą kobietą, targaną wielką namiętnością. Skarży się na obojętność, oddalenie przedmiotu miłości, na nieodwzajemnienie uczuć i możliwość spełnienia. To tylko pozory, do czego

się zresztą przyznaje, na przykład w utworze *Moje widzimi się*, mówiąc wprost: „Zależysz już tylko od mego widzimi się/ Pojawiasz się i znikasz według mojej woli”. W gruncie rzeczy podmiot liryczny jest wszechwładnym demiurgiem, który stworzył przecież w wierszach wszystko – całą tę dręczącą miłość i jej przedmiot. Trud tworzenia służy tylko jednemu celowi. Ma doprowadzić do aktu poczęcia i narodzin poezji.

Ja liryczne nie jest też wcale skromne. Już w pierwszym utworze pt. *Zachwyty*, składając hołd Boskiemu dziełu, od razu nawiązuje do pokrewieństwa między Stwórcą a twórcą. Rozmawia z Najwyższym, może nie tyle jak równy z równym, lecz bez kompleksów. Ma przecież swój obszar działania, w którym czuje się naprawdę mocne. To świat tworzony z samych tylko słów. Lecz przecież Święty Jan, rozpoczynając swoją Ewangelię stwierdzeniem: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga...” potwierdza ten bliski związek między dziełem stworzenia a tworzeniem dzieła. Ja liryczne wyznaje właśnie w utworze, będącym jakby preambułą do całego tomu, swoją głęboką wiarę w słowa.

Już w następnym wierszu *Szarpie słów* rozkłada przed odbiorcą swój warsztat i pokazuje, że dzieło tworzenia takiego emanującego miłością tomu nie przebiega bezboleśnie. Potrzebne będą szarpie słów, którymi trzeba bandażować rany. Bóg-Człowiek też cierpiał, gdy z miłości własną męką zbawiał świat. Nieliczni, wybrani, którzy potrafią współodczuwać ze Zbawicielem, otrzymują stygmaty – krwawe znaki Jego męki. W utworze *Stygmaty czasu* podmiot liryczny chwali się swoistym naznaczeniem oraz władzą nad czasem i materią, przyznając się jednocześnie do niewiedzy w innych, bardzo zresztą istotnych kwestiach. Pyta więc: „Ale kto dał mi początek/ I postawił ciebie na mej drodze”.

Są i następne odniesienia do Biblii, do teorii powstania świata, a także do modlitwy. „Przestrzeń jest niema jak przed Wielkim Wybuchem/ Wymów słowo – niech na nowo zaistnieją sylaby/ Tchnij w nie życie...” – znajdujemy w wierszu *Wielkie milczenie*. A w utworze *Ciało wiersza* czytamy: „W wierszu jestem tylko słowem/ Stanie się ciałem, gdy dotrze do ciebie”. Podmiot liryczny w swoich uczuciach szybuje wysoko, porusza się w sferze sacrum. „Ślę

ci słowa miłości jak akty strzeliste”, „Buduję ci ołtarze – wotami słów zdobię” – mówi z wyrzutem w *Wotach słów*, ukazując miłość jako wysublimowane i oczyszczone cierpieniem pojęcie.

Boję się właściwie pisać więcej o doskonałych wierszach, które Zofia Walas zamieściła w swoim czwartym już tomiku pt. *W żywicy słów*, bo nie chciałabym dopuścić się profanacji. Ja, tak skupiona na otaczającym mnie świecie, zaangażowana w rzeczywistość, boję się zainfekować zwykłą materią te czyste, piękne strofy, złożone głównie z wyabstrahowanych pojęć i odrealnionych obrazów. Myślę, że Zofia Walas jako osoba może czuć się naprawdę szczęśliwa i spełniona, gdyż poczęła i wydała na świat strofy ogromnej wartości i urody.

Beata Kępińska



Filharmonia Świętokrzyska (19.10.2018) Zofia Walas wśród laureatów Świętokrzyskiej Nagrody Kultury

Stanisław Nyczaj

Krystyny Koneckiej „niezmordowana ciekawość świata”¹⁾

Gdy Krystyna Konecka podczas tegorocznych plenerów na Żeromszczyźnie i w Staszowie oczarowywała nas swymi sonetami z dwujęzycznych tomów *Koneksje | Connections 1978–2013* (2015) i *Ultima Thule. Głosy Islandii | Voices of Iceland* (2017), przypomniałem sobie recenzję ze stałej rubryki Leszka Żulińskiego w „Gazecie Kulturalnej” sprzed dwóch lat przykuwającą uwagę tytułem niby-ostrzeżeniem – *Opętani sonetem* – a w istocie wszelako będącą opinią krytyka szczerze uradowanego pewnym sonetowym zbiorem (z 2016) 5 autorów: Izabeli Fietkiewicz-Paszek, Darka Foksa, Teresy Rudowicz, Cezarego Sikorskiego, Aleksandry Słowik¹⁾, których docenił, że udatnie poradzili sobie, utrzymawszy się w gorsecie formy. W naszym środowisku spełnia się artystycznie w tym gatunku Anna Błachucka, autorka kilku sonetowych tomów, m.in. *Niepodzielne jak łza* (2009), *Listy do wyobraźni* (2013). A przecież mamy wciąż w pamięci choćby sonety Stanisława Grochowiaka z tomu *Agresty* (1963) czy Stanisława Swena Czachorowskiego *Summa strony sonetu 1946–1966* (1967). Jak widać z przykładów, do tego nie lada kunsztu wymagającego gatunku w najnowszej poezji polskiej ustawicznie się powraca.

I w przypadku Krystyny Koneckiej rozmaite tematy odnajdują się w sonetowej formule ciekawie. Zgodnie z obowiązującą regułą, nie tylko wyrażone zostają obrazowo i refleksyjnie, ale też z inwencją. Własny pomysł ujęcia na fali emocji pobudza wyobraźnię czytelnika, zaś słuchacza, gdy interpretuje autorka – nadto autentycznie wzrusza. Zachęcaliśmy ją i dawała się do tych własnych interpretacji nakłonić. A potem smakowaliśmy wzrokiem staranny kształt edytorski książek (z licznymi zdjęciowymi ilustracjami w kolorze), wydanych przez białostocki „BUK” (wyróżniony Medalem „PRO PATRIA”). Poeta i krytyk Stanisław Grabowski do albumu *Konstelacje* wpisał słowo: mistrzyni. I dodał, że jest „kimś rozpoznawalnym w świecie poezji”, idzie „własną poetycką drogą”, że w jej przywiązaniu do klasyki należy docenić „elegancję stylu, bogactwo języka”. Argumentuje: „Dzięki poetyckiej wizji autorki zagościło we mnie [...] »islandzkie odwrócenie czasu« – obrazy Islandii, ziemi i oceanu, kraterów, dzieł kultury, jej mieszkańców”.

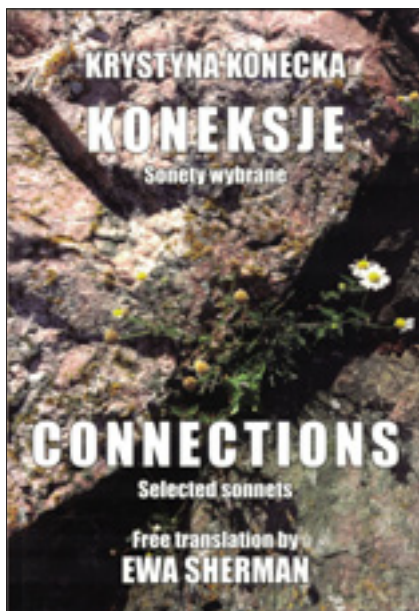
Przekład na j. angielski Ewy Sherman umożliwił spopularyzowanie pięknych sonetów zarówno z tomów *Koneksje*, jak i *Ultima Thule*, np. w Lon-

dynie, gdzie mieszka córka autorki. I szerzej... Coraz częstsze tłumaczenia obcojęzyczne, towarzyszące w naszych książkach polskiemu tekstowi, są dziś cenionym atutem ambitnych wydawców.

Stanisław Nyczaj

¹⁾ Określenie Stanisława Grabowskiego.

²⁾ ...zbiorem pt. *Sonet. Spętanie*, wydany przez Zaufek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2016. L. Żuliński we wspomnianej „Gazecie Kulturalnej” (2016, nr 4) pochwalił: „ładna to demonstracja, że sonet »wiecznie żywy«. I wiecznie różnorodny. I niezłe czujący się pośród zupełnie nowoczesnej grafiki Przemysława Cerebież-Tarabińskiego”.



Irena T. Grabowiecka

Nad słowami poety...

Zapada coraz głębsza ciemność
i coraz ciaśniej w labiryncie,
z którego jest jedynie wyjście
na samotny wszechświat. (s. 72) ¹⁾

Świat nasz udręczony [...]
jeszcze się trzyma
na jego jednej
wolnej jak ptak,
do bólu śmiesznej,
jak ołów ciężkiej,
niegasnącej łzie (s. 78)

Łyczazar Seliaszki

Stanisław Nyczaj we wstępie pisze: „[...] trafne słowa mają bezcenny walor rozświetlania ciemności... (s. 12) wszechświata. Tak, z pewnością, ale nie tylko. Za tym tropem idą tajemnice sensów i piękno warsztatu. Twórca z Bułgarii zaprasza czytelników do odkrywania w kroplach poezji najgłębszych głębi słowa. Słowo w jego poezji jest twarde jak diament, niepokorne w rzeźbieniu. Trudne, a to co trudne, przynosi jasność, blask; rozświetla sensy, buduje kosmos, w którym jesteśmy zanurzeni. Wystarczy tylko podnieść i wykorzystać tajemnice słów, do których „[...] przylgnęła pszczoła./ I znowu zadźwięczały – / złote pszczoły duszy...” (s. 16).

Jakie jest to poetyckie słowo Łyczazara Seliaszki? Przemysłane, niedopowiedziane, zanurzone w prostocie i wnętrzu poety. Skrótowe a celne, wydobywające z zagrożeń i niepewności. Nad pieśnią elegijną delikatnie unoszą się tęsknoty i melancholie, miłość i nadzieje, cisza, która głosem Boga pyta: „czy już wiem, kim jestem” (s. 24).

Trudno kroczyć człowiekowi w świecie niepewnym. W jednym z wierszy poeta pisze:

Przez dno ciszy nieustannej
przedziam się z ostrym wiatrem.

Tu śmierć i róże mieszają się
z dziwną nocnych ruin wonią.
Z pękniętej skały łażą się sączy,
przypominając o przemijaniu. [...] (s. 54)

W innym liryku konstatuje:

Człowiek wpatrzony jest w gałązki
gwieździstego nieba. [...]

Dusza jest pomostem do nieskończoności.
Jaka to pociecha, jeżeli przekorni,
obolali, błądzimy wbrew bez celu? (s. 55)

Pozostają pytania, dwuznaczności, aluzje.
Spojrzenia ku dawnej siostrzycy poezji – filozofii.
„Kamienie są obłe, / a ból – / ostry.” (s. 60) Ta
metafora zamyka tragizm losu ludzkiego. Kamień
– częsty motyw Ł. Seliaszki. W *Syzyfie* mityczny
bohater stwierdza:

A najbardziej okrutne to,
że na zawsze zostaję sam.

Moją jedyną pociechą –
kamień... (s. 73)

W poszukiwaniu pomocy można sięgnąć do
wierszy *Sokrates* lub *Miód i trucizna*:

Przystając szukać,
znajduję i gorzki miód,
i słodką truciznę.
Miód –
aby nie przestawać szukać.
Truciznę –
by przestać się łudzić. (s. 77)

Paradoksalnie, antytetyczne oksymorony celnie
trafiają do wyobraźni czytelnika; malują sytuację
wyraziście, jak grafika okładki – błękitna niby nie-
bo, kolorowa jak jesień, a drzewo – drzewem życia,
drzewem dobra i zła. Pesymizm filozofów, a może
prawda o naszym losie. Próba życia w labiryntach
świata czy podanie w słowach poezji choć kilku
kropel pocieszenia, obrazu piękna, doskonalenia
otoczenia przez wartości trwałe – dobro, miłość,
prawda, wierność tradycji i trwanie przez pracę.

Wartości te są w liryce Ł. Seliaszki obecne,
choć nie ukrywa obrazu świata. Przecież ma
być miłość, prawda i piękno. Czyżby dualizm,
podwójność jak w sztuce Dalekiego Wschodu?
Jeśli jest smutek, jest i radość, jeśli jest życie – jest
przemijanie. W wierszu bez tytułu poeta wyznaje:

Idę przez pasmo obumarłych muszli
i szmaragdową pianę wodorostów. [...]

Poznałem ludzi wiary i niewiary.
Co zrozumiałem?

Błądzą po atlasie... (s. 49)

Znowu – wiem i nie wiem, nic pewnego – py-
tania. Czyżby – wątpię, więc jestem; „Idę przez
las bez drogi. / I staje się coraz jaśniej” (s. 50).
A jednak jaśniej... Autor wstępu, Stanisław Nyczaj,
także stwierdził „[...] trafne słowa mają bezcen-
ny walor rozświetlania ciemności (podkr. – I.G.,
s. 12). Odczytuję tę jasność. Poeta poszukuje
rozwiązań w myśleniu o filozofach i filozofii. Oto
wiersz *Sokrates*:

I sądzę, miał rację Sokrates,
mąż twardy jak podkowa –
lecz nie zaspokoił wilczego głodu prawdy
trującym napojem. (s. 76)

Aluzje do Kanta z niebem gwiaździstym i pra-
wem moralnym – w tomiku. Aluzje niedopowie-
dziane, słowa bez kropki nad „i”. Łyczezar Seliaszki
wierzy czytelnikom poezji. Znajdą głębiny treści
i piękno nawet w świecie smutnym. Czytanie poe-
zji – to przecież skarb umysłu i duszy. Wydobędą
słowa z „mroku milczenia” (s. 80), z trudów życia
to, co najcenniejsze – SŁOWO twarde jak kamień,
niepokorne w rzeźbieniu. Poniosą i słowa, i myśli
ku pięknu. Krytycy podkreślają często, że dziś
poezję czytają tylko poeci. Moje skromne „pisa-
nie” zamyka się w tęsknotach myśli, w refleksjach
metafor i obrazów poetyckich, w tęsknotach ku
szczytom, ku światłu...

Irena T. Grabowiecka

¹⁾ Ł. Seliaszki, *Wiersze wybrane*, Kielce 2016, przekład
z bułgarskiego Wera Dejanowa i Teresa Moszczyńska
-Lazarowa.

Cytaty oznaczone są s. ... Wszystkie zaczerpnięte
z tego wydania.

Wśród pisarzy 2

czyli eseje o tolerancji dla różnych postaw
bez narzucania czegokolwiek

Wśród książek krytyczno-literackich, które ukazały się w ostatnim czasie, a zaliczam do nich wszystkie pozycje wydane po styczniu 2017 roku, niewątpliwie ważne miejsce zajmuje druga część cyklu esejów Stanisława Nyczaja *Wśród pisarzy 2. Rozmowy i wspomnienia*. W kompozycji i wyborze prezentowanych twórców autor kontynuuje przyjęte założenie – „sprawić, by poprzez tę książkę ci, którzy odeszli – przez niego cenieni i w nim obecni – nadal jak najpełniej trwali, żeby ocaleni bądź pozyskani zostali również dla tych, którzy nie mieli takiej okazji bliżej się z nimi zetknąć”. Dlatego prezentacje mają charakter gawęd z licznymi wtrąceniami wspomnień, rozmów, spotkań, przeprowadzonych wywiadów i refleksji z lektur. Nyczaja, o czym świadczą dokonane wybory, fascynują twórcy o wyrazistych indywidualnych osobowościach, stwarzający własny, sugestywny język, pełen stylistycznych eksperymentów, zaskakujących skojarzeń, parabolicznych obrazów, bezcennych niuansów chroniącej przed patosem ironii. Należą do nich wielcy i uznani, jak Wisława Szymborska, Tadeusz Różewicz, Gustaw Herling-Grudziński, Andrzej Waśkiewicz, Stanisław Barańczak czy Julian Kawalec, oraz mniej znani, a równie ważni dla krytyka, jak Wiesław Malicki, Ryszard Ulicki, Bożena Piasta i wielu innych. Dodatkowym walorem wspomnień są przypominane fragmenty wypowiedzi, komentarzy, rozmów i wierszy, którym towarzyszą utwory samego Nyczaja z jego autorskim komentarzem, przepięknie charakterystycznym, dobrotliwym poczuciem humoru. Spotykamy i poznajemy je już w otwierającym eseju *Wspomnienie o Wisławie Szymborskiej (1923–2012)* z żartobliwym cyklem Tryptyk limeryczny dla autorki *Radości pisania*.

1

Szymborska na chmurce pisze wiersz liryczny
dymkiem z papierosa, żeby był magiczny.
Przy tym mruga do kamery,
że to raczej jest limeryk,
do tego szalony, bo tragikomiczny.

Wygodnie Wisławie na tej chmurce małej.
Jest, choć tak niewielka, jej królestwem całym,
blaskiem słońca okolonym,
snem księżycy posrebrzonym,
gdzie na wywiad się wprasza jedyny wiatr-śmiałek.

3

Noblistka odmawia bliższych komentarzy
do czasu, co minął i jaki się zdarzy.
Puszcza z dymkiem papierosa
zapytania koło nosa.
Wszystko, co ustalono, akceptując – podważa.

Stanisław Nyczaj, co sam przyznał w udzielonym mi wywiadzie opublikowanym w kwartalniku „LiryDram”, mając ekstrawertyczną osobowość, zachowuje wobec prezentowanych twórców pełną otwartość na ich propozycje twórcze i światopoglądowe. Jego tolerancja dla różnych postaw nie przeszkadza mu, gdy pisze o kimś eseje, akcentować jego specyficzną poetycką odrębność i w ramach tego, bez narzucania czegokolwiek, stara się eksponować to, co uważa za najwartościowsze u wspomnianej postaci. Taka postawa uczy szacunku zarówno dla krytyka, autora, jak i prezentowanych refleksji, wartości oraz przytaczanych utworów. Nyczaj przeżywa to, o czym pisali i mówili wielcy zmarli, z którymi miał szczęście rozmawiać i wobec których poczuwa się „do wywdzięczenia za to, co w ciągu lat od nich otrzymał i co warte jest podzielenia się z szerszym odbiorcą”. Dlatego właśnie ten zbiór opatrzony został mottem, iż „Sprawiedliwa pamięć jest naszym moralnym obowiązkiem”. Mam nieodparte wrażenie, że krytyk i poeta w swoich interesujących gawędach dzieli się z czytelnikiem bardzo emocjonalnie osobistymi przemyśleniami. Starając się o wzbogacenie tekstów bezpośrednimi spostrzeżeniami i anegdotami, podkreśla różnorodność, bogactwo i odrębność twórców kultury i jakby przeczuwa, że zatrzymane na kartach wrażenia przyczyniają się do intymnej rozmowy czytelników z wielkimi zmarłymi. Wspomnienia nie są wolne również od bolesnej refleksji, że po odzyskaniu pełnej suwerenności i napawaniu się wszelaką wolnością płynącą z przemian znów niespodziewanie nastąpiły dla kultury i losów twórców szczególnie trudne czasy związane z wartościowaniem wszystkiego w oparciu o parytet ekonomiczny. Szczególnie wyraźnie jest to widoczne przy okazji *Wspomnienia o Andrzeju*

K. Waśkiewicz (1941–2012) pt. *Wnikliwy obserwator życia literackiego*, które zawiera bezcenne wspomnienie o sposobie wydawania i dystrybucji wierszy na początku lat 90., kiedy nawet najwybitniejsi w tym okresie żyjący twórcy publikowali swoje poetyckie książki w formie kserówek rękopisów i wierszy przepisywanych na ręcznych maszynach do pisania. Wydawane były one w niskich nakładach od 30 do 100 egzemplarzy i towarzyszyły wieczorom autorskim poetów, jak już legendarna, przypomniana przez Waśkiewicza seria poetycka „Biblioteka Rękopisów” Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki. Bez wątplenia *Wśród pisarzy 2* to ważna pozycja na rynku wydawniczym, z którą powinien się zapoznać każdy, komu bliska jest polska literatura oraz biografie osób ją tworzących. Jej szczególnym walorem jest niezwykła wrażliwość Nyczaja na poezję i ważne wydarzenia dla autorów przez niego cenionych związane z kolejnymi ich publikacjami i promocją. Świadczy o tym również fragment listu Stanisława Nyczaja napisany do mnie w związku z promocją mojego kolejnego tomiku wierszy *Poemat bez pamięci*. Krytyk, nie mogąc być obecny na promocji, uważał za stosowne wysłać go pocztą elektroniczną, by zdążył być odczytany na wieczorze autorskim:

Pisziesz pod koniec *Poematu bez pamięci*: „dziś na wysyłane wiersze nikt nie odpowiada”. Ja odpowiadam (...) wieszając Wenie, która pozwoliła Ci rozwinąć rymowane dystychy w otwierające się przed oczami mojej wyobraźni różne „historie” z dalszej i bliższej przeszłości. Otwierające się z rozmachem tokiem swobodnych skojarzeń, nasuwających ciekawe refleksje. Będę w sobie to Twoje nowe otwarcie układał, obmyślał, porządkował (...) Te inspirujące odczytania dodatkowo zobowiązują.

Stanisław Nyczaj pisze, wspomina i odpowiada na wiersze żyjących oraz tych, którzy odeszli, i traktuje to jako swój moralny obowiązek, co czyni książkę *Wśród pisarzy 2* pozycją wyjątkową, ważną i intymną.

Zbigniew Milewski

Stanisław Nyczaj, *Wśród pisarzy 2*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, 2017.

Tekst opublikowany w kwartalniku „LiryDram” nr 19 kwiecień-czerwiec 2018 dostępnym online pod adresem: http://pisarze.pl/pdf/lirydram_19_2018.pdf



Barbara Gajewska

Postowie

Już pierwsze wrażenia po lekturze tego zbioru dwunastu opowiadań oraz czterech utworów o charakterze legend-opowieści przekonują, że Autorka świetnie radzi sobie z prowadzeniem narracji. Tej zarówno pierwszo- jak i trzecioosobowej, która nabiera walorów dzięki soczystemu językowi gwarowemu lub stylizowanemu na gwara. Nie brak w warstwie językowej typowych dla gwary wiejskiej słów i wyrażań, czasem mocno dosadnych, kolokwialnych, różnych powiedzeń, porzekadeł. Nie brak zdań z charakterystyczną dla języka gwarowego składnią. Danuta Skalska dobrze ten język zna i czuje jego esencjonalność. Nic dziwnego – jako mieszkanka wsi nasiąkała nie tylko jej mową, ale i jej specyficznymi klimatami. Stąd też pewnie większość zamieszczonych w tej książce opowiadań związanych jest ze wsią nie tylko poprzez warstwę językową, ale kreowanie wiejskich bohaterów, umieszczanie akcji w wiejskich realiach. Jednak te realia są z reguły tylko zarysowane, zaznaczone dość blado, bo chyba nie one są istotnymi elementami treści.

A zatem co prezentuje warstwa treściowa tych opowiadań? Są to przede wszystkim rozmaite historie różnych ludzi, obrazki z ich życia. Dominują historie przykre, trudne.

Poznajemy problemy młodych bohaterów związane z pierwszą miłością, niedoświadczoną i zbyt ufną, co prowadzi do rozczarowań i zawiedzionych nadziei, historie samotnych kobiet, którym życie nie przyniosło szczęśliwych miłości, czy po prostu obrazki pokazujące ciekawe międzyludzkie relacje z bliższymi lub dalszymi osobami. Uwagę zwraca fakt wielokrotnego prezentowania typowego wiejskiego mężczyzny, chłopca – pijaka, przez którego cierpi rodzina, bo jego wrażliwość i sposób odbierania rzeczywistości zostały wypaczone przez alkohol. Wśród tego typu opowiadań wyróżnia się utwór *Dżentelmen*, ponieważ bohater wzbudza w czytelniku współczucie. Mimo że jest pijakiem, nie widać w nim tego stopienia osobowości. Zresztą inni też pokazują czasem nieco ludzkich odruchów, ale Witold z *Dżentelmena* jest wrażliwszy, potrafi kochać, nawet pisze wiersze. Przez alkohol został

sam, bo najbliżsi uciekli od niego, ale on nie czuje do nich złości, ma żal, jest mu przykro i smutno, ale rozumie, że sam siebie skazał na takie życie. Przygarnął go przyjaciel Rysio, który również popija i tak razem klepią przysłowiową biedę. To opowiadanie jest także świetnie ujęte pod względem formalnym, językowym. Sytuację bohatera poznajemy z jego wypowiedzi skierowanej do psa swojego przyjaciela. To taka pogawędka z czworonogiem prowadzona językiem bohatera – barwnym, stylizowanym na gwara; pogawędka, w której pobrzmiwa czasem złość na los, ale nie brakuje w niej też czułości i delikatności. To zwierzanie się bohatera wobec zwierzęcego słuchacza jest wiarygodne rzeczowo i językowo, nie trąci jakkolwiek sztucznością. Zatrzymałam się przy tym opowiadaniu, bo uważam je za najlepsze, co nie znaczy, że nie dostrzegam walorów innych tekstów. Tam gdzie Autorka przekazuje pączek snucia narracji jakiemuś bohaterowi z krwi i kości wiejskiemu, uderza z miejsca pewna swada narracyjna, Czytelnik wyraźnie odczuwa, z jaką lekkością i znużeniem operuje Autorka językiem bohatera. I nie brak w nim humoru, czasem wręcz rubasności, co czyni te teksty jędrnymi, mocno osadzonymi w klimatach, których dotyczą.

Widać to również w trzech końcowych utworach, które są opowieściami bazującymi na ludowych bajaniach, opowieściami o dziwacznych, duchach, niesamowitych zdarzeniach, miejscami wręcz mających znamiona horroru, jak choćby w opowieści *Upiór*. Dwie z tych opowieści, a mianowicie *Dziki Las* i *O Grecie z Czermina i Wojtusiu organiście*, to niewątpliwie legendy związane z bliskimi Autorce okolicami Przysuchy – miejscowości położonej niedaleko Opoczna. W wielu opowiadaniach pojawiają się często nazwy różnych miejscowości z obrębu tych okolic. No i przede wszystkim króluje przyroda. Tę odmalowuje Autorka z upodobaniem poetyckimi frazami, z których nie sposób nie wyczytać jej szczególnego związku z naturą, zachwyty dla jej różnorodnego piękna.

I tu ujawnia się Skalska jako poetka. Doskonałym przykładem będzie, moim zdaniem, początek opowiadania *Droga*:

Las falował majową zielenią, niepowtarzalną dzięki swej pierwszej młodości nieskażonej plamami rdzy i żółci, które tak szybko wkraczają w rozkwit natu-

ry, sygnalizując jej uwiad. Dęby z dumą zanurzały w słonecznych wodotryskach ząbkowane jak serwetki z cukierni liście. Leszczyny rozpościerały rozłożystą zieloność u stóp wysokich drzew, zaznaczając swe godne miejsca w hierarchicznej społeczności leśnego oceanu. (...) Przez trawy przelewał się jedwabisty błękit kwitnących przyłaszczek.

Związek Pisarki z małą ojczyzną, która wciąż zdaje się zajmować miejsce najważniejsze w jej wewnętrznym pejzażu, jest niewątpliwie w prezentowanych utworach mocno zaznaczony.

Ogarniając książkę całościowym spojrzeniem, nie sposób nie zauważyć, że od innych opowiadań odstaje nieco utwór zamieszczony na początku pt. *Droga* ze względu i na tematykę, i na czas akcji. To jedyny utwór nawiązujący do drugiej wojny światowej. Pozostałe dotyczą czasu późniejszego, niektóre wręcz współczesnego, bo pojawiają się w treści takie atrybuty czasów aktualnych jak choćby Internet i telefon komórkowy.

Trudno dokonać wnikliwego omówienia kilkunastu opowiadań w nie za długiej przecież wypowiedzi, która jest raczej zapisem moich odczuć, a nie krytycznoliteracką analizą. Nie wiedzieć czemu, podczas lektury opowiadań Skalskiej, przypląnęły ku mnie słowa Jana Kochanowskiego z *Pieśni świętojańskiej o Sobótce*: „Wsi spokojna, wsi wesoła! / Który głos twej chwale zdoła?”. Może ze względu na narzucający się kontrast, a może dlatego, że dostrzegam, iż pomimo wszystko, pomimo pokazy-

wania przez Autorkę gorzkich stron życia, nie tylko na wsi, Ignie ona do tej wsi z ogromną sympatią i zrozumieniem. A opowiadania, w których bohaterami są dzieci, pełne są też jasnych refleksów w obrazowaniu wiejskiego życia.

Niewątpliwie warto sięgnąć po tę książkę Danuty Skalskiej, która życie mieszkańców wsi nieco uniwersalizuje, bo przecież takie historie, jak tutaj pokazane, mogą przydarzyć się różnym ludziom mieszkającym w różnych miejscach.

Barbara Gajewska



Jan Janusz Liczkowski

O książce Danuty Ewy Skalskiej pt. *Wyspy na jeziorach czasu*

Wieś spokojna jest i wesoła,
ma swoje barwy i swe zakola.

Jan J. Liczkowski: – Co fascynuje cię w budowaniu opowiadań z życia wsi?

Danuta Skalska: – Nie tylko nostalgia za wsią, za jej barwnością, żywiłowością i niepowtarzalnością. Każda wieś jest inna, jest zarazem taka sama ze swymi zaletami przywarami, pogodą ducha, przywiązaniem do natury i niezwykłą witalnością.

J.J.L. – A „legendy i opowieści” wiejskie, które lubisz pisać?

D.S. – Legendy są głęboko zakorzenione w kulturze wsi. To jej esencja, tak mocna jak napar z mięty czy ziół.

Opowiadania głęboko i daleko sięgają. Osadzona w nich poezja wnika w duszę, promieniuje i trwa dalej. Autorka zadziwia wszechstronnością umiejętności literackich, dobrze i swobodnie operuje stylizacją gwarową, wzbogacając ją w poetyckie, sugestywne opisy przyrody, prowadząc wartki, trochę zawadiacki opis, jak w opowiadaniach: *Niuniek*, *Upojne lata*, *Dzentelmen*.

Jej opowiadania są wiarygodne, dają szeroki opis obyczajowości wsi, związanej np. z problemem nadużywania alkoholu i złożonych relacji między ludźmi. Autorka w zbiorze dwunastu opowiadań daje szeroką, wielopłaszczyznową panoramę polskiej wsi, pokazuje, że na wsi ludzie żyją inaczej, daleko od miejskich przeinaczeń i udziwnień, bliżej zwierząt, bliżej ludzi i bardzo blisko przyrody.

Autorka dostrzega także, że w życie wsi wkrada się magia i legendy. Stąd kolejna jej fascynacja, której wynikiem są cztery legendy-opowiadania w drugiej części książki. Wszystkie są wartko i sugestywnie napisane. Legendy są blisko związane ze

znanymi autorce okolicami Przysuchy koło Opoczna. Ujmująca jest zwłaszcza legenda *Upiór*. Bardzo żywo reaguje na nią młodzież szkolna, gdyż jest to połączenie klasycznej polskiej legendy z współczesnym filmowym thrillerem.

Po książkę Danuty Ewy Skalskiej warto sięgnąć, by być blisko spraw znanych, niepowtarzalnych i spotykanych w życiu, a jednocześnie znaleźć się w tamtych barwnych, niezwykłych, sugestywnych i zgoła egzotycznych realiach polskiej wsi.

Danuta Ewa Skalska, *Wyspy na jeziorach czasu*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2018, s. 136.

Danuta Ewa Skalska

Światłocienie

Czwarty zbiór liryków Elżbiety Jach zatytułowany *Między słowami* ukazuje wieloaspektowe widzenie świata z pozycji osoby dojrzałej, doświadczonej, mądrej życiowo. Poetycka przestrzeń wykreowana przez autorkę emanuje ciepłem, soczystością barw, melodyjnością, ale jest także pełna melancholii, czasem głębokiej, znamionującej osamotnienie i zagubienie człowieka w chaosie traumatycznych doświadczeń. Poetka dotyka różnych strun wrażliwości odbiorcy, prowokując go do autoanalizy wnętrza, wyzwała odruch identyfikowania się czytelnika za stanami psychicznymi podmiotu lirycznego. Osobiście w wielu odczuciach wpisanych w poezję Elżbiety Jach odnajduję siebie, odkrywam własne dylematy, lęki, przejawy nadwrażliwości. Poetycki kunszt autorki ujawnia się w lapidarności formy, bogatej metaforyce, ciekawych sposobach lirycznego obrazowania, zastosowaniu różnych odmian wiersza (biały, wolny, tradycyjny). Smutek, melancholia są w poetyckim zbiorze Elżbiety Jach nieomal wszechobecne. W jednym z subtelnych, zwięzłych liryków bez tytułu ujemna gradacja odczuwania smutku doprowadza do przytłaczającej konkluzji:

nicia czarną spętana
nawet bólu nie czuję
nie wiem
żyję jeszcze

Melancholia towarzyszy także wierszom poświęconym aktowi tworzenia, refleksjom wynikającym

z poczucia twórczego niedosytu oraz iluzyjności poetyckiego *non omnis moriar*.

Wiersze
nocne motyle
zamknięte w kokonie książki
z czasem ulecą
spopieleją w przestrzeni
prochem
powrócą do ziemi

Dominacja melancholijnych nastrojów w dziele literackim kojarzy mi się z powieścią tureckiego noblisty Orhana Pamuka *Stambuł. Wspomnienia i miasto*, gdzie miasto Stambuł jawi się jako zbiorowa melancholia. Autor-narrator, odwołując się do twórczości francuskiego poety i pisarza Teofila Gautiera przedstawia pogląd, że aura melancholii pozwala dogłębniej przeżyć urok pejzażu zarówno w prozie, jak w poezji. Melancholijne nastroje, oddziałując na psychikę odbiorcy, wywołują w nim stan emocjonalnego skupienia, inspirując go do pochylenia się nad walorami krajobrazu, niekoniecznie mieszczącego się w tradycyjnym kanonie piękna. W wierszu *Posąg* dedykowanym mamie, to właśnie nastrój smutku, zasygnalizowany już na początku wiersza, eksponuje intrygujące piękno poetyckiego obrazu. Intrygujące, bo wykreowane dzięki zastosowaniu ciekawych środków stylistycznych – synekdochy i szeregu personifikacji:

Zapach bzu liliowy
tak smutny że boli
złociste żonkile
zazdrosne o słońce
stokrotki różowe

pijane od rosy
dumne słoneczniki
z głowami w błękitach

Wprowadzona w pierwszym i drugim wersie wiersza aura smutku, harmonizuje z niepokojącym obrazem kwiatów, uosabiających ludzkie słabości. Wiersze Elżbiety Jach, ocienione melancholią, mają jednak w sobie także ciepło i światło. Jasność poetyckiego świata ujawnia się najpełniej w lirykach o miłości. Tomik zawiera przecież dedykację „Tym, których kocham”. Poetka dedykuje wiersze osobom najbliższym: mamie, synom, mężowi. W utworze *Podarunek* podmiot liryczny „chowa głęboko motek czarnych trosk”. „Kilimek wiersza”, który w wigilijną noc otrzyma mąż, skrzy się pogodnymi barwami, zdobią go „magiczne cekiny metafor”. Miłość w kolorystyce romantycznym, którego urokiem, pomimo bezwzględności najnowszych trendów w poezji, nie potrafię się oprzeć, pojawia się w wierszu *Jesteś mi potrzebny*. Monolog liryczny ukochanej adresowany do ukochanego jest przepełniony wyrażoną w prosty sposób żarliwością miłosnego oddania:

Oddam ci wszystkie dni
a ty
pokoloruj mi świat
muśnięciem spragnionych warg

Należy jednak zauważyć, że miłość w poezji Elżbiety Jach ma różne oblicza. Pojawiają się symptomy wypalenia uczucia, lęku przed jego wygaśnięciem, poczucie obcości w relacjach partnerów, spowodowane upływem czasu i zatonięciem w odrębnych światach własnych spraw. Ilustruje ten stan psychiczny wiersz *Labirynt*:

Krążymy błędzimy,
już się nie widzimy...
Chłodne słowa
opadają obojętnie
jak jesienne martwe liście

W tym wierszu pojawia się jednak niedopowiedzenie. Może ono sygnalizować cię nadziei na ożywienie uczuć: „Niebawem przyjdzie zima./ Chyba że...”.

Na początku swej wypowiedzi wspomniałam o melodyjności wierszy Elżbiety Jach, niektóre z nich mają bowiem formę piosenek, które przykuwają uwagę nastrojowością i warstwą brzmieniową, osiągniętą poprzez zastosowanie rymów, powtórzeń,

stroficzej budowy wiersza. Aby to zobrazować, posłużę się fragmentem utworu *Bez wskazówek*:

Stary zegar wystukuje
swą muzyką dzień za dniem
– Mija chwila, młodość mija,
życie mija tak jak sen

Wystukuje serce moje
swą melodię dzień za dniem:
– Mija radość i ból mija
stukam, bo jeszcze żyć chcę.

Powyższy liryk ze względu na motywy zegara i przemijania przypomina mi wiersz francuskiego poety Guillaume’a Apollinaire’a *Most Mirabeau*. Oto końcowy fragment utworu:

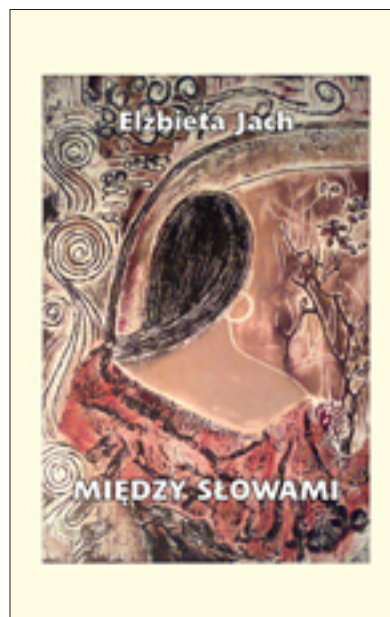
Niech dni się toczą jak rzeka wezbrana
Ni czas nie zawraca
Ni miłość pożegnana
Pod mostem Mirabeau płynie Sekwana

Zegar niech dzwoni noc niech nastaje
Dni ulatują ja pozostaję
(przeł. Adam Ważyk)

Zachęcam do wędrówki po poetyckim terytorium Elżbiety Jach, gdzie czytelnik doświadczy wielu wzruszeń, olśnień, zachwyci się finezją słowa, odnajdzie swoje „ja” w zmiennych nastrojach i lirycznych wyznaniach.

Danuta Ewa Skalska

Elżbieta Jach, *Między słowami*, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON2”.



Zbigniew Leoniak – leśnik, prozaik, poeta

(...) Tak oto wygląda gra pozorów między nami. Bo trzeba bardzo silnie udawać oddanie drugiej osobie, żeby choć cząstka związanych z tym wartości zaistniała naprawdę. (...) – bądź dla mnie każdego dnia coraz lepszy wobec siebie.

Zbigniew Leoniak, *Zakazany romans*, Kielce 2000, s. 104-105

Barwny życiorys, niespokojna natura, w młodości poszukiwacz wrażeń i przygód, wyłamujący się w postępowaniu i myśleniu z narzuconych schematów, autor kilku powieści (*Samiec*, 1988; *Pazurki*, 1997; *Zakazany romans*, 2000; *Janczar fikcji*, 2001; *Antyromans*, 2009), opowiadań, tomików wierszy (*Wszechświat osobisty*, 2010). Był jedynym twórcą – jak dotychczas – mieszkającym we Włoszczowie, należącym do Związku Literatów Polskich (od 1982 r. członek kieleckiego ośrodka Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy).

Urodził się 4 września 1952 r. w Gdańsku. Jego ojciec Ludwik Leoniak – warszawiak z krwi i kości – był inżynierem leśnikiem, absolwentem Politechniki Lwowskiej. W czasie wojny wywieziony został wraz z rodziną na Syberię. Przeszedł szlak bojowy w mundurze żołnierskim znad Oki aż do Berlina. Matka Zofia (z domu Bilik) była księgową. We Włoszczowie pracowała w Spółdzielni Rzemieślniczej „Metal” i w Nadleśnictwie Lasów Państwowych.

Przyszły pisarz do szkoły podstawowej uczęszczał w Białowieży, gdzie jego ojciec był dyrektorem Rejonu Lasów Państwowych, i we Włoszczowie, dokąd rodzice przenieśli się pod koniec lat 60. ub. wieku. Jest absolwentem Technikum Leśnego w Lesku.

Pracował w różnych zawodach i wielu zakładach pracy, poszukując wciąż niezależności i swego miejsca w „skrzeczącej pospolitości”. Najdłużej był leśnikiem i urzędnikiem w Nadleśnictwie Lasów Państwowych we Włoszczowie. W latach 80. XX wieku był związany z niezwykle barwnym środowiskiem kieleckich artystów.

Karierę literata zaczął od pisania wierszy, które miały być pewnym ćwiczeniem przed zajęciem się większymi formami literackimi. Zadebiutował wierszem *Pamięć* w 1979 r., opublikowanym w „Nike” – dodatku literackim do „Żołnierza Polskiego”. Poe-

zję – jak sam wyznał w jednym z wywiadów – pisał z potrzeby serca, gdyż jest ona wyrazem głębokich przeżyć, swoistym zapisem lirycznym.

W poezji Zbigniewa Leoniaka świat ma wiele różnych odcieni, zaskakujących skojarzeń, dziwnych elementów, wieloznacznych obrazów, postaci z pogranicza jawy i snu. Unika jednoznaczności, logiczności, dosłowności, operując nieoczekiwanymi zderzeniami znaczeń i napięciami słowa. Wiersze z pewnością są dojrzałe, choć nie zawsze czytelne. A może to jest cecha współczesnej poezji?

Z tomiku *Wszechświat osobisty* (Kielce 2010) przytaczam chyba jednak czytelny liryk pt. *Miłość*:

Listek porwany z balkonu
poświatą księżycą
w lirycznej tonacji
Szeptaniem bluszczu
ku romantyce sekretów
zmroczonych ogrodów
W nokturnie poblasków
dyskotek i gwiazd
jak zwykle nie pytam
o miejsce czy status
osoby i czas

Zbigniew Leoniak w swej twórczości był na ogół autopsjonistą, czyli – jak wyznał przed laty w jednym z wywiadów – „musi włożyć palec, żeby się o czymś przekonać” (zaprzecza chyba jednak temu stwierdzeniu chociażby wydana wiele lat później powieść *Janczar fikcji*). Tematy czerpał z życia i umiał je przetworzyć w sposób inspirujący do głębszej refleksji. Był znakomitym i inteligentnym obserwatorem życia. Autobiografizm Leoniaka przypomina czasami niektóre utwory „młodego gniewnego” pisarza lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych minionego stulecia Marka Hłaski.

Autor *Pazurków* nie tyle chciał być dobrym pisarzem, ale nim był, zwłaszcza jako prozaik. Opowiadał warsztat pisarski w zakresie kompozycji, technik narracyjnych w wysokim stopniu. Oporne słowo stawało się pod jego piórem coraz bardziej posłuszne. Pisarza interesowało „dzieło otwarte” w stylu Umberta Eco. Nie można bowiem zastosować jednoznacznych norm oceny utworu, które wymyka się spod skrzydeł tradycyjnej poetyki.

Z prozaików cenił Brunona Schulza, Jacka Londona, z poetów chociażby Franciszka Villona. Nigdy jednak nie starał się nikogo naśladować. Szedł własną ścieżką literacką, zostawiając na niej coraz trwalszy ślad.

Wiersze, opowiadania (cykl *Przez sen*, np. *Ludzie z kukułką*, *Jak przedłużyć życie*, *Sposób na bezrobocie*, *Symbioza*), fragmenty powieści i felietony publikował w „Słowie Ludu”, „Echu Dnia”, „Okolicach”, „Nowej Wsi”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Kulturze”, „Ikarze”, „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”, a także w almanachu *Bazar 4*.

Większość utworów Z. Leoniaka została wyróżniona i nagrodzona. W 1980 r. w konkursie „Robotnicy, młodość, postawy, polityka” otrzymał główną nagrodę za opowiadanie *Ucieczki do realiów*. Materiał tematyczny posłużył do napisania powieści *Samiec*. W 1985 r. otrzymał III nagrodę za cykl wierszy *Tryptyk śląski* w konkursie im. Zbigniewa Krupowiesa „Ziemia moich wierszy”. W roku 1990 przyznano mu III nagrodę w ogólnopolskim konkursie im. Jarosława Iwaszkiewicza, zorganizowanym przez wydawnictwo „Iskry” oraz Bibliotekę Publiczną w Tarnobrzegu, za powieść *Pazurki* (Kielce 1997).

Stanisław Nyczaj w recenzji wydawniczej (s. 281-282) napisał m.in. (...) „Siłą tej powieści jest prawdomówność. Wykreowanie świata przedstawionego konsekwentnie według reguł realizmu: świata postaci i zdarzeń reprezentatywnych dla historycznego okresu. (...) Wszystko w tej powieści udatnie się klei. Żywy, obrazowy, a przy tym dość jednorodny styl (z lekkimi, zręcznymi stylizacjami na slangi środowiskowo-zawodowe) nie rozprasza uwagi, wciąga, trzyma w napięciu. Zbigniew Leoniak ekspresyjnie wykreował, zda się, więcej niż podpatrzył. Jego talent kryje w sobie duże możliwości”.

Na talent pisarza zwróciła też uwagę w recenzji powieści *Pazurki* Elżbieta Cebo („Wiadomości Kulturalne”, nr 4 z 25 stycznia 1998 r., s. 13), pisząc, że „książka jest znakomita, wartka, męska. Przepowiada talent. Zbigniew Leoniak w pisaniu daje sobie zupełnie dobrze radę. I pewnie to jest jego powołanie”.

W 1998 r. opowiadanie *Zmowa* wyróżnione zostało w konkursie im. Tadeusza Micińskiego (organizator – łódzki Oddział ZLP). W konkursie zorganizowanym przez Zarząd Oddziału ZLP w Kielcach i Muzeum im. Mikołaja Reja w Nagłowicach o tematyce „rejowskiej” otrzymał wyróżnienie za powieść *Zakazany romans* (Kielce 2000).

Rok 2001 przyniósł pisarzowi kolejne wyróżnienie – w X edycji konkursu literackiego warszawskiej Fundacji Kultury „Promocja najnowszej literatury polskiej” za powieść *Janczar fikcji* – powieść iście „filozoficzną, erudycyjną, intelektualną” (jej wydanie dofinansowała Fundacja Kultury). Jeden z jurorów

konkursu tejże Fundacji Stefan Starczewski napisał o książce, że jest to „powieść nadzwyczaj współczesna, postmodernistyczna, oniryczna, kreacyjnistyczna, wielowątkowa. Powieść, która – mimo pozornych pokrewieństw z wieloma produktami literatury popularnej czy też z modną literaturą fantasy – jest utworem całkowicie serio, dziełem literatury wysokiej o złożonej, wielowarstwowej, dającej do myślenia symbolice”.

W 2006 r. zajął drugie miejsce w ogólnopolskim konkursie literackim „O łabędzie pióro” za opowiadanie pt. *Czyścić (lub o dziewczynce i gazeli)*.

Pisarz otrzymał w 2002 r. Nagrodę Starosty Włoszczowskiego za szczególne osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury, a w 2011 został nagrodzony w tej samej kategorii przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Świętokrzyską Nagrodą Kultury 2012 uhonorował go Zarząd Województwa „w uznaniu dokonań wzbogacających dorobek kulturalny województwa świętokrzyskiego”.

Odznakę „Zasłużony Działacz Kultury” otrzymał w 1998 roku.

Był żonaty z Danutą z Koćwinów – bibliotekarką Biblioteki Publicznej we Włoszczowie (absolwentka bibliotekoznawstwa i informacji naukowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Jana Kochanowskiego w Kielcach), córka Izabela – absolwentka filologii angielskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie.

Zginął w wypadku drogowym 22 czerwca 2015 roku. Pochowany został na cmentarzu parafialnym we Włoszczowie.

Prezes Oddziału ZLP w Kielcach Stanisław Nyczaj we wspomnieniu o autorze *Janczara fikcji* zamieszczonym w „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” (nr 1-4/2017, s. 29-30) napisał m.in. „Lubiłem Zbyszka, utalentowanego prozaika i poetę. Znałem jego kłopoty, heroiczną walkę z chorobą i alkoholowym nałogiem, w tym drugim przypadku wygraną dzięki pisaniu i trosce wyrozumiałej, mądrej Danusi. Odwiedzałem go w domu przy Kolejowej, dopingowałem do pracy nad kolejnymi książkami. [...]

Puentowałem swą wypowiedź pożegnalną [prezes S. Nyczaj był również mistrzem ceremonii pogrzebowej – przyp. TS], iż Zbyszek, obserwując życie, wyciągał i zapisywał wnikliwe, głębokie refleksje. Utrwalił je w swych książkach i ich sześć zostawił nam jako najcenniejszy i trwały dar od siebie”. [...]

Tadeusz Stolarski

Krystyna Konecka

Tajemne znaki duszy Krystyny Cel

Z twórczością poetycką Krystyny Cel – kieleckiej podopiecznej muzy Euterpe – zetknęłam się zbyt późno, by móc śledzić jej rozwój z książki na książkę. Wydaje się jednak, że już od debiutanckiego zbiorku pt. *Nim zapadnie zmierzch* (1996) można było określać tę poezję jako dojrzałą, głęboko przemyślaną, zasługującą na uwagę wyrobionego czytelnika. Zanim sięgnęłam niedawno po pierwszy wybór wierszy pt. *Czuła retrospekcja* (2010), miałam okazję poznać też eseistyczny talent poetki na łamach bydgoskiego miesięcznika „Akant” oraz „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”. Tytułowy wiersz z *Czułej retrospekcji* odnalazłam (po sąsiedzku) wśród innych liryków Krystyny Cel w *Antologii Poetów Polskich 2016* wydawnictwa Pisarze.pl.

To właśnie w tym wierszu, definiującym osobiste poczucie straty i świadomość przemijania, poetka deklaruje jednocześnie wolę trwania wobec niewiomego:

mocno i zachłannie
biorę w ramiona
mój cały świat

Wydawać by się mogło, iż – ze strofy na strofę – ta deklaracja wybrzmi w słownictwie i dynamice poszczególnych fraz (współczesną poezję, także kobiecą, rozsadza często ekspresja emocji, czasem agresja). Jednak w poezji Krystyny Cel jest inaczej: swój świat stwarza i opisuje z filozoficznym spokojem, w sposób niemal konfesyjny, i może właśnie dlatego odbiera się te liryczne miniatury, pozbawione także graficznej dynamiki wersyfikacyjnej oraz interpunkcyjnej – „mocno i zachłannie”. Podpisuję się pod refleksją Jana Zdzisława Brudnickiego, objaśniającego logikę tej poezji: „...przecież istnieje też ogród języka, teatr ludzki. Wreszcie przemiany czasu, rozpad minionego świata – to okazje do uzyskania nowej tożsamości”.

Tyle oto słów tytułem wstępu do krótkiego opisanie nowej książki poetyckiej Krystyny Cel, zatytułowanej „*Kaprysy Muz*” i inne wiersze

(2017), znowu podarowanej czytelnikowi przez Oficynę Wydawniczą „STON 2”. Przy okazji słówko odnośnie tego edytora, dzięki któremu – pod egidą Ireny i Stanisława Nyczajów – literackie środowisko kieleckie, i nie tylko, ma możliwość stałej publikacji swojego dorobku oraz uczestnictwa w spotkaniach służących wymianie myśli i doświadczeń twórczych. Ale – ad rem.

W najnowszym zbiorku zwraca uwagę już pierwszy, wyodrębniony cykl „*Kaprysy Muz*”, o którym Stanisław Nyczaj pisze we wstępie, iż „...jest zjawiskowym (jakby widzialnym i słyszalnym) poruszeniem strun zastanej i niewzruszonej, zdawałoby się, tradycji. Poruszeniem w najmniej u Cel spodziewanej dotąd w takiej skali – tonacji żartobliwej przekory. Muzy kapryszą...”. Wybór, tak odmiennego od dotychczasowych, tematu zaświadcza, iż, pogodzona już definitywnie z nieuchronnością upływu czasu i zawężającym się kręgiem życiowej oferty, poetka przecież odkrywa niewątpliwą satysfakcję w intelektualnej zabawie z postaciami „koleżanek” ze sfery antycznej kultury, dziewięciu córek Zeusa i Mnemosyne. Klio, Uranię i Terpsycho, Melpomenę, Kaliope i Erato, Thalię, Polihymnię i Euterpe ożywia, przydając każdej z nich nowe cechy, niekoniecznie związane z utrwalonymi przez mitologię atrybutami. Dlatego:

Fleciśka Euterpe pragnie zaśpiewać
miłosną pieśń liryczną
ale nie czuje natchnienia

prosi swoją siostrę Polihymnię
bo to ona zsyła wenę poetom
ale ta ćwiczy miny przed lustrem

zwraca się do samego Apollina
przewodnik Muz zapatrzył się dziś
w tańczącą Terpsycho

Euterpe rozgląda się wokół
nagle zauważa dorodnego pasterza
może to on rozbudzi wyobraźnię

Jeżeli autorka tego cyklu inspirowała się rzeźbami lub wizerunkami z antycznych waz, można sobie przedstawić, jak ją z kolei poniosłaby wyobraźnia, gdyby stanęła przed XVI-wiecznym płótnem Jacopo Tintoretta niemal nagich *The*

Muses. Albo przed *Muzami* Wojciecha Weissa z 1927 roku. Albo wobec spowitych po szyję w białe szaty akrylowych *Muz niepokalanych* Pawła Duraja z roku 1980... Wszystko jeszcze przed Tobą, nieprawdaż, Krysiu?

„Nic w tych wierszach – pisał o poezji Krystyny Cel poeta i krytyk Stefan Jurkowski – nie jest zamknięte, choć świat wydaje się i poznany, i niepoznawalny zarazem. To przekonanie jest zapewne motorem i głównym przesłaniem jej poezji”. Otóż. Spośród ponad czterdziestu pozostałych wierszy najnowszej książki wybrałam... niemal wszystkie do ponownej lektury. Zatrzymała mnie ich, może ledwie zauważalna, tonacja otwarcia, nadziei, bo przecież:

W moim nowym kalendarzu
złoty pejzaż jesieni...

I tyle chcę zachować z wiersza *Kalendarz*, a nie puentę mniej optymistyczną. Zwłaszcza że, jak o swoich „różowych okularach” poetka pisze:

może to już pora
przywrócić je do łask
może nie straciły jeszcze
czarodziejskiej mocy

Może. Bo – morze. Bo drzewa. Bo Kazimierz z rynkiem i tęsknotą. Bo Tatry, gdzie „zachwyty wciąży błędzi/ od szczytu do szczytu...”. A jeszcze – czas, i cisza, i miłość, te zachłannie inspirujące wyobraźnię pojęcia, ulotne artefakty, o których nigdy dość. I które tak pięknie mieszczą się w prostocie frazy, trafiającej do serca znacznie bardziej niż niegdysiejsza tzw. poezja wyniosła. I które odnajduję jako dyskretne pokrewieństwo ze „sztuką ocalania i zapamiętywania” w tomie *Zapísane* Julii Hartwig, chociaż autorki mogły nigdy się nie spotkać.

„*Kaprysy Muz*” i *inne wiersze* zabrałam do czytania nad morze, na Półwysep Helski. To niezwykle uczucie, kiedy siedząc na białym wilgotnym piasku nadbałtyckim odkrywasz nagle wiersz Krystyny Cel pt. *Ja i morze*, i podpis: Kuźnica Helska, 2017. I Ja. I morze...

Krystyna Konecka

Muzy, miłość i poezja

Nowy tom wierszy Krystyny Cel (autorki m.in. siedmiu tomików poezji) – „*Kaprysy Muz*” i *inne wiersze* jest poprzedzony precyzyjnym wstępem Stanisława Nyczaja. Już to stawia przed chcącym napisać własne wrażenia z lektury trudne wyzwanie, tym bardziej że interpretację wierszy w tym wstępie, zwłaszcza cyklu o tytułowych *Muzach* – podzielałam.

Więcej: mam swój skromny udział dot. tego cyklu. Otóż p. Krystyna przysłała mi niedawno ten cykl z prośbą o opinię o nim, argumentując filuternie, że „Staszek tylko chwali”. Odsyłając wydruk wierszy napisałam, że skoro chwali, to wie, za co. I dodałam, iż cykl poświęcony starożytnym *Muzom* greckim jest pomysłem ciekawym, bo te sposobowiały przez tysiące lat postacie odbrązawia i ożywia, tak że stają się nam bliższe, po prostu ludzkie. A przy tym są zaprezentowane w przekonującej, czytelnej formie poetyckiej.

Nie wiem, czy i w jakim stopniu ten mój „osąd” przyczynił się do starań poetki o druk cyklu, ale wkrótce ukazał się on w „*Poezji dzisiaj*” (2017). Potem p. Krystyna zwierzyła mi się telefonicznie, że włączy cykl do nowego zbiorku poezji. Niebawem zadzwonił też Staszek Nyczaj (także wydawca tej książki) z prośbą o... jej recenzję, zaś kilka dni potem drogą pocztową autorka obdarzyła mnie swym nowym dziełem.

Staszekowi Nyczajowi – jak niegdyś niezapomnianemu Felkowi Rajczakowi (1938–1987) – trudno odmówić. Ba, ale – recenzja? Pisałem o wielu książkach, nigdy jednak nie uważałem się za krytyka literackiego. Ot, czasem notowałem swe wrażenia z lektury – wrażenia czytelnika. Niniejszy tekst traktuję tak samo.

O cyklu dziewięciu wierszy nt. *Muz* tu się nie wypowiadam, bo – jak już wspomniałem – odczytałem go podobnie jak S. Nyczaj. Wprawdzie pisze on we wstępie również o niektórych innych utworach z tego zbiorku, ale moje wyczytanie się w jego zawartość nasuwa własne refleksje. Szczególnie te, które wypływają z liryków miłosnych. *Dzisiaj* (wg mnie – niestety) wiersze o miłości nazywa się erotykami, co sugeruje, że mówią one tylko o jej fizycznej stronie. Wzięło się to ze zmian obyczajowych, z „wzorców” tzw.

rewolucji seksualnej, która miłość jako uczucie oraz seks wrzuciła do jednego worka. A to sprawę zbrutalizowało i narzuciło nowe lub zmienione semantycznie pojęcia w tej sferze.

Proszę zwrócić uwagę choćby na takie aspekty. Nie używa się otóż słowa „miłować”, lecz „kochać”, które znaczeniowo sprowadza się niemal wyłącznie do erotyzmu. Słowo „kochanek/kochanka” ma teraz jednoznaczne, raczej pejoratywne znaczenie. Czy takie miało np. w epoce Mickiewicza? W przekazach medialnych nie spotkamy powszechnego niegdyś zwrotu „miłość platoniczna”. Czy zatem są to pojęcia li tylko teoretyczne? Nie, choć w rzeczywistości biorą się z rzadszych niż kiedyś faktów.

Ten wywód wywoła zapewne niejednen uśmiech politowania: „Ee, zrzęczenie starego poety...”. Starego – tak, ale czy zrzęczenie? Bywa, że stary dużo wie o życiu, także współczesnym. I ma prawo do własnego zdania. Tu jednak chodzi o lirykę miłosną. Nie było w dziejach i nie ma poety, który by się nie mierzył w swej twórczości z tym tematem. Czyni to również w nowej książce Krystyna Cel. Doświadczona życiowo i twórczo kielecka poetka i eseistka oczywiście unika w wierszach sentymentalnych, a tym bardziej werterychnych środków wyrazu, owych westchnień, jakie mimo woli zawsze podpowiada zjawisko miłości. Ale też nie epatuje modnym, brutalnym seksizmem. Przeciwnie – jej wiersze o tym uczuciu można by objąć dwoma pojęciami: subtelność oraz różnorodność – tego uczucia, rzecz jasna.

Subtelność odnosi się zarówno do niego, jak i do środków artystycznych. Dojrzały psychicznie i wrażliwy człowiek wie, że miłość ma niejedno oblicze, niejednen wymiar. Nie chodzi tu bynajmniej o różne rodzaje miłości – np. do Ojczyzny, do dzieci, do rodziców... I proszę nie doliczać: do pieniędzy, jako że to jest żądza, a nie miłość. A różnorodność? Właśnie to uczucie jest zawsze skomplikowane, najeżone często niewidzialnymi pułapkami. To jakby droga, ale nie bity trakt czy asfaltowa autostrada upstrzona znakami drogowymi. To raczej szlak nieprzetarty, nieprzewidywalny dla każdego z osobna. A to niesie niepokój, rozterkę, bolesne przeżycia i doświadczenia. W wierszu *Chwile*, pozornie na inny temat, pisze poetka, że chwile „za nic mają wołanie że piękne / że mogłyby trwać wiecznie”.

Miłość dwojga, nawet piękna i udana, to zawsze dwa światy: „Nasze światy twój i mój / jak

dwa odrębne zbiory”. Niełatwo i nieczęsto udaje się osiągnąć stan biblijnego nakazu, aby ona i on „stanowili jedną duszę i jedno ciało”. Przypomina się wers dawnej piosenki: „Kochać – jak to łatwo powiedzieć...”. Zaś poetka, w polipptyku *Jeśli nie znajdę sposobu* twierdzi z goryczą: „Czekam na twoje słowo / jak skazaniec na łaskę”. Bo „zaklinam miłość”. Lecz zaklinanie niekonieczne daje pożądaný skutek: „tak łatwo oddzieliłeś duszę od ciała / a przecież miały być jednością”. To może zawalczyć inaczej? Pokazać swój „nawny amok”, który „bawi cię / ale chyba i cieszy”? Lecz chce się, by ten stan (euforii?) był skuteczny, więc zdziwienie: „czemu więc nie podkręcasz / jego blasku”. I zaraz ostrzeżenie: „gdy [blask] zszarzeje a może zgaśnie / nic już nie będzie takie samo”. Czyli takie jak było, gdy fale obojga serc zbliżały się do siebie. Jak więc będzie? Smutno, z nienadzieją na czas, kiedy „błogi sen o tobie [dni pochmurne] zamieniły w tęsknotę”. I to już są symptomy początku końca tego uczucia. Zapewne jeszcze będą się zdarzały jakieś próby powrotów, wyjaśnień, naiwnej wiary, ale tak wcześniej pobudzające „czułe słowa [...] gubią swój ślad”. Być może, jeszcze się podejmie próbę ich uchwycenia, ale skończy się na chęci uchwycenia ich echa...

Meandry miłości istnieją zawsze i rzadko da się je usidlić, opanować. Częściej prowadzą do kresu uczucia – tego konkretnego uczucia konkretnych dwojga osób. To niewesoła perspektywa, ale czy wszystko zostanie unicestwione? Niekoniecznie. Jeśli uczucie było prawdziwe (inaczej by nie bolało po jego utracie), to pozostanie całkiem niebagatelny skarb: wspomnienia. Co prawda, nie są one uporządkowane, w ciągu życia przybawają nowe, jest ich coraz więcej, nakładają się, mieszają „jak piłeczki w koszyku do losowania”, ale – są! Owszem, większość z nich skrywa się w zakamarkach pamięci. Toteż gdy chodzi o te urokliwe, kodujące w sobie to, co było dobre, najpiękniejsze w czasie rozkwitu uczucia, trzeba wysiłku, by je przywołać:

i trzeba cudu fantazji
by z trudem wydobyte
powołać do życia na nowo

Może właśnie dlatego, że miłość jako uczucie jest tak skomplikowana, porusza się „drogą” pełną wykrotów, nigdy do końca nieprzetartym szlakiem, a równocześnie jako zjawisko jest nieprze-

mijalna, dopóki istnieją ludzie – jest ona zawsze intrygująca, a dla twórców stanowi źródło weny oraz (jak to trafnie określił Stanisław Nyczaj już 20 lat temu) erotyki, wiersze miłosne „są w przypadku każdego twórcy najlepszym sprawdzianem artystycznego kunsztu, kreatywnych możliwości”. Potwierdza się to także w omawianym tu tomiku tej autorki.

Odwołałem się tutaj jedynie do wierszy miłosnych, choć niektóre przytoczenia pochodzą z utworów o pozornie innej tematyce. Lecz ten niewielki zbiorek zawiera też wiersze ukazujące inne obszary zainteresowań poetki, jak przemijanie, piękno ojczystych pejzaży, inspiracje znanymi klasykami twórczości nie tylko literackiej, wskazane we wstępie polipytki: *Oblicza ciszy*, *Słowa* czy wspomniane wyżej *Chwile*.

Łącznie w tym zbiorze Krystyna Cel obdarzyła miłośników poezji liczbą 50. utworów. Jednakże nie ilość, lecz głębia penetrowania ludzkiej świadomości, refleksja nad meandrami życia człowieka – jego wnętrza psychicznego i egzystencji interpersonalnej oraz kunszt artystyczny tej poezji stawiają Poetkę wysoko w rodzinie współczesnych poetów polskich.

Rafał Orlewski

Krystyna Cel, *„Kaprysy Muz” i inne wiersze*. Oficyna Wydawnicza „STON 2”. Wstęp i redakcja: Stanisław Nyczaj. Wydanie pierwsze, s. 76. Kielce 2017.



Recenzja książki *To jedno Elżbiety Musiał*

W tomiku poetyckim *Mówię pochyloną cambrigi*, pochodząca z Końskich autorka skupiła się na postaciach Katarzyny Kobro, Fridy Kahlo, Camille Claudel i Elinor Wylie Morton. Przyglądając się ich losom i dziełom, stworzyła wówczas przejmującą do szpiku kości liryczną wypowiedź, opowieść o tworzeniu i przeżywaniu. To jednak nie koniec. W swoim najnowszym poemacie, tym razem prozą, poświęciła uwagę Dorze Maar, wybitnej artystce fotografii, muzie i kochance Pabla Picassa. Znowu udało jej się poruszyć do głębi nieobojętnego na tematykę psychologii i sztuki czytelnika.

Przyznaję, że o istnieniu Dory Maar do tej pory nie miałam pojęcia. Może dlatego, że nigdy nie zagłębiałam się szczegółowo w biografię twórcy *Guerniki*, a choć interesuję się historią sztuki, to jednak moja wiedza w tym zakresie pozostawia wiele do życzenia. Dzięki tej niepozornej książeczce nie tylko poszerzyłam swoje wiadomości, ale zaczęłam się zastanawiać nad tym, jak często za sukcesem mężczyzny kryje się dramat kobiety. Jak wiele kobiet jest niedocenianych w dziedzinach, którymi się zajmują, zapomnianych, mimo ogromnych osiągnięć. I tu przychodzą na myśl książki *Upór i przekora. 52 kobiety, które odmieniły naukę i świat* Rachel Swaby oraz *Żona Einsteina* Marie Benedict, wywołująca z cienia postać Milevy Marić.

Wróćmy jednak do utworu Elżbiety Musiał. Poemat ma formę monologu skierowanego do adresata: w pierwszej części do Dory Maar, w drugiej – do Pabla Picassa. Na uwagę zasługują wnikliwość, z jaką ukazane są poszczególne sytuacje, duża emocjonalność i pewna zmysłowość płynące z tego przekazu.

Poetka z właściwą sobie wrażliwością przygląda się postaci Dory Maar, podążając jej śladami. Próbuje zrozumieć, dlaczego tak utalentowana kobieta zrezygnowała z własnej twórczości, z siebie, poświęciła się dla mężczyzny, „skarłała do roli kochanki”. W imię czego? Miłości? Uznania wyższości jego geniuszu? Poetyckie spojrzenie na Dorę pełne jest współczucia, empatii, żalu nad samotnością i zniszczoną osobowością artystki, która u boku słynnego kubisty zamiast rozkwitać – uschła, stała się ofiarą. To głos kobiety o kobiecie.

Rozbudowana refleksja o życiu, miłości, śmierci i sztuce. „Życie i Guernica, Doro. To jedno” (s. 34).

Przypisy zawierające wszelkie informacje, niezbędne do zrozumienia, o kim mowa w utworze (noty biograficzne, najważniejsze fakty dotyczące Picassa, Dory, Eluarda, obrazu *Guernika* itp.) okazały się bardzo pomocne. Umożliwiają lekturę poematu także laikom, uzupełniają go.

To jedno opowiada o skomplikowanych relacjach pary artystów, ich podejściu do sztuki i miłości, o okrutnym traktowaniu kobiet przez słynnego malarza – egoistę. To jednocześnie eseje o sztuce napisane w poetyckiej formie, o ciekawej, inspirującej treści. Wzbogacają go grafiki wykonane przez autorkę.

Autor: Agnieszka Grabowska, czwartek, 23, luty 2017, Czytajmy Polskich Autorów, Recenzje: <http://www.polscyautorzy.pl/index.php/pl/recenzje/939-elzbieta-musial-to-jedno-ark-media>.



Elżbieta Musiał: *Przestrzeń liryczna I*, grafika komputerowa, druk cyfrowy, pleksi, wym. 66 cm x 49,5 cm

„Poziom to bardziej wspinaczka niż pełzanie”

Kreślone kredą to drugi zbiór aforyzmów Kazimierza Kochańskiego, wydany po tomiku *Kartkując* z 2015 r. I tym razem dowodzi, że aforyzm – ten również i mój ulubiony gatunek – jest zazwyczaj, poza poetycką grą słów i znaczeń, myślą kpiarską, przewrotną, ironiczną. Zwodzi naiwną pewnością na „złobne” manowce wątplenia. Zaleca się skojarzeniowym paradoksem, językowym humorem. Że to myśl galopująca na pstrej Fantazji. Perła konceptualnego dowcipu. Przy tym nie znosi przegadania, objaśniania, tłumaczenia. Musi trafić w samo sedno celnie jak strzała Amora w serce. Kazimierz Kochański, znający zalety zwięzłych form wypowiedzi, umie tę zwięzłość w myśli i języku wypracować i wyczelować.

Zachęcam więc do na poły relaksowej koncentracji uwagi. Właśnie z uśmiechem, czyniącym ciężar gatunkowy spraw przychylniejszym, sprzyjającym osobistemu polubieniu.

Tym razem w tomiku *Kreślone kredą* autor uporządkował swoje aforyzmy i sentencje alfabetycznie. Jest to praktyczne w wyszukiwaniu. Taki układ stosowało wielu zasłużonych dla gatunku twórców przy dokonywanych własnych retrospektywnych przeglądach, np. Joachim Glensk z Opola (skądinąd zasłużony antologista polskiej i światowej aforystyki, mający skatalogowany jej największy zbiór) czy – brylujący swego czasu w kręgu przyjaciół rozmiłowanych w aforystyce, również były opolanin Wiesław Malicki (1935–2011), który był niezrównanym rywalem w organizowanych przeze mnie pojedynkach na fraszki i aforyzmy. Zagrzewam też do takiego fechtunku na „trafiające w dziesiątkę” myśli z przekąsem Kazimierza Kochańskiego. Wyprowadzę go z alfabetu... równowagi. Powalczymy o wszystko, a on – kierując ostrze słownej tyrady w moją pierś – odpowie buńczucznie na postawione sobie samemu pytanie: „Wszystko już było? Nieprawda; nie jestem sam”.

Nie dajmy się niby-ułatwieniem pochopnie zwieść. Alfabet nie jest panaceum na idealny kompozycyjny porządek, bo już przy A czytamy: „Alfa z pewnością jest początkiem. Omega nie jest końcem, bo alfabet naszych porozumień musi mieć czas przyszyły”. Żeby wybiec w ten czas, po-

trzeba nie lada sprytu. Może nawet trzeba zdobyć się na myśloobrazowe salto mortale. Przestrzega nas przed konsekwencjami takiego ryzykownego kroku najkrótszy ze zwięzłych aforyzmów: „Cóż, że? Gdy?”, skłaniający do jakże szerokiej refleksji – tego rodzaju np. co z tego, iż tak bardzo się staramy, zabiegamy, gdy nieunikniony, czyhający nasz koniec to pasmo nawet najbardziej twórczego wysiłku bezlitośnie i brutalnie przerwie.

Kazimierz Kochański podejmuje swój ekwilibrystyczny trud w nadziei spełnienia, osiągnięcia i pozostawienia trwałego efektu. A Czytelnik swą poszukiwawczą zapobiegliwością musi wynieść dla siebie lekturowy plon. Autor go inspirująco-dwornie przestrzega: „Perspektywa wymaga dystansu większego niż długość perskiego dywanu”. Przy czym trzeba pamiętać (pomaga dyskretnie autor): „Poziom to bardziej wspinaczka niż pełzanie”.

Warto się na taki wysiłek zdobyć, podnosząc jednocześnie w sobie poziom adrenaliny zaciekawienia.

Życzyłbym Kazimierzowi, by jego aforyzmy jako przyswojone myśli szeroko krążyły, były wykorzystywane w charakterze mott do listów, przy okazji spotkań publicznych, towarzyskich, rodzinnych, przy biesiadnym stole, podczas wieczorów gawędziarskich, kiedy aforyzmy są wyśmienitą okrasą żartobliwej pogawędki. Dodają wymianie słów pikanterii, blichtru, polotu.

Stanisław Nyczaj

Kazimierz Kochański, *Kreślone kredą. Aforyzmy*, ilustracje Barbary Kochańskiej, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON 2”.



Portret literacki Stanisława Nyczaja (fragment zakończenia)

Twórczość poetycka Stanisława Nyczaja jest sferą najbardziej złożoną, tajemniczą, intymną. Tu wyraża poeta, co czuje najgłębiej i do czego skłania go intuicja. Liryce tej nieobce jest też napięcie dramatyczne, dzięki któremu w oparciu o jeden z jej głównych nurtów mogły powstać dla celów inscenizacyjnych poematy *Puls* i *Pojedynek z Losem*. Nie jest to ekspresja zamknięta w sobie, lecz dzięki ironii, grotesce, elementom żartu autor osiąga dystans rozładowujący zbytnią powagę i zbyt wysokie napięcie. W tym sensie, spajając ze sobą różne postawy podmiotu, nawiązuje do tradycji romantycznej, w której bez kolizji czy sprzeczności występowały np. tragizm i komizm. Równowaga tonacji serio i tonacji groteskowej sprawiają, że w refleksji nad współczesnością i tradycją każdego odbiorcę skłoni do zadumy i mądrego krytycyzmu. Znamienne, że ta synchronizacja w warstwie artystycznej objawia się wyważeniem proporcji między obrazem (metaforą) a refleksją (dyskursem). Przy tym czytelnik czy słuchacz wyczuwa, że nic tu nie jest wykalkulowane, a rozwija się na fali autentycznych emocji, z podszeptu natchnienia, z potrzeby wyrażenia swojej postawy (światopoglądu) językiem poezji.

Nie chcąc łamać równowagi wspomnianych przemiennych elementów, korzysta z innych form, gdy chce wypowiedzieć się w konwencji żartu czy drwiny. I trzeba tu dodać, że doskonale i z wielką swobodą porusza się w każdym z wybranych gatunków. Stanisław Żak tak pisze o tej poezji: „Jest to bez wątpienia poezja znacząca w dorobku współczesnej literatury polskiej – mieści się ona doskonale wśród takich osiągnięć, jak poezja Zbigniewa Herberta, Wisławy Szymborskiej czy Ewy Lipskiej. Stanisław Nyczaj operuje znakomicie przypowieścią, aforyzmem, anegdotą; operuje także ironią, paradoksem na granicy groteski. [...] wielowątkowość refleksji, ujęta w różne formy wypowiedzi poetyckiej i osadzona w przystających do sytuacji emocjach, stanowi niezaprzeczalny walor wierszy Stanisława Nyczaja”¹.

Na podkreślenie zasługuje aforystyka autora *Żartów na stół*, osiągnęła ona swoistą czystość gatunkową, wyraźnie odróżniając się od formy sentencji czy maksymy. Walorem tej aforystyki jest m.in. to, że przewyższa ona w każdym konkretnym przypadku oczywistość i banał. Ciekawe, że część fraszek poety to ujęte w formy krótkiego wiersza aforyzmy. Natomiast fraszki dłuższe nawiązują do klasycznej postaci tego gatunku.

Teksty krytycznoliterackie S. Nyczaja to rozległe pole wnikliwych obserwacji, ale i wzruszeń lekturą różnych autorów. Nyczaj jako krytyk wyczulony jest na kompozycję utworów, styl, stosunek autora do języka; mniej zajmuje go ogląd fabuły, zawartość treściowa, bardziej koncentruje się nad ogólniejszym sensem, symboliką i warsztatem pisarskim. Konsekwencją tego spojrzenia był prowadzony w miesięczniku „IKAR” cykl *Tajemnice warsztatu pisarskiego*, co później zaowocowało w tomach eseistycznych: *Metafizyka tworzenia* i *Wśród pisarzy* t. 1-2.

Spotkania i dyskusje w środowisku literackim, jakie S. Nyczaj chętnie organizuje, inspirują go do publikacji rozmów z pisarzami, a więc to, co rozgrywa się bezpośrednio w środowisku literackim, nie ulega zapomnieniu, nie ginie. Zatem praca animatorska ma także wartość i sens. Tym bardziej ma to znaczenie, że twórcy w kręgu literackim bardzo niechętnie się otwierają. Nic dziwnego, że i do spraw edytorskich podchodzi poeta z wielkim sercem, a nie jako do działalności komercyjnej. I w tej dziedzinie wyżywa się pełen coraz to nowych twórczych pomysłów na kolejne serie wydawnicze, coraz to nowe formy opracowania, wydobywające indywidualne właściwości autorów.

Wielostronność możliwości twórczych Stanisława Nyczaja, wyeksponowanych w miarę wewnętrznej potrzeby, jest siłą jego artystycznej postawy. Poeta wypełnia sobą miejsca, w których się znajduje i nazywa je wartością swojej bogatej osobowości.

Mam nadzieję, że w moim portretowym studium pokazałam Stanisława Nyczaja w sposób możliwie wszechstronny, choć zdaję sobie sprawę, że każda z jego twórczych pasji mogłaby stać się tematem odrębnym i że sama w sobie stanowiłaby ciekawy materiał.

Wyeksponowałam twórczość poetycką i jej w studium dałam prymat, bo dla mnie autor *Płonącego wodospadu* jest przede wszystkim znakomitym poetą. Ale ostatnio wydane tomy eseistyczne *Metafizyka tworzenia* i *Taniec z Pamięcią* pokazały jeszcze inną stronę jego przebogatej możliwości twórczych. Prześledzenie drogi poety od *Przerwanego snu* aż po ów *Taniec z Pamięcią* to wspinała intelektualna podróż pełna zadumy i refleksji.

W książce starałam się przedstawić go również jako człowieka o niezwyklej osobowości, twórczej pasji i – co więcej – człowieka posiadającego niebywały dar zjednywania ludzi, budzenia drzemających w nich twórczych możliwości.

Krystyna Cel

¹⁾ Stanisław Żak, *Serce nieskrywanym niepokojów (O poezji Stanisława Nyczaja* [w:] Bolesław Garboś,

Stanisław Nyczaj, Stanisław Rogala: *W zawikłanym krajobrazie świata. Laureaci „Świętokrzyskiej Premiery Literackiej”*. Kielce 1997, OW „STON 2”.

Krystyna Cel, *Portret literacki Stanisława Nyczaja*. Red. Stefan Jurkowski. Kielce 2018, OW „STON 2”.

Glosa do portretu literackiego Stanisława Nyczaja

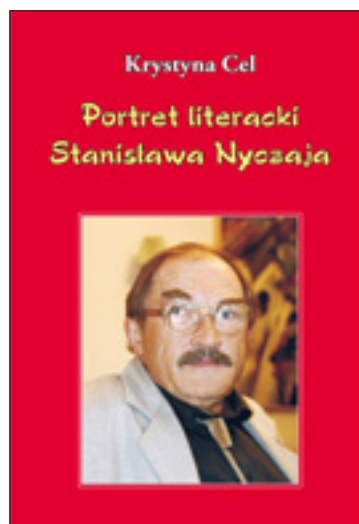
Twórczość Stanisława Nyczaja – autora wielu zbiorów wierszy, np. *Przedążyć pęd Ziemi* (2009), *Arcymiara* (2014), jak również książek eseistycznych, tomów aforyzmów i fraszek – wyróżnia się estetyczno-formalnym pięknem, czego źródłem jest bogactwo wersyfikacji i swoista rytmika.

„Ja” w jego poezji ujawnia się jako znak zespolenia z innymi ludźmi, ich emocjami, lękami egzystencjalnymi, ale i doznaniem w sferze erosu. Człowiek umieszczony jest w czasie i przestrzeni; jego byt zakreśla krąg, którego nie można przekroczyć, aby nie doznał cierpienia. Światło wiersza, zagęszczając elementy realności, tworzy jeden swego rodzaju „ponadczasowy czas”, w którym znika odległość przestrzeni obszarów świadomości. Jeden czas wieczności porusza materię utworów, a formy wrastają w siebie, tworząc wiersz-witraż.

Twórczość Stanisława Nyczaja jest więc ciekawą propozycją ontologiczną. W krótkich mgnieniach wyładowuje się rzeczywistość z potęgowania w antynomiach, pozornych paradoksach, a świat wyobraźni staje się światem wieczności. Wymowny pod tym względem jest fragment wiersza *W zbliżonych do oddali kręgach*:

„I czuję./ jakbym całym sobą wstępował/ w mrozącą krew to znów duszną/ zapierającą dech niemą otchłań”.

Alicja Patey-Grabowska



W kalejdoskopie dni

Codziennosc zamieszkałej w Małogoszczu Anny Błachuckiej jest wielowymiarowa. Nie zamknęła się w kręgu obowiązków domowych i wykonywanego zawodu, odnalazła w sobie możliwości twórcze i systematycznie je rozwija. Urodzona na świętokrzyskiej wsi autorka fraszek, limeryków, sonetów, opowiadań i powieści ukończyła matematykę, ma więc doskonale wyćwiczony umysł i może się poszczycić wyobraźnią, do pisania jednak, oprócz talentu, konieczna jest także wrażliwość, wytrwałość, umiejętność obserwacji oraz ogromna empatia. Annie tych cech nie brakuje. Zawsze potrafiła godzić pracę zawodową z obowiązkami domowymi i twórczością. Wydała 15 książek, jest cenioną członkinią Kieleckiego Oddziału ZLP. Ale to nie wszystko – jest również animatorką kultury. Od lat prowadzi w Kielcach młodzieżową grupę literacką „Słowniaci Świętokrzyscy”. Jej talent i zaangażowanie na szczęście zauważono i należycie doceniono, o czym świadczą odznaczenia (Medal Komisji Edukacji Narodowej, Srebrny Krzyż Zasługi oraz Brązowy Medal Gloria Artis), nagrody wojewódzkie za działalność kulturalną oraz sukcesy w ogólnopolskich konkursach literackich.

Najnowsza książka Anny Błachuckiej „*Świstun*” i inne opowiadania została wyróżniona w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego, jest więc dowodem jej kolejnego sukcesu. Zbiór 20 krótkich nowelek tworzy barwny kalejdoskop portretów ludzkich i dotyczących ich zdarzeń, a ponieważ życie człowieka toczy się w określonym miejscu i czasie, możemy przy okazji podziwiać celność różnego rodzaju charakterystyk i opisów. Oto oddział geriatryczny w małym szpitalu, gdzie „wszystko do siebie nadzwyczajnie pasuje”, bo wygląda tak, „jakby starzy ludzie mieszkali w szpitalu od swego urodzenia i dostali meble na wyposażenie, które to razem z nimi chorowały, miały wypadki i starzały się każdego wspólnego dnia” (*Jula*). Dzieje się to wszystko w otoczeniu poobijanych ścian, wygniecionych materacy i zbyt krótkiej, spranej pościeli. A na dodatek wydaje się być skąpane w dusznej zawieszynie wyziewów schorowanych ciał. I jakby dla kontrastu, w sąsiadującym opowiadaniu

urzeka nas piękno zimowego dnia w górach, gdzie świeże „...opady białego puchu wybieliły obszar do ostatniego punktu, słońce popisuje się i naświetla, podświetla, prześwietla niepowtarzalne w swoim kształcie nasypy, nawisy, płaszczyzny, górki” (*Antoś*). Ileż niezamierzonego okrucieństwa jest w tych dwóch tak różnych opisach! Upokarzająca nieporadność, zaniedbanie oraz kruchość starego człowieka, w zestawieniu z dostojnością okrytych nieskazitelną bielą gór, poraża, uświadamia nieuchronność przemijania, a jednocześnie podkreśla siłę i piękno Natury. Obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Autorka jest wrażliwa na piękno przyrody, lecz także na los człowieka, o czym świadczy każda z kolejnych opowieści. Boli ją i wzrusza niezaradność ubogich rodzin (*Mikrofalówka*), jest wyczulona na krzywdę dzieci (*W zmowie z Aniołem Stróżem*) oraz ludzi napiętnowanych przez otoczenie (*Izol*, *Jastrzęb*, *Szachulec*). Widzi zarówno dobro, jak i zło. Błędy stara się zrozumieć i wybaczyć. Nie potępia nawet oskarżonego o zabójstwo bandyty, ubolewa jedynie, że przeoczono moment, gdy można go było zawrócić ze złej drogi (*Skórzana torebka*).

Przestrzeń czasowa opowiadań jest dość rozległa. Jak w życiu każdego z nas – z wydarzeniami aktualnymi koegzystują mniej lub bardziej odległe wspomnienia. Współczesny mieszkaniec kraju coraz częściej się przemieszcza, ma więc szanse poznawania różnych jego zakątków i nowych ludzi (*Świstun*). Kuszą go też zagraniczne wojaże. Nawet na ryby potrafi wybrać się z rodziną nad norweskie fiordy i ulec tam urokowi krajobrazu oraz czarowi muzyki (*Na śmierć makreli*). Lecz obojętne, czy narratorem jest kobieta czy mężczyzna, uwagę zwracają opowiadania o tematyce wiejskiej. Emanują one bowiem jakimś szczególnym ciepłem, sentymentem do zwyczajów, zasad i obrzędów ojców i dziadów, a jednocześnie głębokim żalem, że dawna wieś w coraz szybszym tempie zanika. Nieubłagane wkracza nowe. Ostatnio wielu gospodarzy nastawia się na agroturystykę, w związku z czym np. hoduje się inne kury na jajka, a inne na filety, bo „letnicy swojskiego drobiu nie chcą jeść. Za żyłaste!”. A te brojlery to przecież prawdziwe dziwadła. „One

jakby jakąś chorobę umysłową miały. Jakby im kto mózg zaprogramował na jedną czynność. Ani one smutne, ani wesołe, ani ciekawe, ani świadome swojego kurzego powołania. Żreć tyko i żreć...” wydziwia gospodyni w opowiadaniu *Jastrzęb*.

Młodzi wyjeżdżają do miasta. I to ci najzdolniejsi, co się wyuczili. Początkowo jeszcze wpadają w czasie sianokosów czy żniw, lecz gdy obroną rodziną, wejdą w kierat kariery zawodowej, zjawiają się coraz rzadziej. Pracują tam jako pielęgniarki, nauczycielki, lekarze, służą w wojsku, a ich starzy rodzice, gdy opadną z sił, by mieć za co żyć, oddają gospodarki na Skarb Państwa.

„Za daleko to wszystko zaszło. Nic tylko teraz przyjdzie się chłopom w mieście rodzić! Tam poszły chłopskie syny, to i tam się będą rodzić takie, co pole i las, i łąki ukończają w sobie ponad wszystko” – ubolewa stara Majdanowa. [...]

Z dużą swobodą autorka oddaje sposób rozumowania i mówienia starej, doświadczonej życiem, wiejskiej kobiety. Gwarowe naleciałości świadczą o tym, że nadal żyje w niej język dzieciństwa. Kiedyś wszyscy we wsi mówili gwarą, śpiewali okolicznościowe przyśpiewki, nosili ludowe stroje. W wielu świętokrzyskich chatach można jeszcze odnaleźć pasiaste zapaski przypominające wstęgi okolicznych pól. Przetrwiała też pewna charakterystyczna cecha wsi, czyli jej „... zbiorowe czucie, zbiorowe oczy, uszy i pamięć”. Wieś osądza po swojemu. Czasem jedynie wytyka, dokucza, spluwa z obrzydzeniem, naznacza przezwiskiem, bywa jednak, że kogoś wyklina. Wiele tytułów omawianego zbioru opowiadań wskazuje na to, że nadawanie różnego rodzaju przydomków nadal jest dość popularne. Wieś bezbłędnie wychwytuje odmiennosc i trafnie ją określa odpowiednim mianem. Ich wachlarz jest szeroki – od pobłażliwych zdrobnień poczynając, jak w przypadku upośledzonego lecz lubianego Stasińcia, poprzez złośliwe przezwiska (Szachulec-krzywulec), informacje dotyczące osobowości lub umiejętności (Izol, Drumlik), aż po odstraszające i piętnujące jak Krzysica-diablica. Na wsi bowiem „...na pokolenia szła wina. To była kara. Tej wsiowej kary nie idzie odsiedzieć, nie idzie zamknąć w kilku latach, bo ona wrasta w winowajcę na całe życie, wrasta potem w jego dzieci, wnuki...” twierdziła ta ostatnia, albowiem by uchronić dzieci, musiała tę rodzinną wieś opuścić.

Współczesna wieś coraz bardziej upodabnia się jednak do miasta. Jadąc przez kraj coraz

trudniej zobaczyć krowę, nie mówiąc już o koniu. Kury gdzieś egzystują jeszcze na wygrodzonych wybiegach na zapleczu. Murowane domy i wykoszone, ozdobione iglakami trawniki przypominają peryferia miast. Po mleko i jajka chodzi się do sklepu albo jeździ do Biedronki. Typowe wiejskie zabudowania przenoszone są do skansenów. Rolą pisarza jest więc pochylenie się nad pięknem starych zwyczajów i opisanie ich, zanim całkowicie zginą. I to między innymi jest wielką zaletą książki Anny Błachuckiej, że tak jak wielu wcześniejszych pisarzy ukazuje nam wieś prawdziwą, bo z niej się wywodzi, na niej się zna i tylko tam jest u siebie. Julian Kawalec np. twierdził wręcz, że „jeśli pisarz pochodzi ze wsi, to temat wybiera go sam”. [...] Książkę Anny Błachuckiej czyta się z zainteresowaniem. Autorka jest dobrą obserwatorką, a przy tym potrafi wnikać w psychikę bohaterów, oddać ich rozterki i ból, okazać współczucie i zrozumienie. Nikogo nie przekreśla ani nachalnie nie poucza, co najwyżej dziwi się bezmyślnością lub złym postępkiem. Postaci bohaterów są krwiste, barwne i bez względu na wiek tętnią życiem. Widać, że autorka lubi ludzi. Uczmy się tego od niej!

Wanda Nowik-Pala

Anna Błachucka, *„Świstun” i inne opowiadania*, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON 2”.



W klubie Civitas Christiana w Kielcach Anna Błachucka promuje swój zbiór opowiadań wyróżniony w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego

Fot. Anna Lachnik

W gąszczu refleksji i zadumy

Anna Maria Musz rozpoczyna swój najnowszy tomik wierszy *Świetlno gąszcz* utworem, w którym stawia pytanie: „czy będziesz przy mnie jak wybuchnie wojna”. Pytanie tyleż budzi grozę, co naprowadza na ten przecież oddalony od nas tor myślowy, może tylko pozornie, bo przecież tuż za naszą granicą toczy się wojna i niemało jej ciągle w innych rejonach naszego globu. „Czy będziesz ze mną na każdy koniec świata” – ponowne pytanie z drugiej strofy wiersza sugeruje inne jeszcze zagrożenia, zarówno te, które są na zewnątrz tego naszego świata, jak i wewnątrz nas samych.

Podmiot liryczny szuka bliskości, oparcia w najtrudniejszych chwilach; może to przynieść tylko miłość, gdy przyjdzie „razem tracić świat /by nie stracić się z oczu”. Po tym wierszu, będącym niejako zapowiedzią szukania w drugiej osobie również i swojego świata, także i siebie, podmiot liryczny w utworze *Pod niebem* wnika w istotę samej miłości – powstaje ona jak tom wierszy „nie wybrana/ a zebrana” i zagarnia wszystko: „bardzo wysoki lot i bardzo cichy sen”. A więc nie tylko to, co wzniosłe, idealne, ale i to, co zwyczajne, codzienne („czy pamiętasz o czapce”), jakby te dwie sfery, przenikając się, stanowiły prawdziwe jej dopełnienie.

Ale im dalej zagłębialiśmy się w ten zbiór 44. wierszy, zauważamy, jak wiele refleksji, także i zadumy często filozoficznej, otwiera się w każdym niemal wierszu. Moją uwagę zwrócił ten zaczynający się od słów „jakie dziwne to ciało” – zostaje tu to nasze dziwne ciało nazwane „zwrotnym nadbagażem”, nie zabierzemy go „w najdalszą z podróży”. Aspekt przemijania jawi się tu jako ciągle przecież odległy i, jak pisze poetka, jest jak „trudna wiedza do której/ trzeba dorosnąć”:

– a my nadal wierzymy
że przez całe życie
będziemy niedojrzali –
będziemy zbyt niedojrzali
by ze śmiertelną powagą
porzucić to ciało
gdy się z niego wyrośnie
jak z nudnej zabawki

W poezji jest tak, że podmiot liryczny, aby wyrazić rozmaite doznania, myśli, pragnienia, może mówić różnymi głosami. Wydaje się, że tak czyni A.M. Musz.

Apostroficznie rozpoczynający się wiersz („świecie jego własny”) przynosi w ciekawy sposób „rozegrane” tu pragnienie podmiotu. Ten świat (jego świat, zamknięty kosmos) „surowy i twardy” ma stać się dla adresata ostoją życiowej równowagi, umiaru, „nie prowadzić nad wodę/ gdzie zbyt blisko dno” lub też nie pozwolić „nierozważnie wzlecieć wysoko”. I co więcej, ocalić ufność do tego świata, a to już trudniejsze zadanie. Uwidoczniała się tu arystotelesowska zasada „złotego środka”, a więc niepopadania w skrajności; nie może być nadmiaru, ale i też niedosytu, trzeba się ich ustrzec.

W wierszu *Poeci* podmiot siłą rzeczy utożsamia się z tymi, którzy pragną coś zdziałać na trudnej poetyckiej niwie. Dla nich A.M. Musz znalazła ciekawe artystycznie rozwiązanie. Otóż ich poetycką wyobraźnię usytuowała „na zboczach wulkanu/ wcale nie wygasłego”, niech tu, na tej, jak wiadomo, najlepszej ziemi, kietkują ich myśli. Bliskość wulkanicznej lawy może być nie lada fascynacją. Zakończenie wiersza wprowadza element humoru, może i zaskoczenia spojrzeniem, jakby z przymrużeniem oka, co wcale nie umniejsza gorzkiej ironii:

w cieniu katastrofy
jak w cieniu wielkiej góry
budujemy wesołe miasteczko

Jakże refleksyjny jest ten oto krótki wiersz autorki:

mówię: nie mogłam zrobić nic więcej
wtedy nic więcej

nic więcej
teraz już nie tak oczywiste
chodzi za mną
rośnie
rzuca długi cień
kołysze się we mnie
i jak sercem dzwonu
uderza
ciągle uderza

To utwór o nas samych, o naszej bezradności, ale i o tym, że często tę naszą rzekomą bezradność

najlepiej usprawiedliwić. Wystarczy powiedzieć, że nic więcej nie można było zrobić. Dla jednych będzie to już tylko zamknięciem trudnej sytuacji, jakiegoś moralnego dylematu, ale dla innych, tych bardziej wrażliwych „jak sercem dzwonu” w nich uderzy.

Refleksja o człowieku, o jego wnętrzu, jego istnieniu w „światłym gąszczu” nie tylko przecież codzienności zaznacza się raz wyraziście, a raz tylko dyskretnie w wierszach A.M. Musz. Autorka tworzy ciekawe liryczne tło dla naszej jednostkowej, a niekiedy zbiorowej egzystencji. W wierszu *Cień łuku triumfalnego* tak konstatuje nas samych:

ale dziś osypują się z nas subtelności
jesteśmy posłuszni i nieuważni
przyzwyczajeni do kodów zero-jedynkowych
nigdy się nie przyznamy
że nadal umiemy odczytać takie głupstwa
jak drgnienie kącika ust
ćwiercszępty i półuśmiechy

W utworach Anny Marii Musz trzeba się po prostu zanurzyć, by wychodząc z tej poetyckiej podróży, widzieć świat i siebie pełniej, wyraziście. I odkryć w sobie to, co umknęło naszej uwadze.

Krystyna Cel

Anna Maria Musz, *Światły gąszcz*, Wydawnictwo Książkowe IBIS, Warszawa 2018.



Egzystencjalne niepokoje Nyczaja

W wierszu z debiutanckiego tomu *Przerwany sen* (1968) pt. *Mój promieniu* autor przejęty lękiem utraty wzroku przedstawił *credo* swego życia: uparte dążenie naprzód, owo „przedążanie pędu Ziemi”, jak wyraża to w tytule tomu z 2009 r. Pełen energii, szerokostrumienny, zatrzymuje się przed okowami czerni. Powiada:

Mknij tędy
tędy droga prowadzi przez błękit
– mój promieniu – to droga poprzez tlen najczystszy
Przebij matową szybę pyłu-dymu Przemów
ponad błękitem w oniemiałą czern

Wiadomo – ponad błękitem nieba znajduje się czern, kolor „nicniewidzenia”. Uzbrojony w neologizmy poeta porusza się w abstrakcji Einsteinowskiej, gdzie promień zdolny jest przemknąć „obłok czasu”, cel uświęcając „krzywizną nie do obliczenia”. Przykre to rozmyślanie, prowadzące do wniosku, że nie da się ułomności unieszkodliwić ani doprowadzić do szczęśliwego rozwiązania.

Egzystencja trwa na poziomie biologicznym, ale ciekawe są spostrzeżenia z zakresu filozofii życia. Słowo pada często niejednoznacznie, ma wymiar ironiczny. Świadczy o tym wiersz *Człowiek*:

Przemógł naturę
przeszedł samego siebie
Tylko patrzeć
jak sprostą
w s z e l k i m oczekiwaniom

a nawet wymiar paradoksalny, bo jak można sprostać „wszelkim oczekiwaniom”, skoro w takim wypadku człowiek zatraciłby swoją naturę? Obok gry słów Nyczaj sięga po takie środki, jak lingwizm, satyra, humor, potęgowanie wypowiedzi.

Świadomość znikomości życia prowadzi go do wniosków typowych dla egzystencjalistów francuskich: Sartre’a, Camusa, Pascala. W *Umowie o życie* pisze o swej przypadkowości: „Jestem/ cóż z tego wszak/ w każdej chwili można/ rozwiązać ze mną umowę o życie”. Paradoks przeradza się w absurd, gdy czytamy: „Uczciwie prawdomówny/ milczę/ Jestem podawany do awansu/ i **rehabilitowany** za awans”.

Tłem dla rzeczywistości poetyckiej w tej poezji jest ogólność, abstrakcja, dopiero z niej wyłania się szczegółowość, przypadek. Wynika to z kolejności narastania kręgów doświadczenia: indywidualizm – ogół – klasycyzm. Pewne akcenty romantyczne dopiero się tliły, żarzyły, dopominały o zaistnienie. I tę walkę o uobecnienie, o ukazanie podmiotowości albo swego „ja” widać na przestrzeni wszystkich tomików wierszy Nyczaja. Prześledźmy jego osobowość, doświadczenie i rolę, jakie w tych wierszach dadzą się zauważyć. Nie wynikają one bezpośrednio z przeżyć, a jednak mają z nimi wiele wspólnego.

Nie poddając się trudnościom wzrokowym, zatrudnia się w redaktorstwie i edytorstwie. Od 1965, kiedy w studenckich „Naszych Sprawach” zamieścił odważną recenzję z *Trampoliny* Marka Nowakowskiego pt. *Kontrowersje debiutu powieściowego*, zajmuje się ponadto krytyką literacką, publikując recenzje, szkice, eseje w licznych czasopismach (np. „Współczesność”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Profilach”, „Nowych Książkach”, „Poezji”, „Okolicach”, „Przemianach”), a także drukuje w wydawnictwach zwartych.

Już na przełomie lat 60. i 70. zapowiada przejście „samego siebie”, przekroczenie bariery niemożności. W *Grach z naturą* (1975) zamieszcza wiersz kończący się frazą: „Pokonam nawet/ najkrnąbrniejsze przeszkody/ nie dam się wziąć w sieci/ czyichś przekleństw i prósb// Przejdę samego siebie”.

Wiara w człowieka jest isticie racjonalnym aktem, pozbawionym motywacji ezoterycznej, duchowej? Wręcz przeciwnie, doświadczenie wskazuje, że to tylko złudzenie. Jedynie pewnym sylogizmem życia jest zaufanie do siebie. Wszystko inne odmawia racji bytu. Z żalem konstatuje, że oparciem dla jednego człowieka jest drugi człowiek, nic ponadto, czy raczej wątpliwe, aby był kto poza nami. Zapisuje:

Wstać rozkazujesz, bym tę dłoń uściskał
Znaczy to – mogę liczyć na Cię, Panie?
– Musisz... wyłącznie sam na siebie. Żegnaj! –
rzekł ze stanowczym spokojem Drugi Człowiek.

Jeżeli miarą wszechrzeczy jest człowiek, należy uczynić go centrum zainteresowań. Wypada poznać nie tylko jego dzieło, wytwór świadomości, ale przede wszystkim jego podmiotowość. Przez podmiotowość trzeba rozumieć cielesność, tak dziwnie ułomną w wypadku Stanisława Nyczaja, a rzutującą na biologiczny sposób widzenia rzeczywistości przez poetę. Tu wypada spróbować prześledzić najważniejsze fragmenty jego życiorysu.

Biografię poety daje się przedstawić przez sięgnięcie do najistotniejszych pierwiastków jego twórczości. Pierwiastki te układają się poprzez motywy w tematy, a te w szersze jednostki problemowe. W wypadku Nyczaja jego poezja składa się z 5 bloków, jak wyodrębnia je Harry Duda (w t. 4. z serii *Pisarze regionu świętokrzyskiego*, Kielce 1995, s. 127-161). Najważniejszy to blok egzystencjalno-etyczny i aksjologiczny (wartościujący), co by znaczyło, że heroizm duchowy odcisnął na wierszach poety olbrzymie piętno. Zdaniem Harrego Dudy, ten nurt wystarczałby już do napisania obszernej pracy krytycznej. I zapisał istotne zdanie o jego ekwiwalentach, stwierdzając, że będą to „poetyckie sprawozdania ze stanu świata” (Piotr Kuncewicz), „konstatujący, w najbardziej pozytywnym znaczeniu [...] stosunek do [...] rzeczywistości” (Józef Andrzej Grochowina), „Nyczaj jest poetą-moralistą w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu” (Stanisław Mijas), poeta reaguje na „Stępującą się obecnie wrażliwość moralną i estetyczną” (Andrzej Maćkowski), „mądrość poety [...] sięga ku prawdzie moralnych aksjomatów” (Józef Nowakowski). Ten ostatni mówi też o „heroizmie poznawczym i moralnym” i o tym, że „Gubimy się w pseudowartościach”, a dzieli nas „istota człowieczej więzi ze światem” (Ewa Nakonieczna), „stany możliwej zgody z sobą i braterstwa ze światem” (Mieczysław Kucner), „możliwości porozumienia i zrozumienia” (Bogumiła Truchlińska).

Postawa godnego przeżywania świata, a co za tym idzie – przyjęcie i propagowanie wartości szlachetnych moralnie okazuje się obowiązkiem poety w postulatycznym normatywie dążeń Nyczaja. Właśnie określoność celu, wskazanie ideału, często mimo jego znikomości, nadaje człowiekowi sens istnienia, dążenia do walki. Autor wierzy w zwycięstwo wartości humanistycznych, głosi wiarę w prawdę, zwycięstwo dobra, wzlot, pęd życia i jego potęgę. Oparł swoje zaufanie o wiedzę ogólnokulturową i przyrodniczą, co czyni jego światopogląd klasycyzującym. Niekonkretność, przy ścisłym zanurzeniu w historię, w mit, dodatkowo umacnia uniwersalność i ponadczasowość słowa. Egzystencjalizm sytuacji w wersji Nyczaja oznacza, że nie jest ona wszak próżna i przypadkowa, służy właśnie określeniu celów człowieka, zasad i kryteriów jego postępowania. W tym sensie można mówić o dydaktyzmie poezji autora *Przerwanego snu*.

Postawę etycznej powściągliwości najlepiej wyraża wiersz *Krok w krok za sobą*: „Idę krok w krok/

pilnuję się/ (albowiem coraz trudniej na sobie polegać)". Człowiek nie powinien łatwo ustępować, ma za zadanie zmierzać do celu aż do końca, co wyraża wiersz *Pierwszy horyzont*:

– Próbuj
Za wcześniej odwrót
Nie takie ustępowały się horyzonty

Upór w dążeniu jako potrzebę działania podkreśla poeta w poliptyku *Być* po wielokroć i wprost namacalnie. Powtarza: „Nie poddać się Nie ugiąć”, „Póki się jest/ trwać wszelkiej znowie na złość”. Dalej powiada: „Przejsz samego siebie idąc/ samotnie ciemnym korytarzem/ własnego wnętrza”. A gdyby przeszkoda zagroziła drogę, należy nie poddawać się, a zmierzać do celu. I kończy wiersz odpowiedzią, że „jednak”, „pomimo”, trzeba „b y ć”. Oznacza to, że nie można poddawać się, unicestwiać.

Najbardziej znane tomiki wierszy Nyczaja to: *Gry z naturą* (1975), *Najcichsza odwaga* (1977), *Tęsknota za nadzieją* (1983), *Płonący wodospad* (2003), *Przedążyć pęd Ziemi* (2009), *Arcymiara* (2014). O swej intencyjności jako poety najpełniej wyraził się w słowie *Metafizyka niepewnych racji* (*Poezje wybrane*, 2008) – „Tak, muszę to wyznaczyć: niepewne racje-obrazy, wciąż nawiedzające wyobraźnię jakby na granicy jawy i snu, najbardziej mnie niepokoją i tym samym inspirują. Tworzą swoistą liryczną metafizykę, w której nie o rozstrzygnięciu, a o zastanowieniu się chodzi. O wzruszenie obsesyjną namiętnością niepowstrzymanego poszukiwania. O szaleństwo nieobliczalnej wyobraźni”.

Można sądzić, że wyobraźnia stwarza i stawia problemy, wzruszenie i uczucie ustawia je w kategoriach wartości. Poeta nie szaleje ze swoją wyobraźnią, on zastanawia się, rozważa, podnosi i wzlatuje jako tropiciel tajników duszy ludzkiej. Obraca się przede wszystkim w sferze duchowości, stąd mówi o metafizyce. Przewodzi tej tendencji – jak było mówione – zapatwienie egzystencjalno-etyczne i aksjologiczne. Harry Duda w cytowanym już artykule wyszczególnia wiarygodnie jeszcze inne plany poetyckiej penetracji przez Nyczaja. Wymienia: filozoficzno-poznawczy i przyrodniczy, społeczny, czysto liryczny (impresje, ulotne refleksje, erotyki, wiersze okolicznościowe, chwytanie i nazywanie piękna jako takiego – bez intelektualnych zobowiązań), groteskowy. Motywy mieszają się tu – na tej liście – z tematyką twórczą, wszak lista ta wskazuje na bogactwo jego słowa poetyckiego.

Można by przytoczyć wiele wierszy obrazujących zasadność każdego planu twórczego i jego nieodzowną rolę w budowaniu sieci znaczeń i idei. Nie w tym jednak rzecz. Wystarczy zauważyć, że nicią wiążącą dążenia poety jest pragnienie pozbycia się balastu oskarżeń, własnej słabości i fatum. Poeta, aby uzyskać właściwą miarę rzeczy, musi się unieść, podwyższyć, stanąć p o n a d. O jaki gest i o jaką sytuację chodzi, najpełniej wyjaśnia wiersz *Taternik*:

Idzie p o n a d
już mu patrzy z oczu pejzażem
Spucony jak mysz u gór bioder
przystaje dopiero nad urwiskiem piękna

Skąły gołe tuż przed upadkiem
suknie mgły wciągają naprędce
Lecz on zdąży bo go kuszą bo nęcą
wizjom wiadome tylko wnętrza wilgotne

Byle w y ż e j
byle z hartu nie spuści
(już się pozbył mięśni wiotkich od zmęczenia)

Dotknie szczytu
nikt go więcej
nie poniży

Wiersz zapowiadający się ironicznie, w kostiumie na poły lingwistycznym, zdaje się trafiać w sedno wielu dążeń Nyczaja. Po pierwsze, zdaje sprawę ze sprawności jego obserwacji i znajomości przyrody. Po wtóre, umie zdemistyfikować próbę „mierzenia siły na zamiary”. Po trzecie, wiersz zawiera dramat człowieka dążącego do sytuacji nieosiągalności. A jeżeli spojrzeć na ten wiersz podmiotowo, indywidualnie wówczas, jak się ma poeta, który zmaga się z przeciwnościami, z ciężeniem i ze słabością? I jawi się jeszcze jako ten, który się wywyższył, aby go nie dotknęła obelga, nie raniła właśnie ironia. Kojarzy się to z położeniem poety, który własnym wysiłkiem, pracą (mięśni) staje na szczycie, aby nikt go więcej nie poniżył. Czyż wartość poezji Nyczaja nie jest właśnie ponad poziomami dlatego, aby – borykając się ze słabowzrocznością – nie być skazanym na poniżenie.

Stanisław Stanik

Skrót szkicu krytycznoliterackiego zamieszczonego w „Myśli Literackiej” – numerze z dn. 28 stycznia – 4 lutego 2018, s. 10-11.

Promocje nowo wydanych książek



Stanisław Nyczaj prowadzi promocję nowej powieści Liliany Abraham Zubińskiej pt. *Olimpio*, uhonorowanej drugą nagrodą w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego
Fot. Zdzisław Sabat



Irena Paździerz promuje zbiór opowiadań pt. *Okna*, wyróżniony w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego



Grzegorz Rak na promocji swojej powieści *Miłość w Rzecznowie* w Osiedlowym Klubie „Stoneczko”
Fot. Anna Bilka



Lidia Jędrocha-Kubicka promuje tomik poezji pt. *Portrety myśli*, wydany na zakończenie podyplomowych Studiów Literacko-Artystycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie

Postowie

Życie to baśń wątpliwa. W chybotliwej pełni zbliżającego się rozkwitu potrafi zmylić, nie zapowiedzieć samotności ani rozpadu. To świat streszczony, którego do pewnego momentu nie potrafimy odczytać. I zna ów świat i młodość, i starość – obydwie podobne. Siostrzyczki. Między nimi zaś to, co czas nam zabiera: miłość. Ale też tkwi tam to, co możemy ocalić. Właśnie: *Portrety myśli*. Tak jak w tytule tomu Lidii Jędrochy-Kubickiej.

Czasem, jak zapisuje Autorka, *Ciało już nie chce walczyć, / drganie powiek ustaje, w ustach brakuje słów*. Poruszający wyraz przemijania, znak gorzkiego wprawdzie, ale przenikliwego rozpoznania naszej tutaj kondycji i obecności. Albowiem *smutek z żalem wyglądają zza rogu, / jeszcze te myśli mroczne nie mogą znaleźć ujścia*. Lidia Jędrocha-Kubicka, choć znakomicie rozpoznaje i opisuje odczucia druzgoczące, miażdżące i nieuniknione, niemniej nie ulega im. Ów żal i smutek nie zawsze przeszywają, bywają stępione niczym kilka podskoków po bębnie, po szarej membranie, na której ktoś, zapewne znacznie większy od nas i mądrzejszy, napisał: *Tak być musi*. Ślad wyższej konieczności. Autorka zaś dodaje, kreśląc portret kobiety: *Nie musi odgrzebywać przeszłości, / ona w niej żyje / i ani myśli odejść*. Gest poddania się działaniu silniejszej woli. Ale nie jest uparty. Nie rządzi się wściekłością, ale zrozumieniem.

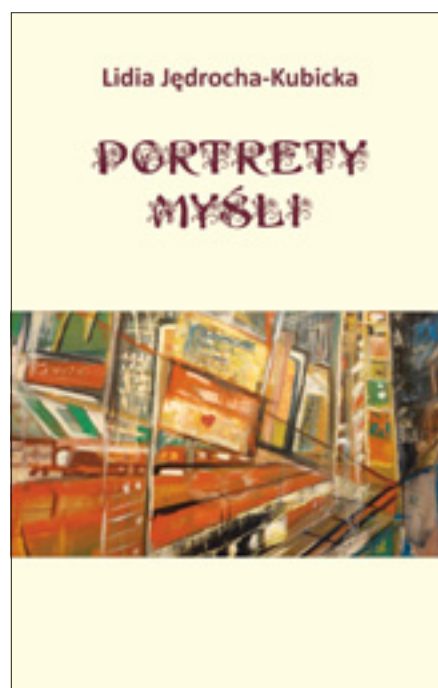
Lidia Jędrocha-Kubicka nader udatnie podejmuje tematy od zawsze węzłowe dla liryki: upływ czasu, zawłości w relacjach międzyludzkich, miłość, przemijanie, śmierć. Jak choćby tutaj: *Miłość zaczęła boleć, / z czasem przestała oddychać* lub tu: *Ta miłość nie gaśnie. / W źrenicach ukryłam twój uśmiech, / a w ustach smak dzieciństwa*. Właśnie: dzieciństwo, również obecne w wierszach Autorki, intensywnie, niemniej subtelnie. Przedstawione zmysłowo. Tak więc nie wyłącznie ból, nie wyłącznie upływający czas, lecz także sięgnięcie po to, co trwa w nas, dopóki i my trwamy. Może to zabrzmieć nieco koturnowo, wszelako chodzi o rzecz niezmiernie ważną.

Czy Autorka podróżuje? – można zapytać, zapewne odrobinę krotocwilnie. Nie należy mieć co do tego żadnych wątpliwości. Niemniej specyficzna to podróż i piękna. Nieustająca. Wyjeżdżający zawsze uśmiechają się, więc z uśmiechem, smutnym, spokojnym, radosnym, wsiada do rozmaitych, niekiedy zupełnie nieoczekiwanych pojazdów. To ciała i umysły innych osób, kulturowe imponderabilia, przedmioty codziennego użytku, ale też na przykład dni tygodnia czy pory roku. Wszelako dla Lidii Jędrochy-Kubickiej podróż, jak się zdaje, to przemierzanie odległości w czasie, nie w przestrzeni, ale aby tak było – czas musi być przeszły. A przynajmniej okazuje się pożądanym. Autorka musi z oddalenia widzieć, gdzie była, zamiast patrzeć z zajmowanego miejsca, chwytając moment samego widzenia.

A później Lidia Jędrocha-Kubicka wraca z podróży i nas w nią zaprasza. Zaprasza Ciebie, Czytelniku. Nie wahaj się. Warto skorzystać z zaproszenia. Jedź i czytaj!

Roman Honet

Lidia Jędrocha-Kubicka, *Portrety myśli*, Kielce 2018, Oficyna Wydawnicza „STON 2”.



2007 – *IV Ogólnopolskie Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej*, wystawa konkursowa, Muzeum Miasta Gdyni

2008 – *Miejdunarodnaja Hudożestwiennaja Wystawa*, Instytut Krymskiego Obserwatorium Astrofizycznego w Naucznij, Krym, Ukraina

2008 – *Międzynarodowe Biennale Współczesnej Tkaniny Artystycznej SILEZIANY*, Galeria Sirius Arts Centre, Cobh, Irlandia

2009 – *Tożsamość pomiędzy Sztuką a Kulturą*, Zamek Risolo, Specchia, Włochy

2009 – *V Międzynarodowe Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej EKO-BALT*, wystawa konkursowa, Muzeum Miasta Gdyni

2010 – *3 Międzynarodowy Festiwal Sztuki STRUKTURY POWIĄZAŃ*, wystawa konkursowa, Galeria Fundacji Turleja, Kraków

2010 – *8.TRIENNALE MAŁYCH FORM MALARSKICH*, wystawa konkursowa, Galeria Sztuki Wozownia, Toruń

2013 – *VII Międzynarodowe Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej*, wystawa konkursowa, Muzeum Miasta Gdyni

2014 – *BARWY MORZA 2014 – ogólnopolska wystawa marynistyczna*, wystawa konkursowa, wystawa na pokładzie statku – muzeum DAR POMORZA, Gdynia

2015 – *ART FOR HEART*, Polisch Museum of America, Chicago, USA

2016 – *13 Ogólnopolska Wystawa Tkaniny Unikatowej*, wystawa konkursowa, Centralne Muzeum Włókiennictwa, Łódź

2016 – *9. Międzynarodowe Biennale Artystycznej Tkaniny Lnianej*, wystawa konkursowa, Galeria BWA, Krosno

2016 – *International Artistic Linen Cloth Biennial*, Keresztury Dezsó VHK – Zalaegerszeg, Węgry

2016 – *13. Międzynarodowy Jesienny Salon Sztuki*, wystawa konkursowa, Galeria BWA, Ostrowiec Św.

2016 – *Małe Formy Plastyczne, Rzeszów 2016*, wystawa konkursowa, ZPAP Galeria Sztuki, Rzeszów

2016 – *OGÓLNOPOLSKIE BIENNALE SZTUKI – 44. SALON ZIMOWY*, wystawa konkursowa, Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej *Elektrownia*, Radom

2017 – *I PRZEGLĄD SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ – NOWA AWANGARDA*, wystawa konkursowa, Galeria Szyb Wilson, Katowice

2017 – *Międzynarodowa Wystawa Malarstwa i Tkaniny Unikatowej EKO MATERIA*, wystawa konkursowa,

Muzeum Narodowe w Gdańsku Oddział Sztuki Nowoczesnej MNG – Pałac Opatów w Oliwie

2017 – *III Międzynarodowy Konkurs Artystyczny – Pejzaż Współczesny, Częstochowa 2016*, wystawa konkursowa, Miejska Galeria Sztuki, Częstochowa

2018 – *II PRZEGLĄD SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ – NOWA AWANGARDA*, wystawa konkursowa, Galeria Szyb Wilson, Katowice

2018 – *10. Międzynarodowe Biennale Artystycznej Tkaniny Lnianej*, wystawa konkursowa, Galeria BWA, Krosno

Interdyscyplinarny Konkurs Plastyczny Województwa Świętokrzyskiego „*Przedwiośnie*” udział w latach: 1995, 1996, 1997, 2000, 2001, 2003, 2004, 2005, 2007, 2008, 2009, 2011, 2012, 2013, 2014, 2015, 2016, 2017, 2018.

Inne działania plastyczne – wybór:

– *Stawka większa niż życie* – udział w programie TV Xymeny Zaniewskiej, 1997, – *Kontrasty i Struktury* – prezentacja-pokaz autorskiej kolekcji strojów artystycznych, 1999, BWA Galeria *Na piętrze*, Kielce,

– *Dni Polskie w Brukseli w dniu akcesji Polski do Unii Europejskiej* – plenerowa prezentacja twórczości artystycznej na stoisku Regionu Świętokrzyskiego przed Parlamentem Europejskim, Bruksela (Belgia), 01.05.2004 – *Salone della Autonomic Locall EUROPA* – prezentacja-pokaz twórczości z zakresu wikliny i tkaniny artystycznej (zaproszenie ROT o/Świętokrzyski i Regione Abruzzo-Włochy, Rimini (Włochy), 2005

– Projekt *PEJZAŻ GEOLOGICZNY* – wykłady, wystawy, warsztaty plastyczne, Zespół Państwowych Szkół Plastycznych w Kielcach, spotkanie autorskie z młodzieżą i pedagogami, otwarcie wystawy i prezentacja drogi twórczej, 2009 – Warsztaty: *Tożsamość pomiędzy Sztuką a Kulturą* – Kultura i sztuka jako język wyrażania tożsamości społecznej, Specchia, Włochy, 2009 – *Festiwal Wędrowania – Sztuka Ziemi*, wystawa plenerowa, Wiączka-Kapkozy, Góry Świętokrzyskie, 2015 – Udział w licznych aukcjach charytatywnych.

Kartki z kalendarza Tamary Maj

Twórczość plastyczna Tamary Maj jest wyjątkowa w swym charakterze. Intencjonalnie autorka stara się dotrzeć do języka wyrazu, do tego rodzaju ekspresji, aby móc wyrazić istotę emocjonalnych przeżyć i doznań wynikłych z kontaktu z otaczającą naturą i osaczającą kulturą. Tworzy, metodycznie dobierając materie i formy obrazowania stosownie do tematu, zagadnienia czy zjawiska. W jej 35-letniej pracy twórczej odnaleźć można wiele ścieżek poszukiwań artystycznych, preferencji form wynikających z kontekstu życia i sztuki. Zawsze jednak filtrowała je przez własne emocje, postrzegane w znacznym stopniu intuicyjnie. Czyniła to z dużym poczuciem estetycznym i artystycznym smakiem. Przeglądając artystyczne dossier przygotowane na jubileuszową wystawę, podziwiałem ogrom jej dorobku twórczego zrealizowanego w różnych technikach i formach. Szczególnie doceniam wyabstrahowane budowanie czystej formy plastycznej bez rezygnacji z tego, co nazywamy prawdą autorskich doznań i przemyśleń – w tym przypadku głęboko autobiograficznych. Formalna dwuwarstwowość jej obrazów, przy jednoczesnej sensualnej wielowarstwowości, fascynuje i zmusza do refleksji również tej pozaartystycznej lokowanej na pograniczu sztuki i życia.

Autobiografizm tej twórczości wyrażany jawnie i czytelnie, ale też subtelnie poetyką języka wizualnego, postrzegamy w cyklu „Autoportret opisany”, będącym swoistym artystycznym credo, opowieścią o swoim wizerunku, uwiarygodnionym fotograficznymi transferami własnej twarzy. Całość współtworzą narracyjne teksty literalnie dookreślające. Własna twarz to żywa obecność, to naturalna ekspresja, która potwierdza artystyczną prawdziwość. Jakże ważne to dziś, gdy ukrywamy oblicze, tracimy własną twarz dla jakichś doraźnych, nieraz pozornych korzyści.

Wizualizacje feerii nastrojów: od refleksyjnej, jesiennej zadumy po ciepłe piaskowe letnie radości są rozpisane na dziewięć tonalnych odston, ujawniają auto-analityczne wnikliwie spojrzenia na siebie, na wyrazy emocji w kontekście czasu i otaczających przestrzeni. Prawdy o sobie, zarówno ta pogodna jak i ta jesienna, warunkują

prawdy o innych. Zamazywanie twarzy staje się w wizerunku wyrazem relacji z zewnętrzną rzeczywistością, formowaniem kontekstu, a tym samym dialogiczną opowieścią. Nie bez znaczenia dla wspomnieniowej nuty wielu obrazów Tamary Maj jest ich zakotwiczenie w nostalgicznej, dziecięcej jeszcze pamięci zborowskich reminiscencji: krajobrazu dzieciństwa, którego już nie ma, który jedynie pozostał pod powieką.

Bardziej szczegółowym rozpisaniem, analitycznym zobrazowaniem spotkań z czasem pomiędzy przeszłością a przyszłością jest cykl kolaży „Kartki z kalendarza”. Kameralne formatem i refleksyjne w nastrojach prace: „Byłam...”, „Jestem!”, „Będę?” zostały wypełnione tekstem, w którym tylko tytułowa zapowiedź jest czytelna dla postronnych; nieznanne treści pomimo znanego alfabetu funkcjonują w obrazie jako wyraz tajemnic prywatności życia, stanowią zarazem ukryte sensy w niewielkim tylko stopniu odślanialne. Formalnie świecą na ciemnym tle niedookreślonej przestrzeni. Wiele obrazów z tego cyklu poprzez motywy i dopełniające je tytuły odsyła nas do przywołanych krajobrazów przeszłości zamglonej, zalet jesieni, babiego lata, zimy, księżycowych nocy; ale też do nieobojętnych jakości zjawisk: starości, nadziei, samotności, żalu, pamięci, wspomnień, dotyku, podróży, jutra, optymizmu, przejaśnień, myśli, smutku, cieni, zapachów; wreszcie myśli: kim jestem? Czy Ziemi ziarenkiem czy częścią Wszechświata?

O ile kameralna twórczość Tamary Maj jest zapisem artystycznych ścieżek szukania plastycznego ekwiwalentu przeżyć, doznań i refleksji – zawieszonych pomiędzy naturą stworzoną a naturą tworzącą – o sobie i innych w kontekście wzajemnych spotkań, to o tyle tkanina artystyczna o unikatowym charakterze jest czysto plastycznym, finalnym i wyabstrahowanym efektem dotychczasowych widzeń i przemyśleń. Co prawda tkaninopodobne flizelinowe obrazy „Z pamiętnika Majów” kontynuują jeszcze wspomnieniowe zapisy klimatów, nastrojów, przeżyć i wspomnień zawartych w kameralnych formach, ale najważniejsze realizacje mają charakter monumentalnych bądź monumentalizowanych czystych

układów form – podstawowego czynnika konstytuującego dzieło plastyczne. Tkanino-malarskie unikatowe realizacje w przezierających materiałach zrealizowane zostały jako formy plastyczne dwustronnie aktywne. Poprzez prześwity, radykalne układy barw, form i geometrycznych struktur porządkujących mogą pełnić we wnętrzach funkcje porządkowania przestrzeni. Dotychczasowe „gniecenia” flizelinowej materii, czasowe zużycia, fizyczne przekształcenia – ustępują wyabstrahowanej rzeczywistości układów zhierarchizowanych

form: szytych, ciętych, nacinanych bądź naszywanych. Nadal jednak w barwnych i świetlnych tonacjach odszukujemy subtelne odniesienia do nieokreślonej zjawiskowości autorskich olśnień danych nam w syntetycznych formach. Taki rodzaj twórczości możliwy jest tylko jako wyraz wielkiej wrażliwości na piękno i jako nieustające jego smakowanie. Tak to czyni Tamara Maj!

Marian Rumin



Tamara Maj: *Gdzieś świeci słońce, została jeszcze nadzieja I*, collage, 50 x 50, 2018



Tamara Maj: *Gdzieś świeci słońce, została jeszcze nadzieja II*, collage, 50 x 50, 2018



Tamara Maj: *Samotni we dwoje*, collage, 50 x 50, 2018



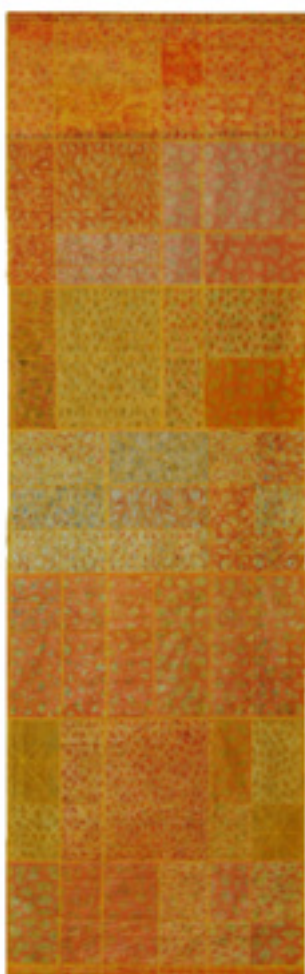
Tamara Maj: *Żal księżycowych nocy*, collage, 50 x 50, 2018



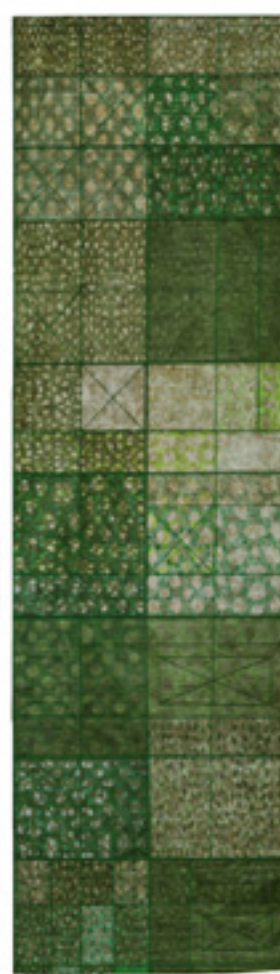
Tamara Maj: *Przenikanie I*, tkanina aut., 230 x 100, 2015



Tamara Maj: *Przenikanie III*, tkanina aut., 230 x 100, 2015



Tamara Maj: *Przenikanie – Promienna*, autorska tkanina dwustronna, 330 x 100 cm, 2017



Tamara Maj: *Przenikanie – Zieleniata*, autorska tkanina dwustronna, 330 x 100 cm, 2017



Tamara Maj: *OKŁADKA – Z pamiętnika Majów – Wieczór przy blasku świecy...*, tkanina aut., akryl, 110 x 80 cm, 2016



Tamara Maj: *Krajobrazy przeszłości pamięcią zamglone I*, collage, 50 x 50, 2018



Tamara Maj: *Krajobrazy przeszłości pamięcią zamglone II*, collage, 50 x 50, 2018